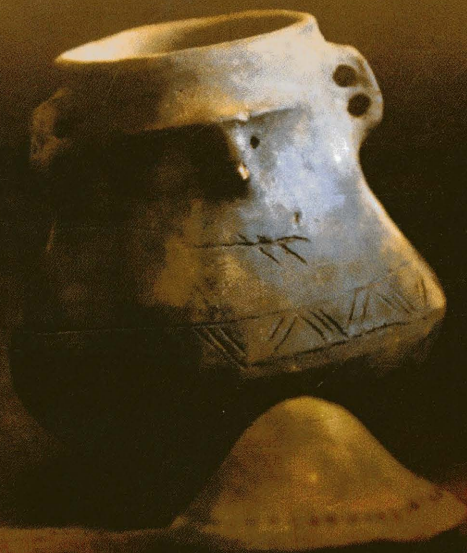


Co się działo na Środkowym Nadodrzu 3 tys. lat temu

Andrzej Marcinkian

TAJEMNICE NASZEJ ZIEMI

Alfred Siatecki



PRO
LIBRIS

TAJEMNICE
NASZEJ ZIEMI

TAJEMNICE NASZEJ ZIEMI

Wywiad-rzeka Alfreda Siateckiego
z doktorem Andrzejem Marcinkianem,
ostatnim spośród pierwszych lubuskich archeologów

Pro Libris
Zielona Góra

RECENZENT
prof. dr hab. Grzegorz Domański

PROJEKT OKŁADKI
Grażyna Rymaszewska

WYDANO PRZY POMOCY FINANSOWEJ
Prezydenta Miasta Zielona Góra Janusza Kubickiego
Oddziału Lubuskiego Stowarzyszenia Naukowego
Archeologów Polskich w Świdnicy k. Zielonej Góry
Województwa Lubuskiego

Zielona Góra 2011

ISBN
978-83-88336-83-6

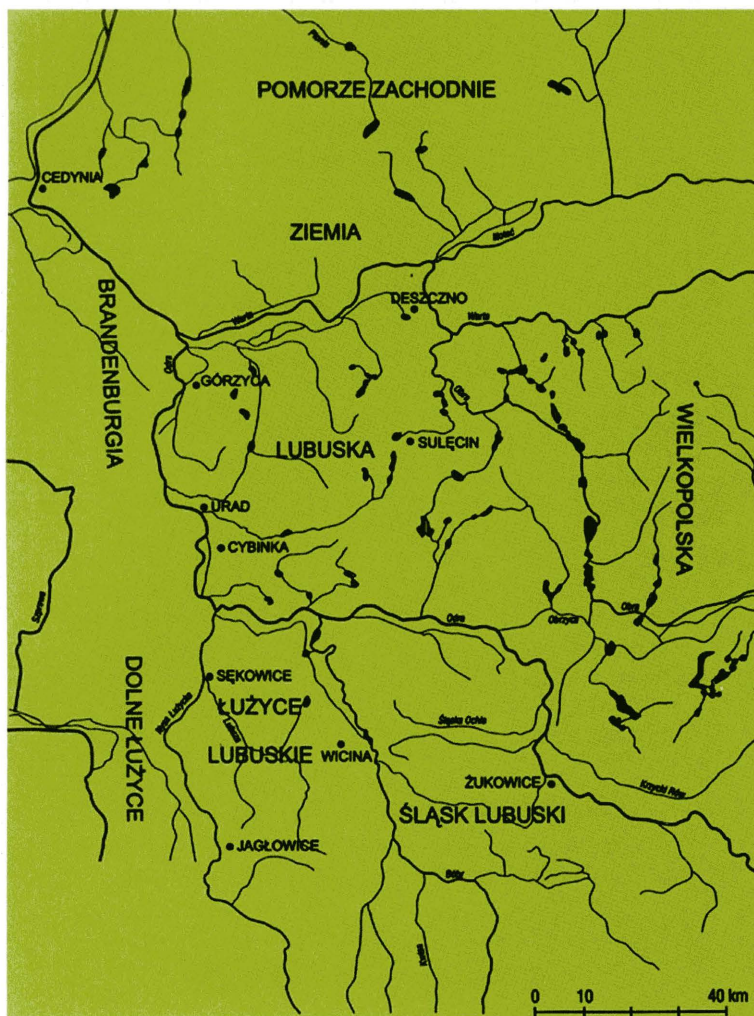
WYDAWCA
Pro Libris – Wydawnictwo Wojewódzkiej i Miejskiej
Biblioteki Publicznej im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze
al. Wojska Polskiego 9, 65-077 Zielona Góra
e-mail: Prolibris@wimbp.zgora.pl, www.wimbp.zgora.pl

© by Alfred Siatecki and Andrzej Marcinkian
© by Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna
im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze 2011

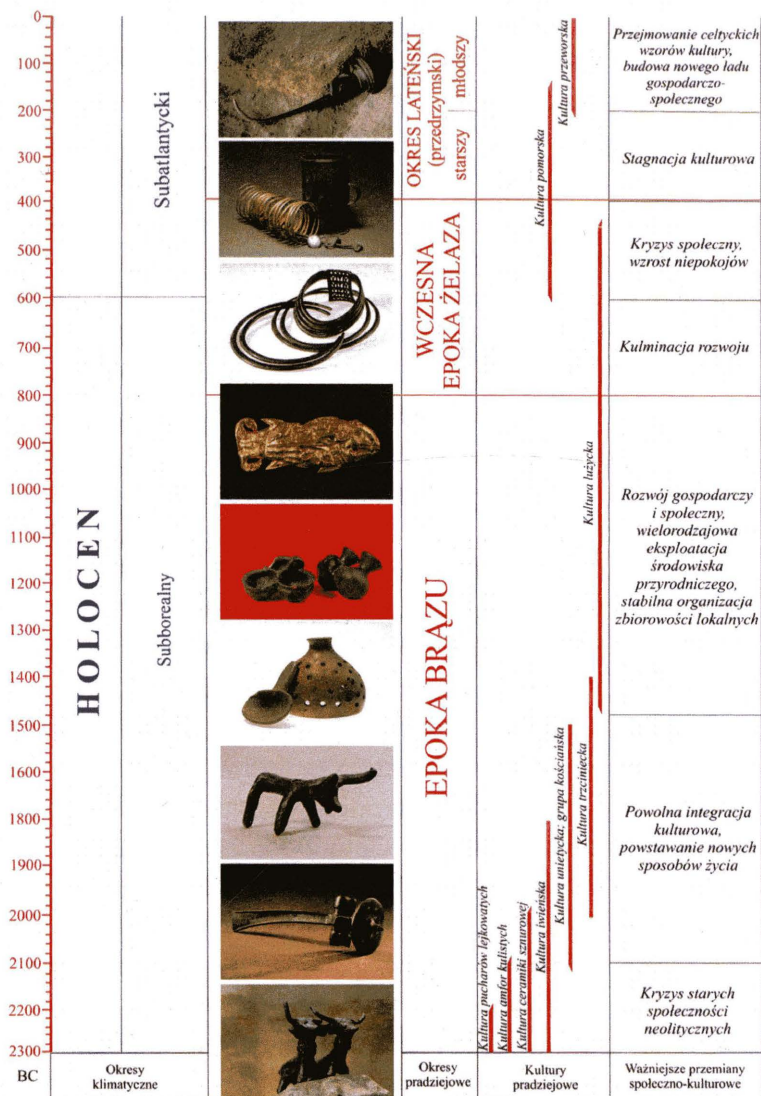
SKŁAD
Firma Reklamowa GRAF MEDIA

DRUK
Totem

*Naszym wnukom:
Magdalence, Marcinkowi, Michałkowi,
Stasiowi i Leonkowi
oraz ich przyjaciółom, koleżankom i kolegom*



Nasza ziemia nad środkową Odrą i dolną Wartą



Etapy cywilizacji łużyckiej – okresy klimatyczne i archeologiczne

Zamiast wstępu

Zanim porozmawiamy o tym, co się działo nad środkową Odrą i dolną Wartą trzy tysiące lat temu, przypomnijmy, że w 2010 roku minęło pół wieku od dnia, kiedy została zorganizowana lubuska archeologia. Pan, zdaje się, był wśród jej twórców?

Początki polskich badań archeologicznych na Środkowym Nadodrzu wiążą się szczególnie z Edwardem Dąbrowskim, doktorem Adamem Kołodziejskim, profesorem Grzegorzem Domańskim z Wrocławia. Przez krótki czas prace wykopaliskowe prowadził tu także doktor Bogdan Kres. My, tzn. Mieczysław Kaczkowski i ja, dołączyliśmy do nich w latach sześćdziesiątych XX wieku. Zaraz po ukończeniu studiów archeologicznych w Poznaniu, ale już w latach siedemdziesiątych XX wieku naszym towarzyszem stał się także doktor Marian Kwapiński. Od samego początku współdziałał z prahistorykami znakomity badacz bez dyplomu uniwersyteckiego, Bogdan Wołkowicz, pracownik naukowo-techniczny. Oprócz Mariana Kwapińskiego i mnie, pierwsi archeolodzy lubuscy niestety nie żyją.

1 stycznia 1960 roku zostały powołane dwa odrębne działy archeologiczne w ówczesnym Muzeum Okręgowym w Zielonej Górze. Jeden, zajmujący się – ogólnie mówiąc – ostatnimi dwoma tysiącami lat przed naszą erą i drugi, którego zadaniem było badanie następnego tysiąclecia, włącznie z początkami państwa polskiego.

To prawda czysto administracyjna. Bardziej znamienitym wydaje się otwarcie 1 maja 1960 roku pierwszej, naprawdę

dużej wystawy obrazującej „Pradzieje Ziemi Lubuskiej”. Dlatego właśnie 1960 rok środowisko naukowe uznaje za początek działalności Zielonogórskiego Ośrodka Archeologicznego, za początek lubuskiej archeologii na naszej ziemi. Wtedy rozpoczął się niebywały rozkwit badań nad pradziejami Środkowego Nadodrza. Prahistorycy odkrywali cmentarzyska i osady z rozmachem, na wcześniej niespotykaną skalę. Objęli badaniami niemal cały region, od Żukowic, gdzie stanęła huta miedzi Głogów, przez Bytom Odrzański, Smolno Wielkie, Broniszów, Wicinę, Luboszyce, Białowice, Krosno Odrzańskie, Gostchorze, Bieganów, Nowy Dworek, Łagów, Pszczew, Lubniewice, Sulęcín, Ośno Lubuskie...

Jeśli nie liczyć seminarium duchownego, to pierwsza szkoła wyższa na Środkowym Nadodrze powstała w 1965 roku. Pisarz Zygmunt Trziszka twierdził, że „Zielona Góra była wtedy najlepszym miejscem na ziemi, gdzie można było uprawiać »self-mademaństwo«. Wojewódzka Zielona Góra chciała zafundować sobie własne środowisko twórcze, więc aura sprzyjała samoukom. Z tego eksperymentu miasto ma dziś własnych profesorów i docentów, poetów i dziennikarzy”.

Polscy archeolodzy zadomowili się tu na stałe w 1960 roku. Proszę mi wierzyć, że zainteresowanie przeszłością naszej ziemi z każdym sezonem badawczym było coraz większe, o czym świadczyła ilość pracujących prahistoryków, publikacje w periodykach naukowych, konferencje. W podzielonogórskiej Świdnicy, w drugiej połowie lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku powstało Muzeum Archeologiczne Środkowego Nadodrza. Tam naprawdę jest co oglądać i czym się zachwycać. A byłoby jeszcze więcej, gdyby zgromadzone w magazynach przedmioty zostały opracowane, zrekonstruowane i przygotowane do wystawienia.

Na co, jak się domyślam, brakuje pieniędzy.

Mam nadzieję, że ten problem przy pomocy marszałka lubuskiego i starosty zielonogórskiego uda się rozwiązać.

Młodzi Lubuszanie z dyplomami uniwersyteckimi wrócili tam, skąd wyjechali na studia archeologiczne. Czy oprócz was tajemnice naszej ziemi interesowały badaczy z Warszawy, Poznania, Wrocławia?

Prace wykopaliskowe prowadzili naukowcy z różnych ośrodków badawczych i o rozmaitych zainteresowaniach historycznych. Najczęściej jednak pojawiali się tu „kamieniarze” z Poznania i Wrocławia.

Kamieniarze?

Tak mówimy o uczonych zajmujących się badaniem epoki kamienia. W odłamekach krzemieni dostrzegają różne narzędzia pracy najwcześniejszych mieszkańców ziemi. Narzędzia te mają cudowne nazwy, a pozostali badacze, przekręcając je nieco złośliwie, powiadają, iż paleoliciarze czy mezoliciarze zajmują się tylczakami jedynakami zboczonymi. I rzeczywiście narzędzia mikrolityczne, wykonane z krzemieni, przez „kamieniarzy” są zwane, na przykład, skrobaczami, drapaczami, rylcami, wiertnikami, przekłuwaczami prowokując nieco złośliwe wyjaśnienie nazwy: drapacz tym różni się od skrobacza, że pierwszy służy do drapania, a drugi do skrobienia i już. Nie odważę się przytoczyć w zrozumiały sposób nazw stosowanych dla określenia sposobów i techniki uzyskiwania takich narzędzi. Aby nie zaciemniać obrazu, powiem jedynie, że mezolityczni łowcy reniferów odbijali z rdzeni krzemiennych wąskie, drobne wiórki, z których składali rozmaite ostrza kościane, rogowe lub drewniane. I wcale nie były to takie prymitywne narzędzia i broń, skoro

przy ich pomocy potrafili upolować zwierzynę, a potem ją obdrzeć ze skóry, poćwiartować i kości oczyścić z mięsa. Skóra i kości stanowiły znaczącą, a może i najważniejszą część łupu myśliwych.

Zainteresowanie „kamieniarzy” naszą ziemią oznacza, że były tu pozostałości obozowisk z okresu późnego paleolitu i mezolitu?

W Linach koło Kargowej badacze natrafili na ślady letniego obozowiska łowców reniferów. Nie dość, że myśliwi przebywali tam przez pewien czas, to na dodatek, w oczekiwaniu na renifery, robili narzędzia krzemienne, na przykład: noże, ostrza do strzał. Podobne znaleziska dokonane zostały w Wojnowie i Pomorsku niedaleko Sulechowa. Z tego samego czasu pochodzą znaleziska z Olbrachcic i Siedlnicy koło Wschowy. W tej ostatniej miejscowości badacze odkryli bodajże najstarszą ozdobę burztynową oraz paciorek wapienny. Innym rejonem badań nad najstarszym osadnictwem lubuskim były okolice Nowej Soli. Tutaj królowali naukowcy z Katedry Archeologii Uniwersytetu Wrocławskiego, profesorowie Zbigniew Bagniewski (nota bene mój kolega ze studiów) oraz Jan Burdukiewicz.

Dlaczego w okolicach Kargowej gromadzili się starożytni myśliwi?

Przez Kotlinę Kargowską miał prowadzić szlak wędrówek reniferów i ich przeprawa przez Odrę. Późnopaleolityczni i mezolityczni myśliwi, zamiast uganiać się za tymi zwierzętami po całym Nadodrzu i Wielkopolsce, czekali, aż idące na północ lub stamtąd wracające stada zgrupują się w kotlinie koło Kargowej. Upolowanie tych ssaków ściśniętych na wąskiej przestrzeni mogło być bardzo łatwe. Identyczne trasy wędrówek reniferów wiodły także obok Wschowy.

Ja urodziłem się w nadodrzańskim Kostrzynie, jestem więc stąd. Jestem Lubuszaninem. Pan też jest Lubuszaninem, mieszkańcem Zielonej Góry, tyle że z powojennego przymusu.

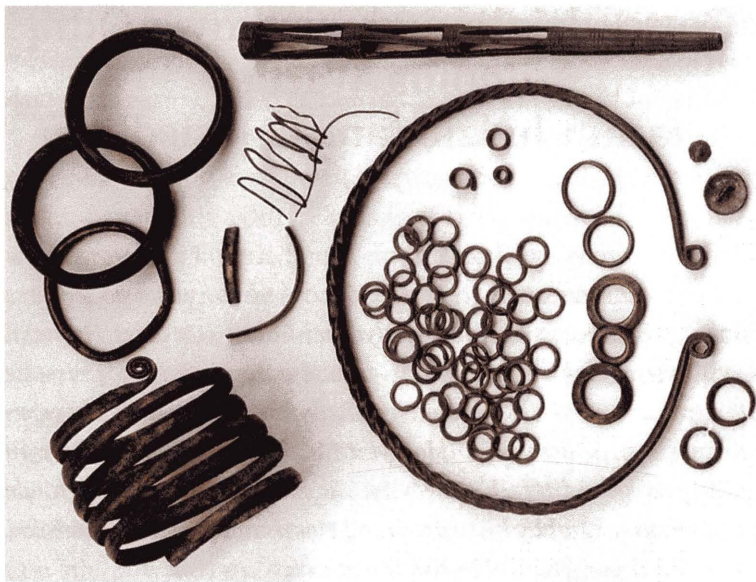
Urodziłem się niedaleko Nowogrodka i Lidy. Kiedy miałem cztery lata, moja rodzina przyjechała na tzw. ziemie odzyskane. Po studiach archeologicznych, ukończonych we Wrocławiu w połowie lat sześćdziesiątych, rozpocząłem pracę w zielono-górskim muzeum. W 1973 roku obroniłem rozprawę doktorską na temat cywilizacji łużyckiej.

Wtedy, kiedy pan rozpoczynał działalność badawczą na Środkowym Nadodrzu, lubuskich archeologów można było policzyć na palcach obu rąk. Pewnie gdyby pan chciał się zająć badaniem czasów rzymskich na naszej ziemi czy wczesnego albo późnego średniowiecza, nikt by nie zgłosił sprzeciwu. Zajął się pan epoką łużycką, czasami w dziejach ludzkości, o których mówią niepiśmienne dokumenty. Domyślam się, że to bardzo trudne zadanie.

Z cywilizacją łużycką związał mnie doktor Adam Kołodziejski i on zaszczerpił mi miłość do tego okresu dziejów. Miłość trwającą do dziś. I miłość odwzajemnioną. Kilkudziesięcioletnie prace wykopaliskowe dostarczyły takiej ilości materiałów źródłowych i tyle satysfakcji badawczej, że obdzielić tym mógłbym dziesiątki archeologów. Miałem szczęście pracować w czasie, gdy było łatwiej spełniać zainteresowania badawcze, prościej otrzymywać na nie pieniądze i czasem aplauz decydentów. W połowie 2010 roku wyszła moja dwutomowa książka „Ziemia Lubuska w dobie cywilizacji łużyckiej”. Gdyby ukazała się dwadzieścia lat wcześniej, dostałbym honorarium wystarczające na nowy samochód. Teraz musiałem sprzedać samochód, aby mieć pieniądze na opracowanie redakcyjne i druk tej książki.

W trakcie przygotowań do naszych spotkań przejrzałem niemało publikacji archeologicznych. Często występuje pan w nich jako autor. Teksty z pańskim podpisem są nie tylko w periodykach specjalistycznych, adresowanych do ograniczonej ilości badaczy, lecz także w wychodzącej w ogromnym nakładzie „Gazecie Lubuskiej”, w czasopiśmie regionalnych: „Nadodrze”, „Przegląd Lubuski” i „Studia Zielonogórskie”.

Zacynałem pracę badawczą w czasie, kiedy łamy większości pism były otwarte dla historyków w ogóle, a dla prahistoryków szczególnie. Miało to jeszcze jedno, dodatkowe i niebagatelne znaczenie. Czytelnicy naszych notatek zaczynali być doskonale zorientowani, co kryje w sobie ziemia. Jakie skarby przeszłości ukazują się podczas orki, kopania żwiru i piasku czy w trakcie prac budowlanych i melioracyjnych. Nie tylko wiedzieli, co można znaleźć, ale też byli poinformowani, że każde znalezisko należy zgłosić do miejscowej szkoły albo w urzędzie gminy. Dzięki wiadomościom ukazującym się prawie każdego tygodnia w lubuskich gazetach i radiu my, badacze, dowiadywaliśmy się o istnieniu ogromnej większości stanowisk archeologicznych.



Pszczelnik, pow. gorzowski – brązowe bransolety, naszyjniki i „pierścionki” oraz zakończenie włóczni odkryte w 1904 r. na głębokości 1 m, datowane na lata 900-800 p.n.e.



Grzmiąca i Bieganów, pow. słubicki – najstarsze i najmłodsze naczynia łużyckie z Ziemi Lubuskiej

Co się działo nad środkową Odrą i dolną Wartą, zanim ludzie tam się osiedlili

Panie doktorze, o Egipcie faraonów coś niecoś wiem po lekturze powieści Bolesława Prusa. O antycznej Grecji – z dzieł Homera, Arystotelesa, Sokratesa, Safony, z mitów. O Ziemi Świętej – ze Starego i Nowego Testamentu. O Rzymie i początkach chrześcijaństwa – z „Quo vadis” Henryka Sienkiewicza. O Śródkowym Nadodrzu sprzed trzech tysięcy lat nic nie wiem. W mojej głowie wygląda to tak, jakby historia naszej ziemi zaczęła się w 966 roku, gdy władcą państwa Polan był Mieszko I.

To i tak nieźle. Jest pan intelektualistą, pisarzem, historykiem, popularyzatorem wiedzy, publicystą. Ja, gdybym nie skończył studiów archeologicznych, gdyby archeologia nie była moim zawodem i pasją już w liceum, pewnie mógłbym powiedzieć to samo, od czego pan zaczął naszą rozmowę. To nie jest pana wina, lecz szkół, do których pan chodził, a konkretnie – programów nauczania. Nauczyciele historii przekazują odrobinę wiadomości o najstarszych cywilizacjach wokół Morza Śródziemnego, uzupełniają ją katecheci wiedzą religijną i biblijną. Potem w nauczaniu jest długa luka, sięgająca niemal tysiąca lat. W szkolnym ujęciu historia ziem polskich zaczyna się od przyjęcia chrześcijaństwa przez dwór Mieszka I. Czasem ktoś wspomni o Popielu zjedzonym przez myszy, Kraku i smoku oraz Wandzie, która nie chciała Niemca. Na swoje usprawiedliwienie szkoły mają to, że badanie najdalszej przeszłości terytoriów między Tatrami i Bałtykiem zaczęło się niedawno.

Dzisiejszy region nad środkową Odrą i dolną Wartą to najczęściej piaszczyste gleby, lasy, rzeki i jeziora, mokradła. Czy tak samo wyglądała nasza ziemia, zanim pierwsi ludzie postawili na niej swoje stopy?

Ukształtowanie pionowe było prawie identyczne. Bardziej widoczne zmiany krajobrazu są związane z regulacją głównych rzek, szczególnie Odry, której długość skrócono wskutek wyprostowania koryta. Spowodowało to spore spowolnienie jej biegu i, co za tym idzie, tworzenie się piaszczystych wysp oraz licznych zatorów. Zanim przeprowadzono pełną regulację, zdarzało się, że osada leżąca na prawym brzegu rzeki, po powodzi odnajdywała się na lewym. Niemal identycznie sprawa przedstawiała się z Wartą, która po południowej stronie szeroko się rozlewała, tworząc mokradła, raj dla ptactwa wodnego. Właśnie ze względu na częste powodzie i podmokły teren długo tam nie powstawały stałe osady. W północnej, wyższej części regionu, między Kostrzynem a Gorzowem, do dziś jest wyraźnie gęściejsza sieć osadnicza niż po południowej stronie Warty.

Czy tak jak dziś była to ziemia wyjątkowo mocno zalesiona z dominacją drzew iglastych?

Większość tego terytorium zajmowały puszcze z przewagą lasów mieszanych. Dzisiejsze lasy na Środkowym Nadodrzu, gdzie dominują strzeliste sosny, są efektem gospodarki planowanej. Inaczej mówiąc, to wynik przemysłanego i wprowadzonego w życie pomysłu najpierw przez niemieckich, a po 1945 roku polskich leśników. Lasy mieszane mają tę przewagę nad iglastymi, że dają lepsze schronienie zwierzętom i ludziom, ułatwiają zdobycie pożywienia, dostarczają urozmaiconego budulca, rzadziej ulegają różnym chorobom. Człowiek, gdy zaczął się osiedlać na tej ziemi, rozpoczął zmianę środowiska naturalnego na bardziej mu przyjazne, podporządkowane. Zmiany nie były

ani szybkie, ani tym bardziej łatwe. Czasem kończyły się klęską osadników i ich projektów.

Jakie gatunki drzew dominowały w prahistorycznych lasach nad Nysą Łużycką, Bobrem, Odrą, Notecią, Wartą?

Na terenach bagiennych i wzdłuż niższych brzegów rzek najczęściej było olch i wierzb. Na wyżej położonych rośło sporo lip, brzoź, krzewów głogów. W lasach liściastych królowały potężne dęby, buki, jesiony, graby, wiązy, na ich obrzeżach w mniejszej ilości klony i topole. Wszystkie je można było spotkać w lasach mieszanych, w których niebosiężna sosna wcale nie była tą najważniejszą. Oprócz sosen z drzew szpilkowych występowały świerki, modrzewie, jodły.

Z punktu widzenia turysty Środkowe Nadodrze jest bajecznie urozmaicone. Na południu regionu ciągną się Obniżenia Milicko-Głogowskie z Obniżeniami Nowosolskimi i Pradolina Głogowską. Od nich na zachód są Bory Dolnośląskie, Równina Szprotawska i Wał Mużakowski. Ku północy wyrastają Wzniesienia Zielonogórskie z charakterystycznym Wałem Zielonogórskim, Wysoczyzną Czerwieńską i Wzniesieniami Gubińskimi. Centrum regionu zajmuje Pradolina Warciańsko-Odrzańska z Równiną Torzymską i Kotliną Gorzowską. Wschodniej części Środkowego Nadodrza pilnuje Pojezierze Sławskie, Pojezierze Łagowskie, Bruzda Zbąszyńska i Pojezierze Dobiegniewskie.

Region nad środkową Odrą i dolną Wartą jest nad wyraz urozmaicony i niezwykle interesujący przede wszystkim dla turysty, ale i – o czym się przekonałem – dla badacza starożytności. Zróżnicowane były i są gleby, w większości bielcowe, piaszczyste, a więc nieprzedstawiające większej wartości rolniczej, za to łatwiejsze w uprawie.

Kiedy wojewodą zielonogórskim był Jan Lembas (1957-1980), o Środkowym Nadodrze mówiono, że to „piaski, laski i lembaski”.

Dla archeologów były to niezłe czasy. Pracowite, ale i obfitujące w osiągnięcia.

Kto był pierwszy na Środkowym Nadodrze: ludzie czy zwierzęta?

Oczywiście zwierzęta. Po cóż mieliby się ówcześni ludzie, przy tym zręczni myśliwi, zapuszczać na te tereny, gdyby tu nie było zwierzyny? Zapewne praojcowie nie tylko polowali na renifery. Ofiarą łuków, dzid, harpunów stawały się także mniejsze okazy natury. Chyba i na ryby częściej polowano niż je łapano na wędkę lub w saki.

W środkowej epoce kamienia funkcjonowały zapewne dwa rodzaje społeczności. Jedną to łowcy reniferów, żyjący z nimi bez mała w symbiozie, i drudzy, bardziej niezależni gospodarczo, zajmujący się nie tylko myślistwem, lecz również zbieractwem runa leśnego, owoców, ziół i dzikich zbóż, a także rybołówstwem. Prawdopodobnie ci drudzy coraz dłużej pozostawali w jednym miejscu i być może oni byli odkrywcami genialnego w swej prostocie tworzywa, jakim okazała się glina. Właśnie ludom z ostatnich stuleci, a może lepiej rzec: tysiącleci poprzedniej ery, przypisuje się wyrób pierwszych naczyń glinianych, tego symbolu zasiedlenia w jednym miejscu.

Neolit był ostatnią z epok kamienia i pierwszą, która powoli prowadziła ludzi do osiadłego trybu życia, do uprawy roli, do coraz większego uniezależniania się od przyrody.

Neolit od początku był wynikiem rewolucji, co oznaczało stopniowe przechodzenie do osiadłego trybu życia, rozwoju rolnictwa, hodowli, garncarstwa i powstaniu gładzonych narzędzi kamiennych.

Według Biblii, Abraham dotarł ze swoim ludem do ziemi Kanan, czyli dzisiejszej Palestyny, w XVII wieku przed Chrystusem. Czy już wtedy ludzie zaczęli prowadzić osiadły tryb życia?

Cywilizacja osiadłego trybu życia rozpoczęła się na początku dziewiątego tysiąclecia przed naszą erą. Oczywiście tam, gdzie sprzyjały temu warunki, a więc gdzie przede wszystkim było ciepło przez cały rok. Mam na myśli ziemie nad Morzem Śródziemnym. Badacze podają, że niewiele lat później ludzie osiedli na terytorium dzisiejszej Turcji, w Chinach, w dolinie Gangesu. W Europie początek tego procesu zaczął się pięć tysięcy lat przed naszą erą.

Posługuje się pan nazwami raczej obcymi przeciętnemu czytelnikowi. A to paleolit czy neolit, a to epoka brązu bądź żelaza. Jeśli jeszcze z resztek wiadomości szkolnych mogą wyłowić, co to takiego trzy główne epoki w dziejach ludzkości: kamienia, brązu i żelaza, to już haśła, takie jak mezolit czy halsztat bądź laten, są dla mnie zagadką.

Dzieje świata uczeni podzielili na trzy epoki. Określili je nazwami wziętymi od tworzywa, z jakiego wyrabiano podstawowe narzędzia. Najpierw był to kamień, jest więc epoka kamienia, potem brąz, czyli epoka brązu, i na końcu żelazo, a od niego epoka żelaza. Inne podziały, już ściśle archeologiczne, nazwy swe przeważnie wzięły od miejsc pierwszych znalezisk, typowych dla danego etapu rozwoju świata, czy od jakiegoś terytorium. Na przykład, dla końca epoki kamienia, czyli neolitu, często formowano określenia biorące się od charakterystycznych cech naczyń glinianych. Stąd kultura pucharów lejkowatych – to ci od kopalń krzemienia pasiastego w Krzemionkach Opawskich, jedyne takiego tworzywa na świecie, czy ceramiki sznurowej. W epoce brązu istniały społeczności, którym współcześni

badacze też nadali nazwy, na przykład kultura unietycka pochodzi od Únětice w Czechach, kultura halsztacka od stanowiska Hallstadt w Alpach salzburskich, gdzie w drugiej połowie XIX wieku prahistorycy odkryli wielkie cmentarzysko. Najbardziej mnie interesująca kultura łużycka ma tyle wspólnego z dzisiejszymi Łużyczanami co koń z koniakiem. Nazwa ta oznacza, że pierwsze charakterystyczne dla tej kultury znaleziska pochodzą z dzisiejszych Łużyc.

Przygotowując się do tego wywiadu, napotkałem określenia pochodzące od znanych mi nazw miejscowości nad Nysą Łużycką i Odrą.

Kultura łużycka, czy jak ją nazywam: cywilizacja łużycka, obejmuje wiele grup żyjących na sąsiadujących z sobą, ale własnych terytoriach. Nad Odrą są to, na przykład, w epoce brązu: zespół sasko-łużycki, brandenbursko-lubuski lub uradzki (od Uradu koło Cybinki), białowicki (od Białowic koło Nowogrodu Bobrzańskiego) oraz górzycy (od Górzycy koło Kostrzyna nad Odrą) we wczesnej epoce żelaza. Podsumowując: nazwy społeczności pochodzą od terytoriów, na których występują podobne znaleziska albo też od miejscowości, w których badacze pierwszy raz natrafili na wytwory typowe dla tych społeczności.

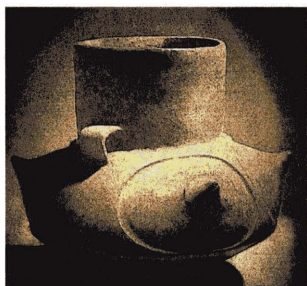
Co działo się gdzie indziej na świecie, kiedy na naszej ziemi pojawiła rozwijała się cywilizacja łużycka?

Chyba najwspanialszym odkryciem egipskim było znalezienie grobu Tutanchamona w latach 1922-1926. Częściowo splądrowany w starożytności grobowiec posiadał, o dziwo, nienaruszoną kryptę główną i skarbiec z sezamowymi bogactwami. Osiemnaścieletni władca Egiptu zmarł około 1350 roku przed naszą erą, a więc na początku cywilizacji łużyckiej. Niniwa, jedno

z najśłynniejszych miast-państw starożytnego Wschodu, stała się stolicą Asyrii w czasie naszej epoki żelaza, czyli dokładnie w 704 roku przed naszą erą. Na Środkowym Nadodrzu rozpoczęły wówczas swe dzieje grupy białowicka, dolnośląsko-wielkopolska i górzycza. One to czerpały garściami z dorobku kulturowego jednego z najwspanialszych, lecz dotąd najbardziej tajemniczego ludu Italii, Etrusków. Znamy ich głównie ze wspinałych grobowców, zdobionych przepięknymi malowidłami ściennymi i rzeźb. Niestety, dotąd badacze nie rozwiązyali zagadki ich pisma. Gdy to się uda, być może prahistorycy znajdą klucz do tajemnic społeczności żyjących na naszej ziemi.

Rozumiem, że Etruskowie oddziaływali na ówczesną Europę przede wszystkim za pomocą swoich wytworów.

Wyroby rzemieślników etruskich docierały na tereny północne. Oddziaływanie garncarstwa znad Tybru przejawiało się w naśladownictwie tamtejszych naczyń. Było to widoczne w ceramice dolnośląskiej, odkrytej w podgłogowskich Żukowicach czy w Deszcznie, Karninie i Łupowie koło Gorzowa. Czas ten ograniczał się do lat 700-600 przed naszą erą. Zanik wpływów etruskich na naszą część cywilizacji łużyckiej zapewne wiązał się z powolnym upadkiem tej kultury i szybkim wzrostem znaczenia Rzymu.



Goszczanowiec koło Drezdenka – zbiór ozdób i narzędzi brązowych odkryty pod koniec XIX w., datowany na lata 900-800 p.n.e.

Naczynia ornamentowane guzami charakterystycznymi dla początków cywilizacji łużyckiej na Śląsku Lubuskim, Ziemi Lubuskiej, Łużycach i Saksonii – czarna waza pochodzi z początków epoki żelaza, została odkryta w Żukowicach pod Głogowem

Skąd przybyli praprzodkowie

Pierwszymi na Środkowym Nadodrzu, o których prahistorycy wiedzą najwięcej, byli ludzie określani jako nosiciele cywilizacji łużyckiej. Na jakie lata datuje się początek tej społeczności?

Precyzyjnie takiej daty jeszcze nikt nie podał. Nawet nie jest możliwe określenie roku czy dziesięciolecia uważanego za początek cywilizacji łużyckiej. Na ogół archeolodzy upraszczają datowanie i dlatego przyjmują, że był to XIII wiek przed naszą erą. Tylko że kiedy indziej początek zaczął się tam, gdzie dziś są Niemcy, w innym czasie na terytorium obecnych Czech i Słowacji, a jeszcze inaczej na obszarach dzisiejszej wschodniej Polski, Ukrainy i Białorusi. Cywilizacja łużycka obejmowała bez mała prawie całą centralną Europę od Alp po Morze Północne i Bałtyckie. Na jeszcze jedno pragnę zwrócić uwagę: to nie była cywilizacja nagle zrodzona.

XIII wiek przed naszą erą wyznacza początek kultury łużyckiej w środkowej Europie. Czy panu lub pańskim kolegom archeologom udało się stwierdzić, kiedy ta epoka zaczęła się na Środkowym Nadodrzu?

Na najwcześniejsze ślady cywilizacji łużyckiej badacze natrafili w południowej części Środkowego Nadodrza. Na użytek naszej rozmowy od tej chwili będę używał nazw zaproponowanych przez doktora Andrzeja Toczewskiego i zastosowanych przeze mnie w dopiero co przytaczanej „Ziemi Lubuskiej w dobie cywilizacji łużyckiej”. Może jest to ahistoryczne, lecz zdecydowanie ułatwia komunikację pomiędzy czytelnikiem a autorem pracy. Południową część regionu zielonogórski historyk

nazywa Śląskiem Lubuskim. Tu za początek cywilizacji łużyckiej można przyjąć rok 1400 przed naszą erą. Na Łużycach Lubuskich i Ziemi Lubuskiej, czyli wschodniej i północnej części Środkowego Nadodrza cywilizacja ta zaczęła się dwieście lat później, a więc w 1200 roku starej ery.

W kilometrach odległość niewielka, piechotą najwyżej trzy dni marszu, w czasie aż dwieście lat?

Proszę pamiętać, że przemiany kulturowe nigdy nie odbywają się z dnia na dzień. Kultura ulega zmianom niedostrzegalnym przez żyjących ludzi. Dopiero po wielu latach widać, jak zmieniały się cywilizacje. Powiedział pan, że między Śląskiem Lubuskim a Ziemią Lubuską w kilometrach jest niewielka odległość, a w czasie, szczególnie z punktu widzenia człowieka współczesnego, ogromna. To niekiedy ma kapitalne znaczenie dla badaczy przeszłości. Właśnie na Ziemi Lubuskiej podczas prac wykopaliskowych archeolodzy znaleźli wyroby neolitycznej tzw. ceramiki sznurowej, których już dawno nie było na Śląsku Lubuskim. Ceramika sznurowa charakteryzowała się zdobieniem naczyń za pomocą odcisniętego sznura. Epigoni epoki kamienia wraz z „młodszyimi” epigonami kultury unietyckiej z pierwszego okresu epoki brązu mieli przyczynić się do powstania kultury łużyckiej na północ od Krosna Odrzańskiego. Miało to trwać bardzo długo, aż do uformowania się cywilizacji łużyckiej. Najstarsza ceramika zdobiona guzami pochodzi tam z mniej więcej XII wieku przed naszą erą, dlatego też nie tylko zdumienie, lecz i niedowierzanie budzi, dlaczego tylko Ziemia Lubuska była przechowalnią wcześniejszych tradycji. Co ciekawe, na południe od równoleżnikowego biegu Odry, a więc przede wszystkim na Śląsku Lubuskim początki cywilizacji łużyckiej przypadają na czasy poprzedzające XIII wiek przed naszą erą. Czynnikiem

sprawczym uformowania się tej cywilizacji miała tam być kultura mogiłowa, która dotarła z południa. Do ubiegłego roku tej kultury, tzn. chowania zmarłych pod nasypami ziemnymi, zwanymi kurhanami, nie miało prawa być na Ziemi Lubuskiej, chociaż liczne jej znaleziska były znane z pobliskiej Meklemburgii.

Jak pan to wytłumaczy takiemu laikowi w zakresie znajomości pradziejów ziemi nadodrzańskiej jak ja?

Archeologia ma to do siebie, że żaden uczciwy badacz nigdy nie powinien być pewny swoich racji. Każde wbicie łopaty w ziemię może dostarczyć czegoś nowego, burzącego dotychczasowe poglądy.

Rozmawiamy o cywilizacji bądź kulturze łużyckiej. Co wspólnego ona ma z mieszkańcami współczesnych Łużyc, krainy historycznej po obu stronach Nysy Łużyckiej, leżącej w Saksonii i Brandenburgii, graniczącej z regionem śląskim?

Łowcy skarbów, w tym i skarbów przeszłości na naszym globie, byli zawsze, ale dopiero w XVIII stuleciu rozpoczęły się zakrojone na szerszą skalę badania naukowe. Właśnie w połowie XVIII wieku niemiecki znawca antyku Johann Winckelmann rozpoczął wykopaliska w Pompejach i Herkulanum nieopodal Wezuwiusza. Prahistorycy przyjęli, że wtedy zaczęła się archeologia jako nauka. Wiek później, bo w 1872 roku, berliński badacz Rudolf Virchow podczas archeologicznej wycieczki po Dolnych Łużycach zwrócił uwagę na wytwory ceramiczne znajdujące w fortyfikacjach osady w Burgu koło Chociebuża i na okolicznych cmentarzyskach. Wytwory te wyraźnie różniły się od znanych wcześniej naczyń, nazywanych ceramiką grodziskową, uważanych zresztą za ceramikę słowiańską. Tę nową ceramikę Rudolf Virchow określił jako wytwory typu łużyckiego. Podczas swoich

podróży po Wielkopolsce, Śląsku, Pomorzu, Morawach, Rusi berlińczyk zauważył, że znajdowane tam gliniane skorupy są podobne do poprzednio odkrywanych, dlatego określenie typ łużycki i na nią rozciągnął. Uczony z Berlina badał nie tylko naczynia, lecz i inne wyroby, i doszedł do wniosku, że w latach 1400–300 poprzedniej ery w środkowej Europie żyła ludność, która miała wiele wspólnych cech. Nazwał ją ludnością kultury łużyckiej. Uważam tę nazwę za zawężoną, sprowadzającą się tylko do kultury materialnej. Mnie, badaczowi pradziejów Środkowego Nadodrza, odpowiada nazwa szersza: cywilizacja łużycka.

Gdzie powstawały pierwsze osady ludności cywilizacji łużyckiej? Pytam nie o całą cywilizację, a jedynie o Środkowe Nadodrze.

W południowej części regionu. Powstawały one tam, gdzie był dostęp do czystej wody i w pobliżu w miarę urodzajne, lekkie gleby, pozwalające na ekstensywną uprawę roli. Gdy wyczerpały się zasoby najbliższej okolicy, ludzie przenosili się na nowe miejsce.

Jak długo przebywali w jednym miejscu?

Na to pytanie nie potrafię odpowiedzieć precyzyjnie. Przodkowie zakładali osady sezonowe i wieloletnie. Były one jedno- i wielozagrodowe. W tych drugich mogło mieszkać kilka rodzin, zapewne ze sobą spokrewnionych. Gdy warunki przyrodnicze sprzyjały, w jednym miejscu osiadali nawet na kilka lat albo, jak w Łagowie, na co najmniej wiek.

Czy ma pan na myśli Sokolą Górę, wyniesienie dominujące nad współczesnym Łagowem?

Siedlisko na Sokolej Górze już z samej natury miało charakter obronny, ale nie było grodem. Poniżej wzgórze, w pobliżu brzegów licznych na tym terenie jezior, na skraju borów znajdowały się

osady przez badaczy nazwane produkcyjnymi. Na Sokolej Górze ludzie tylko mieszkali, a w pobliżu jej robili, na przykład, garnki gliniane. Tuż obok Sokolej Góry, gdzie miał powstać ośrodek wczasowy leśników, prowadziłem prace tzw. ratunkowe. Prócz ziemianek i półziemianek z czasów łużyckich odkryłem szereg jam wypełnionych zniszczonymi naczyniami. Część była spuchnięta, zżużlona, spumeksowana, jak mówią archeolodzy o garnkach źle wypalonych, a część wręcz zeszlona. Wyraźnie było widać działanie wysokiej temperatury, która mogła doprowadzić do destrukcji wytwarzanych naczyń. Ta osada trwała krótko, prawdopodobnie kilkanaście lat, mniej więcej w okresie między 1000 a 900 rokiem starej ery. Zdecydowanie dłużej użytkowano Sokolą Górę.

Na jakiej podstawie doszedł pan do takiego wniosku?

Na podstawie przebadania warstwy kulturowej, która na Sokolej Górze miała grubość dochodzącą do kilkudziesięciu centymetrów.

A co to jest warstwa kulturowa?

Krótko i najprościej mówiąc: to śmietnik, tyle że niezwykle ważny dla badacza. Jest to jedno z najistotniejszych źródeł wiedzy o mieszkańcach i warunkach życia w dawnych czasach. Otóż przedmiotów zbędnych, nieudanych w trakcie ich wytwarzania, zniszczonych, mieszkańcy osad nie rozrzucali gdzie popadło, a wrzucali je do dołów, tzw. jam odpadowych. Osadę niejeden raz odbudowywali po pożarze lub napadzie wrogów. Na gruzach stawiali nowe domy. Powstawała w ten sposób różnej grubości warstwa ziemi z zabytkami. Im dłużej osada trwała, tym warstwa składająca się z tych przedmiotów była grubsza. W Łagowie miała ona do sześćdziesięciu centymetrów,

co świadczy o tym, że osada trwała długo, co najmniej sto, może nawet i sto pięćdziesiąt lat.

Czy zawsze i wszędzie archeolodzy znajdują warstwę kulturową?

Pod koniec lat sześćdziesiątych poprzedniego wieku prowadziłem badania w Lubniewicach. Gdy pomagający mi pracownicy zdjęli cienką warstwę humusu, natychmiast ukazały się ślady domostw, ziemianek, półziemianek i budowli napowierzchniowych oraz rumowisko pieca garncarskiego, a także jamy z odpadkami naczyń glinianych zniszczonych w trakcie ich wypalania. W pobliżu natrafiłem na łańcuch stanowisk łużyckich okalających jeziora. Czy były to wyłącznie osady, czy też pomiędzy nimi znajdowały się cmentarzyska, nie wiem. Obiekty te są znane wyłącznie z badań powierzchniowych, tzn. ze skorup naczyń, które znalazłem na pobliskich polach i łąkach. Wydaje mi się, że pomiędzy osadami istniała więź cywilizacyjna, kulturowa, a nawet dobrosąsiedzka. Ich mieszkańcy wspólnie organizowali dalsze wyprawy, czy to wojenne, czy kupieckie. Współ wytwarzali to, co potrafili i wspólnie handlowali tym, czego mieli więcej.

W jaki sposób ludzie cywilizacji łużyckiej przemieszczali się z miejsca na miejsce? Piechotą, zaprzęgami zwierzęcymi?

Nie mam wątpliwości, że najczęściej wykorzystywali własne nogi. Z badań archeologicznych wynika, że ci bardziej zamożni mieli konie, które latem zaprzęgali do wozów, a zimą do saní. Skoro były konie wierzchowe, to musiały być również konie robocze. Być może również woły.

Kierowali się z cieplejszego południa na chłodniejszą północ, która była rzadziej zamieszkała, a więc dawała większe możliwości zdobycia pożywienia?

Gdyby założyć, że chodzi o mieszkańców Niziny Naddunajskiej, którzy wędrowali nad Bałtyk, gdzie było mniej ludnie, teoretycznie jest to dopuszczalne. Na razie na takie przenoszenie się ludności nie ma nieodparty poszlak. Są dowody na prowadzenie wymiany towarowej i kulturowej głównie z mieszkańcami Przedgórza Alpejskiego i Niziny Naddunajskiej. Mieszkańcy krain naddunajskich mieli kontakty z ludnością cywilizacji greckiej i wczesnorzymskiej. Byli pośrednikami w przenoszeniu nowinek technicznych do środkowej i północnej Europy.

Na terenie puszczańskim, jakim było Środkowe Nadodrze, poprzecinanych rzekami, jeziorami, bagnami, a przez to ubogim w szlaki komunikacyjne, musiało to trwać bardzo długo.

Nie było tak, że rozrzucone po lasach grupki ludzi żyły własnym życiem, bez kontaktu z sąsiadami. Wszelkie nowości musiały docierać do nich szybko jak na tamte warunki. Już na początku XIII wieku przed naszą erą ludność cywilizacji łużyckiej zaczęła zdobić naczynia ceramiczne charakterystycznymi guzami. W przeciągu dwu, trzech pokoleń ta forma zdobienia była obecna wszędzie, gdzie żyli Łużyczanie. Co ważne, niemal każda grupa do zdobień guzami dodawała coś własnego, co z dzisiejszego punktu widzenia okazuje się niezwykle przydatne w określeniu ich zasięgu terytorialnego.

Wybierając terytoria północne, osadnicy i kupcy dosłownie szli pod prąd.

Wędrowali wzdłuż brzegów rzek, ścieżkami wydeptanymi przez tubylców i zwierzyne. Dopuszczam też, że drogę na północ kupcy pokonywali wodą. Niestety, nawet przy puszczeniu wodzy fantazji nie umiem sobie wyobrazić, jak poruszali się z ładunkiem towarów pod prąd bystrej, niepokornej wtedy Odry. Kupcy

i wędrowcy musieli zatem poruszać się przetartymi szlakami, dążąc do znanych sobie brodów. A może poprzedzani byli przez specjalnych przewodników? Może tubylcy użyczali lub, co bardziej prawdopodobne, sprzedawali im wozy, sanie, tratwy, łodzie, konie, woły.

Mówi pan o kupcach wędrujących z południa kontynentu. Czyżby handlowcy z północy, wschodu i zachodu omijali Środkowe Nadodrze?

Wszystko co nowe, co było wynikiem postępu i cywilizacji, w zasadzie docierało do środkowej Europy z południa. Naturalne warunki życia wokół Morza Śródziemnego były lepsze i sprzyjały rozwojowi kultury. Przez kulturę rozumiem wszystko, co jest wynikiem umysłu człowieka, a więc nie tylko wytwarzanie bardziej praktycznych narzędzi z nowych, łatwiejszych w obróbce, trwalszych materiałów, ale i idee. Proszę nie sądzić, że północna część Europy była zapóźniona w rozwoju cywilizacyjnym, wsteczna. Co to, to nie. Północna część ze względu przede wszystkim na chłodniejszy klimat musiała budować takie domy, zgromadzić tyle żywności, uszyć taką odzież, aby w trudniejszych warunkach przetrwać najbardziej niesprzyjający człowiekowi czas zimowych chłódów. Z północy, z Pomorza, Danii czy Szwecji również wyruszały karawany kupieckie, docierając zapewne aż nad Morze Śródziemne. Na pewno oni, a także kupcy znad Dunaju, wracając na południe szlakiem bursztynowym, transportowali towary wytwarzane w północnej Europie. Mogło być też tak, że karawany z północy i południa spotykały się w określonych miejscach, takich punktach wymiany i składowania towarów, czegoś w rodzaju współczesnej hurtowni czy giełdy. Takie miejsce mogło być w Wicinie koło Jasienia.

Jakim językiem posługiwali się kupcy? Może mieli tłumaczy? A może istniała wspólna mowa, zrozumiała przez wszystkie grupy rozsiane po starożytnej Europie?

Chyba każde plemię posługiwało się swoim, odrębnym, choć zbliżonym do siebie językiem. Gdyby była jedna mowa, jej echa by przetrwały do czasów historycznych. Przypuszczam, że w epoce łużyckiej obce osoby nawiązywały kontakt z miejscowymi przy pomocy języka migowego lub podobnych znaków.

Dziś Odra dzieli narody. Czy wtedy, w czasach łużyckich występowały różnice między mieszkańcami zachodniej i wschodniej ziemi nadodrzańskiej?

Nie mam i nie chcę mieć jakiegokolwiek pojęcia o tej sprawie. Nie oznacza to, że nie chciałbym zobaczyć rysunkowej rekonstrukcji kobiety i mężczyzny z tamtych czasów. Jestem przekonany, że tacy sami ludzie żyli na terenie obecnej Brandenburgii jak na Ziemi Lubuskiej. Ich siedliska czy cmentarzyska niczym się nie różniły. Skoro wtedy nie było państw w takich znaczeniu jak dziś, to Odra nie dzieliła ludzi. Badacze mówią o kulturze lubusko-brandenburskiej lub lubuskiej cywilizacji łużyckiej. Inaczej to wygląda, jeśli chodzi o południową część Środkowego Nadodrza. Trudno o identyczną ceramikę znajduwaną na Łużycach Lubuskich i Śląsku Lubuskim.

Świadczy to o tym, że Bóbr stanowił wyraźniejszą granicę kulturową.

Zanim nastał czas budowania grodów, praprzodkowie zakładali osady nieobronne. Panie doktorze, czy znajdowały się one po obu stronach Odry i Nysy?

Osady tej samej kultury były po obu stronach rzek. Odpowiadając na pana pytanie dotyczące osad, zaznaczam, że będzie

w tym więcej domysłów niż faktów potwierdzonych badaniami. Zanim przodkowie zaczęli stawiać trwalsze domy, do czego zmuszał ich bardziej uregulowany tryb życia, zakładali osady sezonowe. Często były to prowizoryczne, nietrwałe obozowiska, dające schronienie jedynie przed deszczem i wiatrem. Po obu stronach Nysy, tam gdzie żyli ludzie zaliczani do grupy białowickiej, na blisko dwa tysiące rozpoznanych cmentarzysk archeologom udało się odkryć zaledwie kilkadziesiąt osad. Nie twierdzę, że nie było ich więcej. Musiały być, tyle że do naszych czasów w znikomej części zachowały się w miarę czytelne ślady po domach, zagrodach, pomieszczeniach dla zwierząt, urządzeniach gospodarczych i produkcyjnych.

Odnoszę wrażenie, że badacze przeszłości sprzed trzech tysięcy lat najlepiej czują się na miejscach pochówku, nie dając spokoju zmarłym.

Wszystko, co archeolog znajduje na cmentarzysku, zostało specjalnie dobrane, było ładniejsze, bogatsze. Wyposażenie grobów bardziej przemawia do odkrywców niż jakieś mniej lub bardziej nieforemne ślady na piasku, gdzie na przykład stały domy.

Dlaczego są cmentarzyska, a w pobliżu nie ma śladów miejsc, w których stały domostwa?

Zadał pan jedno z tych pytań, na które ja, archeolog z niemal półwiecznym doświadczeniem, nie potrafię odpowiedzieć. Skoro są cmentarzyska, to w ich pobliżu musiały być siedliska ludzi. Niestety, w bardzo wielu miejscach nie znalazłem potwierdzenia tego, domyślałem się jedynie, że pozostałości po osadach są tak enigmatyczne, że uchodzą uwadze znalazców i badaczy. To nie jest jedyna przyczyna takiego stanu rzeczy. Inną

mogą być zmiany klimatyczne. W czasach, gdy klimat stawał się suchy, ludzie przenosili swoje siedliska bliżej zbiorników wodnych. Po pogorszeniu się warunków klimatycznych, gdy poziom wody się podnosił, opuszczali osiedla i przenosili się na wyższy teren. Pozostawione domostwa zarastały sitowiem i tatarakiem. Gdy znów następowała faza bardziej sucha, to co jeszcze pozostało, stawało się łąką. Dziś w takich miejscach jest bardzo trudno prowadzić prace badawcze, zwłaszcza że ślady po dawnej zabudowie są nikłe, wręcz niezauważalne.

Tak bardzo praprzodkowie byli uzależnieni od zmian klimatycznych? Czy fazy ocieplania i ponownego oziębiania były cykliczne, powolne, czy też następowały nagle, tak jak to się dzieje ostatnio?

Uczeni wypowiadają na ten temat rozbieżne opinie. Przeważnie uznają, że ekstremalnie wysoki poziom wód gruntowych, a więc okres bardzo mokrego klimatu, przypadał na koniec epoki kamienia i ewentualnie na początek epoki brązu. Powolne osuszanie było cechą reszty tego czasu aż do początków epoki żelaza, czyli do około 600-550 roku przed naszą erą, kiedy poziom wód gruntowych miał się znów podnosić. Pod koniec cywilizacji łużyckiej, około 350-300 roku przed naszą erą, miało nastąpić niebywale szybkie osuszenie klimatu i gwałtowny spadek poziomu wód gruntowych. Wahania klimatyczne odbijały się na szacie roślinnej i faunie, a co za tym idzie – na poziomie życia ludzi.

Gleby obok naturalnych zbiorników czystej wody były drugim bardzo ważnym czynnikiem w wyborze miejsc na siedliska. Najbardziej żyzne są na ziemi głogowskiej. Tam, gdzie rolnicy sieją pszenicę, rzepak, buraki cukrowe.

Ziemie lessowe czy mady dają rzeczywiście zdecydowanie lepsze plony. Nie jest konieczne tak częste ich nawożenie jak

gleb piaszczystych czy zbielicowanych. Te ostatnie mają jednak jedną podstawową zaletę: nie wymagają od rolnika ciężkiej pracy, chociaż zebrane z nich plony są niskie. Mimo to właśnie w pobliżu takich ziem praprzodkowie zakładali osady.

Czy osady były dużymi skupiskami ludzi?

To zależało od warunków. Jeśli środowisko, gdzie znalazła się osada, nie było łaskawe dla ludzi, powstawały sezonowe, krótkotrwałe bazy. W takiej osadzie przebywały dwie, trzy rodziny. Większa grupa ludzi miałaby problem ze zdobyciem wyżywienia. I, co ciekawe, nie były to rodziny wielopokoleniowe, a najczęściej młodzi rodzice i ich dzieci. Do takiego wniosku doszli prahistorycy po przebadaniu cmentarzysk ciałopalnych.

Zaraz, zaraz, jak na podstawie przebadania cmentarzysk można dojść do takiego wniosku?

Podczas badań na cmentarzyskach rzadko natrafiałem na zmarłych powyżej czterdziestego roku życia. Zżymałem się na stwierdzenia antropologów, którzy obwieszczali, że znaleźli kości osoby w podeszłym wieku. Pytałem: w podeszłym wieku? To ile miała lat? Około pięćdziesięciu, padała odpowiedź. Dopiero po zastanowieniu zdawałem sobie sprawę, że pytając, miałem na myśli wiek osoby dziś uważanej za starszą. W osadach łuzickich większość mieszkańców to byli ludzie w pełni sił, dwudziestokilkuletni, trzydziestoletni rodzice i ich małoletnie dzieci.

Usiłuję wyobrazić sobie drwala, który, zanim postawi dom z drewna, musi ściąć wiele drzew. Gdyby miał piłę spalinową, ciężką siekierę... Ten przed tysiącami lat miał tylko siekierę, nawet jeśli

żelazną, to jednak lekką i wymagającą nieustannego ostrzenia. Jeszcze gorzej musiała sprawować się siekierka wykonana z brązu.

Niedawno w Anglii prowadzono rozmaite eksperymenty w ramach tzw. archeologii doświadczalnej. Uczestnik doświadczenia dostał do ręki siekierkę wykonaną z brązu po to, aby przy jej pomocy ściąć drzewo. Niech pan zgadnie, ile czasu zajęło mu to ścinanie.

Najwyżej kilka godzin.

Dwa dni, proszę pana. Dwa dni dziobał drzewo siekierką do momentu jego zawalenia. A gdzież tu jeszcze obcięcie konarów, podzielenie na różnej długości bale, kłody. Do jego obowiązków należało niekiedy zaostrenie belki drewnianej. Czasem wydaje mi się, że przy takich pracach nadal zupełnie nieźle mogłyby się sprawować narzędzia kamienne czy krzemienne.

Może praojcowie znali inne, szybsze metody ścinania drzew.

Jako archeolog z niemałym doświadczeniem nie spotkałem się z inną metodą ścinania drzew. Zresztą licho ich wie. Jedno jest pewne: przodkowie byli niezwykle obrotnymi i pomysłowymi ludźmi. Nie byłbym zdziwiony, gdyby do pomocy w tak zbożnym dziele jak przygotowanie drewna na budowę domu korzystali z pomocy bobrów. Jednego jestem pewien: ówcześni budowniczkowie nie gardzili drzewami powalonymi przez wiatr i także, głównie właśnie nad Odrą, pniami niesionymi przez nurt rzeki. Jak już zdobyli drewno, to zaczynali jego obróbkę przy pomocy sterowanego ognia.

A co to takiego?

Sterowanie ogniem jest jedną ze starych sztuczek ciesielskich. Polega ona na specjalnym ułożeniu pni na ognisku po to, aby

przeprowadzić tzw. klepsydrowate przepalenie drewna. Z jednego pnia otrzymywano wtedy dwie belki o spiczastych zakończeniach. Dodatkowym efektem takiej obróbki było zabezpieczenie drewna przed butwieniem i szkodnikami. Przez rozdzieranie pni drewnianych przy pomocy klinów z innego, twardego drewna robiono dranice. To coś przypominającego deskę. Czyli cieśla wbijał w kłodę drewniane kliny, nasączał je wodą i czekał na nocny czy poranny przymrozek. Pod wpływem mrozu kliny się rozszerzały i rozsadzały bale. Po trosze przypominało to sposób wrywania ogromnych bloków skalnych, używanych do budowy piramid w czasach faraonów w Egipcie.

Do czego służyły dranice?

Bale drewniane wykorzystywano przede wszystkim do budowy trwałych domostw i fortyfikacji. Dranice najczęściej znajdowały zastosowanie przy umacnianiu grodów, budowie studni oraz w pracach bednarskich, ciesielskich i stolarskich.

Czy praojcowie stawiali duże domy, z gankiem, sienią, kilkoma izbami, komorą, poddaszem?

W zależności od możliwości, potrzeb, ale i chyba gustu domowników były różne zabudowy. A więc szałas, półziemianki, ziemianki, budynki naziemne postawione na planie owalu z grubych gałęzi oraz prostokątne, wieloletnie budowle z drewnianych bali. Ściany nie zawsze były z ułożonych na sobie i uszczelnionych mchem kłód drewnianych. Chyba znacznie częściej niż sądzą archeolodzy, stosowano coś w rodzaju płotu z przeplatanej faszyzny, obrzucanej gliną. Badacze niemieccy ratujący stanowiska archeologiczne przed powstającym zagłębieniem węgla brunatnego w miejscu, gdzie była osada, natrafili na znaczną ilość spumeksowanej ceramiki. Uznali, że mogła ona mieć

zastosowanie przy tworzeniu bloczków, z których budowano domy. Analogicznie do dzisiejszego siporeksu czy żuźlowych pustaków. Znaczna część tych budowli była podobna do tego, co można zobaczyć w skansenach budownictwa ludowego, tyle że bez okien, typowych kominów i pieców zwanych chlebowymi, na których mogła spać cała rodzina. Domy praojców były najczęściej jednoizbowe, chociaż mogły mieć również ganek. Ślady takich budynków archeolodzy znaleźli w Lubniewicach, w Czernej koło Żagania.

Co się znajdowało wewnątrz domu?

W centralnym miejscu było palenisko, po bokach łoża ze słomy, trzciny, przykryte skórą lub sfilcowaną wełną. Oprócz ludzi w domu mogły przebywać mniejsze zwierzęta, na przykład kury, owce. Pod dachami większych konstrukcji prawdopodobnie miały schronienie duże zwierzęta, mam na myśli krowy i woły. Proszę wziąć pod uwagę i to, że zimą zwierzęta dawały ciepło. Ciepło rozchodziło się po izbie podczas gotowania stawy. Mogło też pochodzić z ognisk rozpalanych na podwórzu. Stamtąd przesyłano je do domu kanałem z kurtyną zrobioną ze skór. To z grubsza mogło przypominać nasze nawiewowe, centralne ogrzewanie.

Przez nieuszczelne ściany domów do środka dostawała się wilgoć i zimne powietrze, co powodowało, że wewnątrz było niewiele cieplej niż na zewnątrz. W dodatku pewnie i od podłogi ciągnęło chłodem.

W domu nie było drewnianej podłogi, a coś w rodzaju klepiska zrobionego z gliny przemieszanej z krótko przystrzyżoną słomą. Stanowiła ona jakąś izolację i ochronę przed chłodem. Wiatr tam nie hulał, ale z pewnością nie było za ciepło.

Mówił pan, że praojcowie byli sprytni, pomysłowi, dlaczego nie kładli podłóg z desek?

W dzieciństwie widziałem kurne chatki galicyjskie. Najczęściej były jedno- lub dwuizbowe, z małymi oknami i ubitą gliną jako podłogą. Te domy budowniczkowie stawiali z drewnianych kłóców łączonych na zrąb. Pod strzechą ze słomy znajdowała się obora lub stajnia, a niekiedy jeszcze i kurnik. Zapewne zbliżone wyglądem i konstrukcją zagrody stały w siołach naszych przodków.

Na ile lat wystarczał taki dom?

Ten zamieszkały dłużej stał nawet kilkadziesiąt lat. Domy sezonowe to były obozowiska z szałasami. Szalasy nieco większe i częściowo zagłębione w ziemi archeolodzy nazwali półziemiankami i ziemiankami. Co ciekawe, ziemianki nadawały się do zamieszkania nawet w zimie. Nie było w nich za ciepło, ale chroniły przed mrozem, śniegiem, wiatrem i deszczem.

Od wiosny do jesieni praprzodkowie przebywali w swoich domach chyba tylko w nocy, podczas niepogody i w chłodniejsze, wietrzne dni. Dopiero zimą całe ich życie toczyło się pod dachem. W jaki sposób wtedy kontaktowali się z sąsiadami?

Między domami mieszkalnymi albo w niedalekiej od nich odległości stały budynki najczęściej wykonane przy pomocy pali, znacznie większe od mieszkalnych. Badacze przeszłości nazwali je domami społecznymi. W Lubniewiczach natrafiłem na ślady takiego budynku, który zajmował niemal pięćdziesiąt metrów kwadratowych. Datowałem go na 700-600 rok przed naszą erą. W Czernej koło Żagania archeolog Alina Jaszewska z zespołem dokopała się do pozostałości jeszcze wcześniejszej budowli, bo pochodzącej z lat 1200-1100 poprzedniej ery.

Co ciekawe, znalazła tam ślady kilku następujących po sobie faz osadniczych.

Czy to znaczy, że kolejne pokolenia pramieszkańców Czernej w tym samym miejscu wznosiły swoje domy społeczne?

Zdaniem Aliny Jaszewskiej w tym miejscu były ślady pozostawione przez ludzi z końca epoki kamienia, poprzez najdłużej trwającą tam kulturę łużycką aż po tzw. kulturę luboszycką. Natrafiono nawet na ślady osadnicze z późnego średniowiecza i nowożytności.

Cóż tak atrakcyjnego było w Czernej, że miejsce to wybierały kolejne pokolenia? Gleby?

Nie. Gleby były mało urodzajne.

Lasy?

Być może. Ale to za mało, aby były w stanie zaspokoić potrzeby kolejnych pokoleń, które przecież widziały, jak się zmienia świat.

Zatem co, panie doktorze?

Najprawdopodobniej dolina rzeczki Czernej, dziś niewielka, niegdyś była szeroka. Zresztą i sama Czerna musiała być szeroka. Rzeka dostarczała nie tylko niezbędnej do życia mieszkańców wody, ale i również ryb, raków, ptactwa wodnego. Musiało tam być dużo łatwego do zebrania pożywienia dla zwierząt domowych i dzikich. I, co przed wiekami miało ogromne znaczenie szczególnie w budownictwie, było tam źródło trzciny.

Wróćmy do budowy, której ślady badacze odkryli w Czernej.

Składała się ona z dwu niesymetrycznych części. Ich oś stanowiła ściana poprzeczna, zbudowana mniej więcej w proporcjach

5:1. Jak podają autorzy pisemnego sprawozdania z tego wykopalska, Piotr Dziedzic i Julia Orlicka-Jasnoch, analogiczne lub zbliżone konstrukcje odkryto w Książniku na Dolnym Śląsku i w Buchu, dzielnicy Berlina. Wszystkie one posiadają konstrukcję słupową. Dach domostwa miał być zbudowany na sochę i ślemię.

Co to znaczy?

Socha to drewniany słupek wbity w ziemię i rozwidlony u góry. Służył jako podparcie całej konstrukcji dachu. A ślemię to górna, pozioma belka oparta na sochach.

Jakie przeznaczenie miała budowla w Czernej?

Prawdopodobnie, jak chcą badacze, część obiektu pełniła funkcję magazynową, a nawet jako czasowe pomieszczenie dla hodowanych zwierząt. Sugerują oni, że mógł to być również wielorodzinny dom, w którym żyło od dwunastu do czternastu osób.

Osada w Czernej może świadczyć o tym, że było to miejsce dłuższego pobytu mieszkańców. Może nawet od urodzenia aż do śmierci.

Tego nie można wykluczyć.

A w ogóle to z trudem sobie wyobrażam, jak oni wtedy tam żyli. Gdy w moim domu nagle zabraknie prądu, niemal nic nie funkcjonuje. Pół biedy, jeśli trwa to krótko. Zdarza się kilkugodzinne życie przy świeczce i wtedy czujemy się bezradni.

Czarna, Łagów czy Lubniewice były czymś więcej niż osadami nadrzecznymi czy nadjeziornymi. Z tego miejsca myśliwi wyruszali na polowanie, rolnicy wychodzili na pola, bartnicy szli

po miód. Tu mogli spędzać najtrudniejsze pory roku, a przede wszystkim zimy... Pan z trudem sobie wyobraża, jak nieznający prądu czy samochodów przodkowie radzili sobie na co dzień. Ja, mimo że niemal całe życie poświęciłem badaniu cywilizacji łużyckiej, też często się nad tym zastanawiam: co to było za życie?!

Co to było za życie, panie doktorze?

Przodkowie wcale nie byli aż tak prymitywni, jak my dziś to sobie wyobrażamy. Oni metodą prób i błędów nauczyli się, jak sobie radzić w trudnych sytuacjach. A przy tym naprawdę byli znakomicie zorganizowani.

Nie muszę pana przekonywać, że zdarzają się takie sytuacje w życiu współczesnego człowieka, gdy rozkłada ręce. Staje się bezradny, mimo że w zasięgu ręki ma komputer, telefon komórkowy, lekarza rodzinnego, księdza...

Dawni mieszkańcy naszych ziem jak nie wiedzieli, co zrobić lub gdy znajdowali się w sytuacji ekstremalnej albo byli silnie zestresowani, oddawali się w opieką bogom i przeróżnym bóstwom. A czy my, ludzie epoki atomu, telewizji, Internetu aż tak bardzo od nich odeszliśmy? Czy my także nie wnosimy modłów, na przykład o deszcz albo o słoneczną pogodę? Nie wzywamy na pomoc wszystkich świętych? Nawiasem mówiąc, świętych podobnych do ówczesnych i nieco późniejszych bóstw opiekuńczych. Proszę pana, mądrość każdej religii polega na twórczej adaptacji wcześniejszych wierzeń. Nie podoba mi się to, że niektórzy w swym zadufaniu określają dawne wierzenia jako pogańskie. W sferze mentalnej, w swych odczuciach, interpretacjach otaczającego nas świata, a zwłaszcza w bojaźni przed śmiercią i wyobrażeniach o życiu wiecznym jesteśmy tradycyjni. Powiem wprost: jesteśmy zacofani.

Zbyt daleko odszedł pan od odpowiedzi na pytanie. O ostatnich chwilach życia i o śmierci będziemy rozmawiali później.

Przepraszam za to, ale zanim skończę odpowiedź na zadane pytanie, odniosę się do kwestii nazywanej dziś stosunkami społecznymi. Zmieniały się one powoli, jak mówią badacze, ewolucyjnie. Nasze wyobrażenie o tzw. wspólnocie pierwotnej jest zdecydowanie bardziej prymitywne niż to, czym ta wspólnota była. Rzeczywiście szereg rzeczy wykonywano razem, a część stworzonych budowli stanowiła własność wszystkich współplemieńców. To jedna strona medalu, druga jest taka: również istniała własność prywatna, szczególnie własność osobista. Był podział na biednych i bogatych. Na zarządzających i zarządzanych. Na obrońców i bronionych. Na zdolnych, potrafiących, na przykład, podpatrzeć lub nauczyć się od wędrownych rzemieślników, z czego i jak zrobić brąz i takich, których żadne nowinki nie interesowały. A czy dziś jest inaczej?

Z tego, co pan powiedział, wynika, że już wtedy był podział na klasy, na lepszych i gorszych...

Oczywiście. Na interesującej nas ziemi dominowały osady rolnicze, Obok nich były siedliska produkcyjne, na przykład w Lubniewicach czy Łagowie, gdzie robiono naczynia gliniane dla potrzeb własnych i na wymianę z sąsiadami. Nie wierzę, aby każdy mieszkaniec Środkowego Nadodrza umiał lepić i wypalać garnki. Znajdowane przez archeologów naczynia są podobne do siebie, co świadczy o tym, że jeśli nie zostały zrobione tą samą ręką, to przynajmniej według tego samego pomysłu.

Czyżby już wtedy istniała nie tylko specjalizacja, ale i społeczny podział pracy?

Zanim Niemcy rozpoczęli budowę kopalń węgla brunatnego tuż przy granicy z Polską, teren z dokładnością przebadali archeologowie.

I co tam odkryli?

Odkryli, nie do uwierzenia, jamy, w których było zboże pochodzące z czasów cywilizacji łużyckiej. Ich zdaniem były to pozostałości po spichlerzach. Przyzwyczajeni do zaskakujących odkryć archeolodzy zaczęli zadawać sobie pytania nie tyle o sam widoczny przecież sposób magazynowania ziarna, co o jego dystrybucję. Bo skoro istniały spichlerze, to musiał być zorganizowany, mówiąc językiem współczesnym, skup zboża i jego sprzedaż. Była więc organizacja rynku żywnościowego, co jest najtrudniejsze w handlu w ogóle, wszak wymaga wiedzy o przechowywaniu produktów. O wiele łatwiej jest magazynować suszone mięso, solone ryby, ozdoby z brązu niż ziarno na mąkę i kaszę. Podobną rolę wyznacza profesor Zbigniew Kobyliński jamom zasobowym, odkrytym w Starosiedlu pod Gubinem. Tu także magazynowano zboże i nim handlowano, tyle że w miejscu od 80 lat, a więc od czasów Carla Schuchharda, uznawanym, jak się okazuje niesłusznie, za jedyne, całkowicie przebadane grodzisko grupy białowickiej ludności kultury łużyckiej. Wyniki dawnych, ale i najnowszych prac wykopaliskowych to zupełnie inna historia. Trzeba podkreślić, że odkrycie, zapewne nie ostatnie silosów zbożowych zaświadcza także o znacznie bardziej, niż sądziliśmy dotychczas, rozwiniętym rolnictwie na Łużycach, także i na ich wschodnim, lubuskim skrawku.

Osada otwarta była skupiskiem najwyżej kilku domów. Czy to oznacza, że w niedalekiej odległości znajdowała się kolejna, współpracująca z sąsiednią albo i od niej zależna?

Jak już powiedziałem, osadę tworzyła rodzina lub ród. Odstępstwem od tej zasady było siedlisko na Sokolej Górze w Łagowie. Tam na pewno mieszkali członkowie większej ilości rodzin. W grupie żyło im się wygodniej, bezpieczniej. Warunki przyrodnicze w Łagowie ułatwiały zdobycie pożywienia, co było sprawą najważniejszą. W innych częściach Śląska Lubuskiego i Ziemi Lubuskiej osady były rozproszone, co miało ponoć wynikać z trudności w zdobywaniu pożywienia. Nie wiem dlaczego, ale mam wewnętrzny opór przeciwko sprowadzaniu wszystkich czynności pradziadów do kwestii wyłącznie zaspokajania swych potrzeb życiowych. Ten typ zachowania raczej charakteryzuje zwierzęta, a nie ludzi. Jest jeszcze instynkt reprodukcji, swoistej nieśmiertelności. To są motory działań wszystkich żywych organizmów.

Ludzie wyrośli ponad to.

Homo sapiens ma rozum, intelekt pozwalający nie tylko na stwarzanie coraz bardziej wymyślnych urządzeń i maszyn ułatwiających mu życie, ale i również na zaspokajanie ambicji, poszukiwań twórczych, instynktów i talentów. Ma sztukę, religię, działania prospołeczne, mniej egoistyczne. Taka przynajmniej jest teoria. A praktyka? Na to pytanie niech każdy czytelnik spróbuje sam sobie odpowiedzieć.

Panie doktorze, czy osada zawsze była tym jedynym miejscem codziennego życia jej mieszkańców? Tu się rodzili, tu dojrzewali, tu zakładali rodziny i tu umierali?

Przez część roku, przez kilka sezonów tu się koncentrowało codzienne życie Łużyczan. Odstępstwem od tej zasady były osady i obozowiska przy miejscach kultu i cmentarzach. Przodkowie traktowali cmentarzyska jako miejsca szczególne, znajdujące się pod opieką kapłanów i ich pomocników.

W każdej religii, każdej cywilizacji i kulturze miejsce pochówku ma znaczenie szczególne dla żywych.

Człowiek od początku swego istnienia boi się śmierci i szanuje szczątki zmarłych. Nie wiem, jaki procent ludzkości wierzy w życie pozaziemskie. Wiara w życie pozagrobowe jest pniem każdej religii, poczynając od wierzeń najprymitywniejszych po wyznania współczesne. Człowiek jest zapewne jedynym stworzeniem, które własnym umysłem potrafi opuścić swoje ciało i spojrzeć na siebie z zewnątrz. Pierwsze hominidy, czyli wyprostowani, chodzący zapewne na dwu nogach przodkowie nie grzebali swych zmarłych, dlatego też ich afrykańskie pozostałości są tak niezwykle rzadkie, a poza tym liczą, bagatela, prawie cztery i pół miliona lat. Dwa miliony lat temu, kiedy jeszcze wędrowały po ziemi istoty z innej ewolucyjnej, choć ślepej gałęzi, australopiteki, oraz pierwsi z gatunku homo, posługiwano się prymitywnymi, kamiennymi i krzemiennymi narzędziami. My, ludzie rozumni, jako homo sapiens posiadliśmy te umiejętności w sposób rewolucyjny. Około czterdziestu tysięcy lat temu nasz gatunek uczłowieczył się tak nieprawdopodobnie, że w źródłach archeologicznych występują pierwsze przejawy sztuki, rytuałów religijnych i symboliki. I pierwsze, jak najbardziej świadome chowanie zmarłych w specjalnie przygotowanych do tego miejscach.

Rytualne grzebanie ciał zmarłych towarzyszy ludzkości od tysięcy lat. I od najdawniejszych czasów żywi wierzą w życie pozagrobowe, zmartwychwstanie.

Niektórzy uczeni uważają, że bezpośredni poprzednik i wielusetletni sąsiad gatunku homo, aż do około dziesięciu tysięcy lat temu, czyli neandertalczyk już grzebał swych zmarłych. Dowodzi tego celowo złożony w wykopanym dole szkielet, na

który natrafiono w jaskini Kebara w Izraelu. Ponieważ jedna jaskółka wiosny nie czyni, niektórzy podają w wątpliwość, czy fakt ten zaświadcza o wierze w życie pozagrobowe. Tak więc na razie wypada uhonorować owym „wynalazkiem” członków rodziny homo. Skłonny jestem przyznać rację tym badaczom, którzy uznają, że w przyszłość wyniosła nas nie tylko umiejętność posługiwania się narzędziami, ich udoskonalania i wymyślania, lecz także cała sfera psychiczna, szczególnie jak najszerzej pojęta religia i powiązana z nią sztuka. Bądź co bądź nazwa: człowiek rozumny – homo sapiens zobowiązuje.

Z wyprawy w odległą przeszłość powróćmy do czasów nam bliższych i zdarzeń, które są panu zdecydowanie lepiej znane, czyli do epoki brązu i wczesnej epoki żelaza na Środkowym Nadodrzu.

W epoce brązu i wczesnej epoce żelaza wierzenia ludności cywilizacji łużyckiej były już nad wyraz rozbudowane. O tej stronie życia ówczesnych plemion, w oparciu o to, co znaleźliśmy na licznych wykopaliskach oraz na często ogromnych i wielusetletnich cmentarzyskach ciałopalnych, mogę dużo powiedzieć.

Połączmy więc powracający nieustannie motyw religii z dotąd prezentowanymi przez pana sprawami gospodarczymi i społecznymi. Czy osady, które znajdowały się przy cmentarzach i miejscach kultu były trwałe, całoroczne? Czy były to siedliska, takie ówczesne wsie?

Chyba jednak nie. Na taką interpretację nie pozwala wielkość i ilość odkrywanych śladów przy cmentarzyskach. Były to bardziej obozowiska niż osady, funkcjonowały one od wiosny do jesieni. W ziemie zmarłych raczej nie chowano. Pozostałości ognisk, palenisk i szałasów, na jakie natrafiliśmy w bezpośredniej bliskości cmentarzysk w okolicy Cybinki, wydają się potwierdzać

moje przypuszczenia, że przebywały tam osoby zawiadujące świętym terenem, jakim było miejsce chowania zmarłych. One to opiekowały się grobami, przygotowywały drewno na stopy ciepłopalne i ogniska żałobne. Nie oznacza to, że owi ludzie przez cały czas tam żyli. Oni dochodzili na dzień, dwa albo nawet i dłużej.

*Jeśli mieszkańcy osad przycmentarnych opiekowali się nekropoli-
liami, to nie mieli czasu na uprawę ziemi, polowania, w jaki więc
sposób zdobywali pożywienie?*

Kłania się społeczny podział pracy. Za opiekę nad miejscami cmentarnymi dostawali wynagrodzenie w formie żywności, skór czy wełny lub lnu na odzież oraz ozdób. Opieka nad cmentarzyskami nie była ich podstawowym zajęciem, a raczej dodatkową pracą, taką ówczesną fuchą.

Może była to forma wyróżnienia wybranych osób?

Nie potrafię odpowiedzieć, czy owi opiekunowie, przecież specjalnie wyróżnieni, cieszyli się prestiżem, czy też, jak to było w innych starożytnych cywilizacjach, byli ludźmi nieczystymi. Bardziej skłaniałbym się ku pierwszej możliwości, biorąc pod uwagę miłość i szacunek, jakim otaczano zmarłych ojców.

*Zanim rozpoczniemy rozmowę o grodach, proszę o krótkie
podsumowanie tego, co pan powiedział o czasach osadnictwa
otwartego.*

Można to zawrzeć w jednym stwierdzeniu: ówcześni ludzie byli niezwykle mobilni. Ze swoim niewielkim dobytkiem przenosili się z miejsca na miejsce, nie wędrując daleko, lecz w pobliżu miejsca swego urodzenia, które najlepiej znali i gdzie się najlepiej czuli. Bez wyraźnej konieczności nie wykraczali

poza terytoria już opanowane, sobie podporządkowane, znane. Jak najczęściej bywa, jednostki najbardziej śmiałe, najbardziej niecierpliwe, czyli ludzie chcący jak najszybciej poprawić swój byt, najchętniej i najliczniej podejmowały ryzyko dalszych wypraw. A to w celach rabunkowych, a to aby zdobyć żonę lub też osiedlić się na nowym, nie zawsze dziewiczym terytorium.

Tak mogła mieć się sprawa z początkami cywilizacji łużyckiej na znacznej części Środkowego Nadodrza.

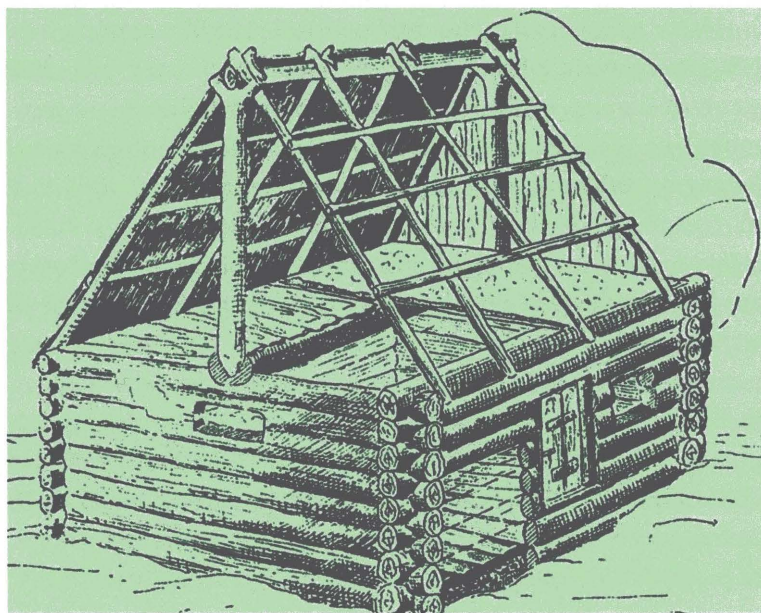
W Jagłowicach koło Tuplic, w pobliżu Nysy Łużyckiej, kilka lat temu badacze odkryli sporą, jeszcze niezniszczoną część cmentarzyska z grobami płaskimi i kurhanami. Było ich kilkaset, pochodzących z bardzo krótkiego wycinka czasu, bo z około stu, stu pięćdziesięciu lat. Znalezione tam naczynia zdobione guzami były identyczne jak te, na które archeolodzy napotykali na całej Ziemi Lubuskiej, a najwięcej w okolicy Cybinki. Ilość pochówków w Jagłowicach wskazywała na swego rodzaju eksplozję demograficzną, która stała się zaczynem migracji części ludzi na obszary mniej lub nawet prawie niezasiedlone. Właśnie poza Odrę, na Pojezierze Lubuskie. Tak, według mojej teorii, narodziła się kultura łużycka na tych terenach. Była ona podobna do tej istniejącej gdzie indziej. Podobna, podkreślam, lecz nie taka sama.

Czy niewprawne oko współczesnego człowieka, od przypadku do przypadku interesującego się tą najdalszą przeszłością, zauważy występujące różnice?

Nie będzie łatwo. Między innymi „moją” Ziemię Lubuską od Śląska Lubuskiego i Łużyc Lubuskich, w młodszej części okresu halsztackiego (epoki żelaza), odróżniał brak takich tworców jak osady obronne, czyli grodziska. I to tak w czasach rozwoju, jak i wyraźnego upadku cywilizacji łużyckiej.



Rekonstrukcje rysunkowe
„prowizorycznej” zabu-
dowy osad łżyckich



Czy mieli liczne rodziny

Panie doktorze, czy można określić, do jakiej nacji należeli mieszkańcy Środkowego Nadodrza, żyjący tu dwa i pół tysiąca lat temu? Przed drugą wojną światową niemieccy prahistorycy, a może bardziej propagandziści, łączyli ówczesnych mieszkańców tej ziemi z pra-Germanami lub Illirami. W odpowiedzi na to najznakomitszy polski archeolog czasów międzywojennych i powojennych, prof. Józef Kozłowski odparował, że byli to pra-Słowianie. Koncepcja prastłowiańskości Łużyczan pokutowała bardzo długo w polskiej archeologii. Bodajże do końca lat siedemdziesiątych XX wieku. Była ona nośna politycznie i miła polskiemu uchu, szczególnie temu znad Odry i dolnej Warty. Czy nadal cywilizacja łużycka uznawana jest za poprzedniczkę Słowian? Czy też należy o całej tej kłótni zapomnieć?

Na szczęście dla nauki ta dyskusja jest już tylko przeszłością. Nie muszę pana przekonywać, że ile razy politycy usiłowali sterować nauką, tyle razy to nie pomagało polityce, przynajmniej na dłuższą metę, a naukę czyniło nieobiektywną. Jedynym źródłem wiedzy o tamtych ludziach i czasach może być to, co archeolodzy znajdują na powierzchni ziemi i w niej. Przedmioty te niestety mają podstawową wadę: nie ma na nich cyfr ani liter. Nawet jeśli pojawia się coś, co przypomina pismo, to współcześni archeolodzy, językoznawcy, prahistorycy nie potrafią tego odczytać. Zgodzi się pan ze mną, że najważniejszą cechą, na podstawie której można określić, w czyich żyłach płynie słowiańska krew, a w czyich germańska, jest język. No i być może jakieś znaczenie mają geny. Prowadzenie naukowych badań genetycznych na szerszą skalę, szczególnie w archeologii, to pieśń dalekiej przyszłości. Na razie nas na to nie stać.

A budowa anatomiczna człowieka, kolor skóry...?

Dodajmy do tego jeszcze kolor włosów i barwę oczu. I powracamy do nie tak odległych czasów. Proszę pana, mnie nie interesuje, jakie rysy twarzy, jaki kolor skóry i oczu mieli ludzie żyjący w okresie nazwanym cywilizacją łużycką. Mnie ciekawi to, jak żyli, jak wyglądał ich dzień pracy, dzień świąteczny, jak przygotowywali posiłki, co jedli i tak dalej. Oczywiście chciałbym metodą bodajże Michaiła Gierasimowa odtworzyć ich wygląd zewnętrzny. Jak każdy archeolog, każdy badacz najdawniejszej przeszłości chciałbym móc napatrzyć się na ich podobizny, odtworzyć ich codzienność w każdym momencie i aspekcie ich życia. Marzeniem moim jest włączenie się do szalenie niegdyś modnego cyklu publikacji „Życie codzienne”, na przykład, w Wicinie.

Jacy byli praojcowie: niscy czy wysocy, krępi czy szczupli...?

Przed chwilą powiedziałem, że z ogromną przyjemnością spojrzalbym na podobiznę, na przykład Księżniczki z Wiciny koło Jasienia czy strzygi z podgłogowskich Żukowic. W dobie komputerów utworzenie wizerunku nie jest trudne, tyle że ja, archeolog z tytułem naukowym, nie potrafię tego zrobić. Są fachowcy, choćby ci, którzy wykonali animowaną wersję „Bitwy pod Grunwaldem” Jana Matejki czy na podstawie odnalezionej czaszki przedstawili wygląd Mikołaja Kopernika. Ja mogę im jedynie pomóc, jeżeli się na to zdecydują.

Jeśli ktoś z grona obeznanego z komputerem zechce przygotować wizualizację podobizny twarzy wicińskiej Księżniczki, to z kim powinien się skontaktować, na czyją pomoc może liczyć?

Jej doczesne, niespalone szczątki znajdują się w Muzeum Archeologicznym Środkowego Nadodrza w podzielonogórskiej Świdnicy.

O ile wiem, nawet spopielone kości są cennym źródłem wiedzy o człowieku.

Tak, na podstawie spopielonych kości antropolog potrafi podać niemało danych o ówczesnych mieszkańcach naszej ziemi i wyciągnąć cenne wnioski. Ja miałem szczęście współpracować z wybitnym antropologiem z Poznania profesorem Januszem Piontkiem. Jemu zawdzięczam wiedzę o zawartości popielnic odkrytych na cmentarzyskach koło Cybinki, w Sulęcinie, Przyborowie pod Nową Solą i w Wicinie.

Czy archeolog jest w stanie stwierdzić, które kości należały do kobiety, a które do mężczyzny?

Nawet mniej wprawny badacz potrafi odróżnić szkielet kobiety od szkieletu mężczyzny. Kobieta ze względu na swoje funkcje rodzicielskie jest nieco inaczej zbudowana, szczególnie charakterystyczne są kości jej miednicy. Trudniej jest odróżnić szkielet dziecka od szkieletu nieletniej dziewczyny, u której brak wyraźnie wykształconej szerszej miednicy. Określenie płci i wieku skremowanych zmarłych wymaga nie lada wiedzy i doświadczenia. To zadanie dla wybitnych specjalistów.

Biblijni bohaterowie żyli bardzo długo: Adam – dziewięćset trzydzieści lat, Set – dziewięćset dwanaście, Enosz – dziewięćset pięć, Kenan – dziewięćset dziesięć, Mahalaleel – osiemset dziewięćdziesiąt pięć. Jered przeżył Adama, wszak stąpał po ziemi przez dziewięćset sześćdziesiąt dwa lata. Gdy „Noe miał pięćset lat, urodzili mu się: Sem, Cham i Jafet”. Abraham „dożył lat stu siedemdziesięciu pięciu”. A jak długo żyli praprzodkowie?

Nie można traktować zapisów biblijnych jako dowodów. To są alegorie. Podobnie jak określenie, że Pan Bóg stworzył świat w ciągu sześciu dni. Nawet teolodzy katoliccy uznają te informacje

za skrót myślowy, pozwalający przeciętnemu człowiekowi zrozumieć istotę religii i jej ponadczasowość.

Jak więc długo żyli Łużyczanie?

Gdy przywołał pan Biblię, przypomniałem sobie to, co powiedział mi profesor Janusz Piontek. Łużyczanie dożywali sześćdziesięciu lat, niekiedy nawet więcej. Tyle że tego sędziwego wieku, jak na ówczesne czasy, doczekiwali nieliczni. Młodzi uważali ich za bardzo starych. Ja dawno skończyłem sześćdziesiątkę, mimo to nie czuję się starcem. Wracając do pana pytania, na cmentarzyskach łużyckich najliczniej napotyka się groby osób trzydziesto-, czterdziestoletnich. Jest też niemało popielnic z prochami pięćdziesięciolatków i młodzieży. Co ciekawe i nie do końca wyjaśnione, nie na wszystkich cmentarzyskach występują w mniej więcej jednakowej proporcji groby dziecięce. Jest ich mniej, na przykład w Grzmiącej 1 i Bieganowie koło Cybinki, wyraźnie więcej w Sulęcinie i Grzmiącej 4.

Można powiedzieć, że trzydziestokilkuletni mężczyzna w czasach przedhistorycznych był człowiekiem wręcz wiekowym?

Zdaniem badaczy, średni wiek zmarłego mógł wynosić trzydzieści kilka lat. Skąd on się wziął? Ano stąd, że archeolodzy znajdowali w grobie szczątki osób dorosłych i dzieci. Antropolodzy badali ich wiek i dostarczali danych. Z kolei archeolodzy obliczali statystyczny wiek, a nie ten, do jakiego dożywali przeciętni mieszkańcy. Najlepiej wyjaśnia to anegdota: jeśli pan ma czterech synów, a ja żadnego to statystycznie obaj mamy po dwoje dzieci.

Przed chwilą pan powiedział: Grzmiąca 1, Grzmiąca 4. Czy dobrze się domyślam się, że jest to określenie miejsc, gdzie prowadził pan badania?

Są to numery stanowisk: cmentarzysk, osad i innych punktów rozpoznane przez badaczy i naniesione na mapy w skali 1:25 000 i 1:5000. Poczynając od końca lat siedemdziesiątych XX wieku, polscy badacze wykonywali unikatowe w świecie zadanie, jakim było Archeologiczne Zdjęcie Polski. Od wczesnej wiosny do późnej jesieni wędrowaliśmy po polach i lasach, szukając, jak to się określa w żargonie naukowym, owych słynnych artefaktów.

Proszę to powiedzieć tak, aby czytelnik nie musiał sięgać do słownika wyrazów obcych, w przeciwnym razie nie zrozumie sensu pańskiej odpowiedzi.

Chodziło o wszelkie ślady działalności ludzkiej od końca paleolitu i całego mezolitu, który na ziemiach polskich zaczął się mniej więcej w IX-XIII tysiącleciu przed naszą erą i trwa do dziś. Lubuscy archeolodzy należeli do tych w kraju, którzy wykonali swoje zdjęcie zgodnie z założeniem. Efekt tamtej pracy jest przydatny szczególnie teraz, kiedy projektanci wytyczają przebieg autostrad. Zanim drogowcy wejdą na plac budowy, powinni go przebadac archeolodzy. Zdaje pan sobie sprawę z tego, że autostrada nawet na kilkadziesiąt lat przykryje to, co pod nią było i jest. Denerwują mnie opinie ludzi, którzy uważają prowadzenie badań w miejscach, gdzie będą biegły te nowoczesne drogi, za wyrzucanie pieniędzy w przysłowiowe błoto. Nasza historia to przecież nie tylko bitwa pod Grunwaldem, potop szwedzki, rozbiory, powstanie styczniowe, listopadowe, warszawskie, wielkopolskie, śląskie...

Powróćmy do najdawniejszych czasów. Co było najczęstszą przyczyną śmierci praprzodków: wojny, epidemie, choroby, wiek...?

Pewnie wszystko po trosze. Wojny – jeśli ma pan na myśli potyczki kilkunastu czy nawet kilkadziesiątu wojów. Choroby

i wiek – również. Epidemie – nie wiem. Gęstość zaludnienia na naszej ziemi w czasach przedhistorycznych była niewielka. Skupiska ludzi – nieduże. Zdarzały się odstępstwa od tego, choćby w Biskupinie, gdzie na niedużej przestrzeni żyło około półtora tysiąca stałych mieszkańców. Nie przeczytałem, aby mimo takiego zagęszczenia zdarzyła się tam epidemia. Przy ówczesnym stanie higieny choroby miały prawo rozprzestrzeniać się błyskawicznie. Chyba jednak nie epidemie, takie jak w średniowieczu dżuma, cholera czy tyfus, miały największy wpływ na śmiertelność Łużyczan.

Jeśli nie epidemie były główną przyczyną zgonów praprzodków, to co innego?

Prymitywizm oceniany z dzisiejszego punktu widzenia. Przyznaję rację specjalistom zwracającym uwagę na znaczenie higieny i medycy w życiu codziennym, w odżywianiu. Jedną z najczęstszych przyczyn śmierci kobiet było ich za wczesne i zbyt częste macierzyństwo. W tamtym czasie dzieci umierały w wieku niemowlęcym zdecydowanie częściej niż jeszcze sto lat temu. Brutalnie mówiąc, oznaczało to formę doboru naturalnego. Pamięta pan z liceum, że w starożytnej Sparcie osoby słabowite, mizeroty wręcz, zrzucano ze skały. W cywilizacji łужицkiej najślabi umierali. Tylko najmocniejsi dorastali, zakładali rodziny, płodzili dzieci. Płodzili dużo także dlatego, aby najmocniejsze jednostki przeżyły.

Czy nie dokonywano mordów rytualnych, czegoś podobnego do hinduskiego sati, czyli uśmiercania żony i być może dzieci zmarłego dostojnika?

W jednym z grobów w Bieganowie koło Cybinki natrafiłem na pięć popielnic i osiemdziesiąt naczyń towarzyszących.

W Sulęcinnie – aż na jedenaście popielnic. Jeszcze niedawno archeolodzy uważali, że w jednej urnie były prochy jednego zmarłego. Dziś wiemy, że w jednej popielnicy mogły zostać pochowane dwie, trzy, a nawet kilka osób. Albo prochy jednej osoby są w dwu popielnicach. Nie chce mi się wierzyć, że popełniano masowo, tak jak na przykład u Azteków, zabójstwa rytualne. Dotąd nie zdobyliśmy wystarczających dowodów, ale nie można tego wykluczyć.

Skoro w popielnicy były szczątki kilku osób...

Najczęściej wynikało to z tego, że kobieta zmarła podczas porodu. Wtedy do jednej urny wkładano prochy matki i jej dziecka. Nie umiem wyjaśnić, dlaczego w niektórych naczyniach znajdowały się kości dziecka i dorosłego mężczyzny. Przecież nie miało to nic wspólnego ze śmiercią okołopołożową. A czy jest możliwy naturalny, podkreślam: naturalny zgon, na dodatek jednoczesny sporej ilości mężczyzn i wiekowo przynależnych im kobiet? Albo inne pytanie na razie pozostające bez odpowiedzi: dlaczego archeolodzy napotykają w popielnicach kompletne szczątki jednej osoby i nieliczne innej? To przypadkowa domieszka czy też obdzielenie własnych zmarłych kośćmi wybitnej jednostki, być może także nad wyraz walecznego wroga?

Da pan głowę, że praojcowie nie składali ofiar z ludzi?

Na ślad takich czynności datowanych na schyłek cywilizacji łużyckiej archeolodzy natrafili w sztolniach fenomenalnego miejsca kultu w Lossow po niemieckiej stronie dzisiejszej granicy, gdzie znaleźli kości ludzkie. Na cmentarzysku z okresu halsztackiego w podgłogowskich Żukowicach napotkałem szkielet kobiety pośród wieluset grobów popielnicowych. Nic w tym nie powinno

być zaskakującego, wszak cmentarzyska berytualne, tzn. o ob-
rządku ciała palnym i szkieletowym, są znane w Małopolsce i na
Górnym Śląsku. Zaskoczyło mnie natomiast, że był to jedyny
szkielet w tym miejscu, na dodatek głowa zmarłej znajdowała
się pomiędzy jej kolanami. Być może była to kara za naganne
prowadzenie się albo za czary lub kontakty ze złymi mocami.
W grodzie w Gzinie na Kujawach, podobnym w swej zabudowie
do warowni wicińskiej, w samym centrum archeolodzy
odnaleźli ponad sześćdziesiąt głębokich jam ze szczątkami
ludzkimi. Kto wie, może i w Lubuskich Pompejach, czyli
w Wicinie, badacze również natrafią na analogiczne znaleziska.

Na razie nic podobnego nie ukazało się oczom archeologów?

Julia Orlicka-Jasnoch z muzeum w Świdnicy, która wiele
sezonów badawczych spędziła w Wicinie, twierdzi, iż odkryła
tam w jamach części szkieletów, które mogą być śladami po
takich rytualnych ofiarach. Ale pewności nie ma.

*Z pana wypowiedzi wynika, iż raczej śmiertelność wśród
praprzodków cywilizacji łużyckiej była duża. Wspomniał pan
również o jej domniemanych przyczynach. Czy w jakiś sposób
starano się temu zapobiec? Czy człowiek ciężko chory, ranny był
skazany na rychłą śmierć? Sądzę, że tamci ludzie znali jakieś
medykamenty, jakieś wywary z ziół, maści, mikstury. Przecież
medycyna ludowa to wiele tysięcy lat doświadczeń i ogromna
wiedza o otaczającym nas świecie, o przyrodzie, a nawet o samym
człowieku.*

Wiedza o właściwościach leczniczych niektórych roślin rzeczy-
wiście sięga tysiącleci. Mamy na to nawet bezpośredni dowód.
Nie z naszej ziemi, a z południowego Tyrolu. W 1991 roku
dwoje turystów odkryło tam w lodowcu alpejskim szczątki

ludzkie datowane na 3300 rok starej ery. Człowiek z lodu nazwany Ötzi, od miejsca znalezienia, miał przy sobie grzyby o antybakteryjnym działaniu. Mógł przykładać do niewielkich skaleczeń liście bobkowe (laurowe). Krwawnik do dziś jest stosowany na stany zapalne, mniszek lekarski na choroby skóry, kora kasztanowca na miejsca odmrożone. Podstawową wiedzę medyczną posiadali zapewne wszyscy mieszkańcy osad, a na pewno starcy i babiny.

Wszyscy coś wiedzieli, umieli sobie radzić w przypadku skaleczenia, przeziębienia, ale gdy sytuacja stawała się poważna, gdy chodziło o życie, pewnie był ktoś, z którym zdaniem się liczone.

Leczeniem ubranym w szereg niezwykłych obrzędów zajmowali się szamani. Oni potrafili złożyć i unieruchomić złamane kości, odczyniali czary, byli łącznikami pomiędzy światem bogów i światem żywych. Szamani znali środki halucynogenne. Były to wywary sporządzane z grzybów traktowanych jako trujące, na przykład w występujących w naszych lasach muchomorów czerwonych. Do tych środków zaliczali mak, bieluń, tojad, szczwół, potocznie zwany psią pietruszką. Wywary o działaniu narkotycznym szamani podawali nie tylko chorym, lecz i żałobnikom w trakcie pogrzebu, co miało ułatwić im łączność z bóstwami.

Na jakiej podstawie pan o tym mówi? Może na cmentarzyskach zachowały się naczynia, w których szamani podawali te wywary? Może znalazł pan jakieś magiczne przedmioty?

Jestem przekonany, że niektóre przedmioty znalezione w licznych grobach łużyckich z epoki brązu i żelaza to właśnie amulety i grzechotki do odczyniania czarów. Mam na myśli gliniane patuszki, a także te w kształcie poduszek, beczulek czy

naczyń. Wszystkie z niewielkimi kamieniami w środku. Szamani mogli ich używać podczas zabiegów medycznych jako rekwizytów ubarwiających czynności i podkreślających tajemniczość przywracania zdrowia.

Na co jeszcze natrafił pan w grobach?

Znajdowałem tam kadzielnice, naczynka z ostrymi denkami, dzbanuszki, beczułki gliniane, w których mogły być podgrzewane mikstury. Unoszące się w powietrzu opary były wdychane przez żałobników i z pewnością wywoływały oczekiwane reakcje. Znakomity prehistoryk z Warszawy, doktor Jerzy Bąbel twierdzi, że kształty niektórych ozdób, zwłaszcza brązowych szpil z młodziej i najmłodszej fazy epoki brązu wyraźnie nawiązują do wyglądu makówki. Najczęściej spotyka się je w grobach ciałopalnych.

A czy pozostałości po narkotycznych wywarach też się zachowały w naczynkach grobowych?

Picie naparu z bielunia, lulka czarnego, pokrzyku, wilczej jagody, mandragory, maku, konopi, tojadu czy wawrzynka wilczętyko prowadzi do stanów świadomości, w których nie ma śladu codziennych trosk i zmartwień. Konopie, jak pisze Jerzy Bąbel, uprawiano w Europie już pod koniec epoki kamienia, w neolicie. Dowodzić tego mają lampki, ołtarzyki służące za kadzielnice do podgrzewania cudownych środków. Nawiasem mówiąc, odurzającą moc konopi upowszechnili Scytowie. Sławny Grek Herodot opisywał w swych „Dziejach”, że właśnie Scytowie ryczą wprost z zadowolenia po powąchaniu konopi. O tym, że nie jest to jedynie domysł starożytnego uczonego, zaświadcza grobowiec sako-scytyjski z 500 roku przed Chrystusem, odkryty w Pazyryku w górach Ałtaju na terenie

Rosji. Przy dwu szkieletach były niewielkie namioty i zrobiona z brązu kadzielniczka. W niej prehistorycy znaleźli kamyki, na które to po ich rozgrzaniu wysypywano nasiona konopi, kolendry lub nostrzyku żółtego.

Rozumiem, że takie seanse scytyjskie odbywały się w dniu pogrzebu, a ich celem była wola, chęć porozumienia się z bogami, szczególnie z bóstwami zaświatów.

Tak też i ja przyjąłem. Doktor Jerzy Bąbel pisze, że od niepamiętnych czasów czerwony muchomor był sprzymierzeńcem szamanów. Sporządzony z niego halucynogenny napitek miał ułatwiać podróż w zaświaty. Ów napitek z grzybów tego rodzaju w niewielkiej i bezwzględnie kontrolowanej dawce pozwalał na widzenie innych krain, przede wszystkim świata zmarłych i bóstw z nią powiązanych. Podobne reakcje wywoływał mak.

Nie sam dojrzały mak, zwany lekarskim, lecz wysuszony mleczny sok z niedojrzałych makówek, znany jako opium. Albo morfina czy kodeina robiona ze słomy makowej.

Od epoki kamienia mak był znany jako pokarm, lek i narkotyk. Uprawiano go niemal powszechnie między innymi dlatego, że złe moce, duchy i demony nie miały dostępu do człowieka, który posiadał mak. Bez względu na to gdzie: w kieszeni, w ręce czy też w organizmie. Dlatego też płatkami kwiatów maku i samymi ziarenkami obsypywano domy i groby. Mak był symbolem snu, ale i również śmierci.

Czy praprzodkowie zdawali sobie sprawę ze szkodliwego działania maku?

Już mówiłem, że ich wiedza brała się z doświadczenia pokoleń. Na pewno więc wiedzieli, do czego prowadzi uzależnienie

od wywaru makowego, jak i zdawali sobie sprawę z tego, że przedawkowanie narkotyków oznacza nieuchronną śmierć.

Przypuszczam, że ówczesni medycy podawali wywary narkotyczne swoim pacjentom, zanim nastavili zwichnięty staw, złożyli złamaną nogę czy rękę. Jeśli umieli to zrobić, a literatura podaje takie przykłady, to i musieli posługiwać się jakimiś narzędziami medycznymi.

W Sulęcinie, Lubniewicach, w pobliżu Cybinki i Głogowa, gdzie prowadziłem badania, znajdowałem przyrządy kosmetyczne i takie, które mogły być używane jako narzędzia chirurgiczne, na przykład brzytwy, szczypce, noże, nożyki.

Wspomniat pan o narzędziach kosmetycznych. Czyżby już wtedy kobiety starały się wspomagać naturę?

Jestem przekonany, że pramatki dbały o higienę swego ciała i swoich dzieci. Zapewne używały też środków upiększających, na przykład węgla z paleniska do przyczernienia brwi. Mężczyźni przycinali włosy na głowie i brodzie, a golili się przy pomocy brzytw najpierw wykonanych z brązu, potem z żelaza. Kąpiel nie była rytuałem poprzedzającym ważne święto, a chyba dość powszechnie stosowaną metodą higieniczną.

Praprzodkowie myli się w rzekach czy mieli w swoich domach albo w ich pobliżu łaźnie?

Podczas badania w Lubniewicach natrafiłem na dziwny, prostokątny bruk kamienny z nieckowatym wgłębieniem w środku. W pierwszym odruchu skojarzyło mi się to z fińską łaźnią. Pod taką nazwą ujętą w cudzysłów opisałem lubniewickie znalezisko w periodyku naukowym. Niebawem zaczęło ono żyć własnym życiem. Jak powiedziałem, nazwę tego, co odkryłem, podałem w cudzysłowie, wszak nie miałem pewności, czy to na

pewno była łaźnia zbudowana przez ludzi należących do cywilizacji łużyckiej. Ponieważ prahistorycy zainteresowani moim tekstem nie zwrócili uwagi na cudzysłów, ogłosili w swoich opracowaniach, że odkryłem w Lubniewicach jedną z pierwszych łaźni publicznych. Nie pomogły moje późniejsze zaprzeczenia i inna interpretacja znaleziska. Lubniewicka „łaźnia-bania” co jakiś czas pojawia się w opracowaniach jako przykład jednego z najstarszych urządzeń komunalnych.

Pozostajmy na wykopalisku w Lubniewicach. Sądzę, że był tam pan nie sam, a z większą ilością znawców i miłośników pradziejów.

Badania archeologiczne nie są zadaniem dla jednej osoby. To praca dla większej grupy ludzi, najlepiej doświadczonych, którym nie trzeba podpowiadać, co i jak mają robić. Dobrze jest, jeśli ekipa składa się ze specjalistów z różnych, nawet niezbyt pokrewnych dziedzin nauki. Najczęściej czynnościami na wykopalisku kieruje archeolog wsparty pracownikami technicznymi, takimi jak rysownik, fotograf, laborant, preparator oraz osobami ze szpachelkami i często z łopatami. Bardzo rzadko ekspedycja archeologiczna, bo taką nazwę sobie nadajemy, składa się z kilkudziesięciu osób. Zazwyczaj to kilkunastu specjalistów. Znam tylko jedno miejsce, gdzie ekspedycja liczyła ponad stu pracowników. To było wiele lat temu w Wicinie koło Jasienia, gdy Adam Kołodziejski rozpoczynał zakrojone na szeroką skalę badania warowni łużyckiej.

Od czego zaczyna się praca na cmentarzysku ciałopalnym?

Najpierw archeolodzy zdejmują wierzchnią warstwę ziemi, tzw. humus. Po jakimś czasie na tle żółtego piachu ukazuje się zaciemnienie lub sterta kamieni. Wtedy łopatę natychmiast

zamieniamy na szpachelkę i pędzel. Po oczyszczeniu, na przykład bruku kamiennego trzeba go narysować w skali 1:5 i wielokrotnie sfotografować. Pobieramy także próbki ziemi, segregujemy i wybieramy znajdujące się tam ułamki naczyń czy nieliczne, spalone kości. Miejsce ich występowania zaznaczamy na rysowanym planie poziomym. Po wykonaniu tych czynności dzielimy owy bruk lub zarys jamy grobowej na połowę i jedną z części badamy kilkoma warstwami w głąb, nieustannie rysując, fotografując i opisując aktualny stan posiadania. Ukazuje się najczęściej połowa wyposażenia grobu.

Dlaczego badacza nie ciekawi cały grób?

Ciekawi. Tyle że na wykopaliskach musi być porządek. Wszystko trzeba robić w odpowiedniej kolejności, w przeciwnym razie wkradnie się bałagan i trudno będzie wyciągnąć logiczne wnioski. Wracam do przerwanej opowieści o tym, co badacz znajduje w połowie grobu. Są tam oprócz popielnicy nakrytej misą inne naczynia i przedmioty, składające się na dary grobowe. Opisywany, rysowany i fotografowany jest przekrój pionowy grobu. Następnie badacz robi to samo w drugiej, dotąd nieruszonej części grobu. Powoli powstaje dokumentacja szczegółowa. Jest to żmudne i czasochłonne zajęcie. Ale też i wspaniałe uczucie, gdy oczom członków ekspedycji ukazują się przedmioty sprzed tysięcy lat. Antropolodzy podpowiadają, kto został pochowany. Sami widzimy, czy była to osoba bogata, której rodzina i przyjaciele nie żałowali darów na drogę pośmiertną, czy też pochowany został parias ówczesnej społeczności. W grobach ubogich, wręcz nędzarzy, znajdowaliśmy nie więcej niż jedno czy dwa naczynia.

Prahistorycy, archeolodzy, antropolodzy, rozumiem, to osoby z dyplomami uniwersyteckimi. Fotografik, rysownik, laborant to

technicy. A kim byli ci, którzy przy pomocy łopat zdejmowali wierzchnią warstwę ziemi?

Większość moich współpracowników to byli ludzie chętni do pracy, niemający zielonego pojęcia o pradziejach. Byli też studenci archeologii, historii, antropologii, a nawet fizyki i wychowania fizycznego. Znaczna część pracowników technicznych rekrutowała się spośród uczniów starszych klas zielonogórskich szkół. Na początku naszej działalności, czyli na początku lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku mieliśmy sojuszników wśród harcerzy należących do sławnego szczepu Makusyni, znakomicie prowadzonego przez wybitnego pedagoga i regionalistę Zbigniewa Czarnucha. Z wakacyjnych obozów, na przykład w Bledzewie i Żółwinie koło Międzyrzecza, w Grodziszczu koło Świebodzina, przyjeżdżały na wykopaliska zastępy pomocników archeologów. Niektórym ta praca tak się spodobała, że wyrosli na znanych dziś badaczy, jak na przykład doktor Marian Kwapiński, doktor Andrzej Toczewski. Wiele sezonów na cmentarzyskach pod Cybinką spędził szef muzeum archeologicznego w Świdnicy Włodzimierz Rebelski.

Na cmentarzyskach archeolodzy znajdują martwe dokumenty przeszłości. One mnie interesują, ale bardziej interesuje na przykład to, czy na matki swoich potomków łużyccy mężczyźni wybierali kobiety z tego samego plemienia, czy może zapuszczali się w odleglejsze części Środkowego Nadodrza?

Nie muszę pana przekonywać, że na mądrość ludzi, na ich wiedzę składa się doświadczenie wielu pokoleń. Najpierw były próby i błędy, dopiero ogrom zbliżonych skutków uświadamiał ich przyczyny, chociaż niekiedy we wszystko wdzierał się przypadek. Przypadki jednak dotyczyły wynalazków i odkryć technicznych. Nigdy nie rządziły życiem społecznym, choć niekiedy

wypracowane przez wieki normy, nazwę je etycznymi, mogły przybierać dziwną formę. Tak zapewne było z wymianą małżeńską, co raczej utożsamiać można z handlem kobietami. Jeśli pan powie: odrażające, to ja stwierdzę: racjonalne. Wielusetletnie doświadczenie uzmysłowiło przodkom, że małżeństwa pomiędzy osobami blisko spokrewnionymi prowadzą do degeneracji potomstwa. Zamiast zakazywać młodym bliskich kontaktów czy wyjaśniać przyczyny deformacji noworodków, ubrano to w szaty religijne, a te zabroniły współżycia pomiędzy rodzeństwem i najbliższymi krewnymi. Kto i kiedy wpadł na pomysł wymiany młodych kobiet między plemionami, tego nie wiem. Wiem natomiast, że kobiety były łupem wojennym, pożądaną zdobyczą mężczyzn z dalekich wypraw.

Synowie starego Budrysa także wyprawiali się po Laszki-branki, jak pisał Mickiewicz. Poetycka fantazja wieszczka była podparta legendami żyjącymi w świadomości i pamięci ludu. W oparciu o co pan twierdzi, że podobnie postępowali mężczyźni trzy tysiące lat przed Mickiewiczem?

Do takiego wniosku doszedłem, badając cmentarzyska w okolicy Cybinki. Znajdowałem tam ceramikę, która swoim wyglądem nawiązywała do naczyń wytwarzanych na Śląsku Lubuskim i na Łużycach Lubuskich. Zapewne żona pochodząca z odległego plemienia przeniosła do domu męża swoje umiejętności garncarskie. Dopóki nie nauczyła się robić naczyń, tak jak robiły je kobiety w osadach wokół Cybinki, lepiła garnki wedle zasad poznanych w miejscu, gdzie się urodziła. Podczas badań na cmentarzyskach archeolodzy znajdowali groby odbiegające wyposażeniem od miejscowego rytuału. Dochodzili do wniosku, że w tym miejscu pochowano kobietę, która przybyła z odległych stron. Pochowano ją bowiem wedle obrzędu znanego tam, gdzie się urodziła.

Czy udało się panu ustalić, w jakim wieku kobiety łączyły z żonami i matkami?

Z badań antropologicznych wieku i płci pochowanych w grobach osób, szczególnie takich, w których były szczątki kobiety i dziecka lub dzieci wynika, że matkami zostawały dziewczęta. Rodziły one dużo i często, ale i śmierć okołopołożowa zbierała swe żniwo. Wynikało to ze stanu higieny i konieczności natychmiastowego przystąpienia kobiet do codziennych zajęć. Jeszcze niedawno, o czym informują badacze dziejów i pisarze, kobieta, która urodziła dziecko w porze żniw, nie odpoczywała w łóżku, tylko szła na pole żąć zboże.

Powiedział pan, że matkami zostawały już dziewczęta. Czyli w dzisiejszym pojęciu gimnazjalistki?

To prawda.

Nie pytam, czy takie młode dziewczyny godziły się na związki z mężczyznami. Pytam: dlaczego tak wcześnie rodziły dzieci?

Kłania się doświadczenie życiowe. Przodkowie zdawali sobie sprawę z tego, że prawdopodobieństwo urodzenia dziecka niesprawnego przez spracowaną, starszą kobietę jest dużo większe niż przez bardzo młodą.

Czy mężczyźni również w bardzo młodym wieku zakładali rodziny?

Z mężczyznami mogło być inaczej. Najstarsi brali za żony młode kobiety, zapewniając im dach nad głową, odzienie, wyżywienie. Ci w średnim wieku wyprawiali się w odleglesze zakątki Europy po kandydatki na matki swoich dzieci. Najmłodsi długo tkwili w stanie wolnym, łowiąc, pracując w polu, budując domy, służąc w drużynie obronnej. Dorabiając

się, ponieważ zapewne za przyszłą żonę należało złożyć okup. Domyślałam się, że nie był on mały. Być może właśnie tą drogą, a nie tylko z pospolitego handlu, przedmioty i wyroby charakterystyczne dla jednych ziem dostawały się na tereny sąsiadów.

Małżeństwa były monogamiczne czy może jeden mężczyzna miał kilka żon?

Na cmentarzyskach w podgubińskich Sękowicach i w okolicach Cybinki pośród grobów wieloosobowych, takich, które można uznać za rodzinne, najczęściej występowały spopielone kości mężczyzny, kobiety i dzieci. Bardzo rzadko wśród spalonych szczątków mężczyzny, najczęściej w wieku od trzydziestu do trzydziestu pięciu lat, napotykałem na domieszki kości dwu niewiast. Przypuszczam więc, iż model ówczesnej rodziny był podobny do dzisiejszego lub taki sam. Pośrednio przemawiać za tym może wielokrotnie stosowana w zdobnictwie i różnych obrzędach liczba 3, uznawana za podstawowy symbol układu rodzinnego: ojciec, matka i dzieci.

Ile pokoleń żyło w domu pod jednym dachem?

Na pewno rodziny były wielopokoleniowe. Pod jednym dachem mogły mieszkać najwyżej trzy pokolenia: dzieci, ich rodzice i dziadkowie. Z analiz antropologicznych wynika, że pokolenie dziadków było najmniej liczne. Najbardziej liczna była populacja rodziców, czyli osób pomiędzy osiemnastym a trzydziestym piątym rokiem życia.

Czy specjalnym szacunkiem praprzodkowie otaczali dziadków?

Niestety, w tej sprawie nie zachowały się żadne dowody, myślę jednak, że dziadkowie choćby ze względu na posiadane doświadczenie życiowe byli szanowani. Proszę zajrzeć do „Iliady”.

Lokalizację tego przedarchaicznego grodu Homer opisał niemal z topograficzną dokładnością. Wiara w ścisłe relacje poety pozwoliła Heinrichowi Schliemannowi pod koniec XIX stulecia odkryć to miasto. A skądże po upływie setek lat od zniszczenia grodu Priama jego położenie mógł znać Homer? Jedyne z przetrwania tradycji ustnej: z przekazywania tego niezwykłego wydarzenia z ojca na syna, z dziadka na wnuka. Stąd bierze się, no może powiedzmy ściśle: brał się, szacunek dla starszych, dla tych, którzy przy ognisku i łuczywie snuli opowieści sprzed lat. Pamięta pan słowa poety: „O wieści gminna! ty arko przymierza / Między dawnymi i młodszyimi laty: / W tobie lud składa broń swego rycerza, / Swych myśli przędę i swych uczuć kwiaty”?

„Pieśń Wajldeloty” z „Konrada Wallenroda” Adama Mickiewicza.

Brawo.

Co było oznaką osoby pozostającej w związku małżeńskim: obrączka założona na palec podczas ceremonii ślubnej, jakiś amulet, czepek na głowie kobiety, przekazywane z pokolenia na pokolenie zasady postępowania...?

Źródła archeologiczne nic o tym nie mówią... Chociaż na uparte go można przypisać znaczenie obrączki przeróżnym kółkom i pierścionkom z brązu i żelaza odkrywanych w grobach. Tylko że tamte obrączki archeolodzy znajdowali w różnych miejscach popielnicy, na różnych poziomach warstwy spalonych kości, a także i poza urną. Jeśli założymy, że do naczyń składano szczątki zmarłego w porządku anatomicznym, czyli najniżej kości nóg, potem miednicy i żeber, najwyżej kości czaszki, to znalezienie kółek-obrączek na przykład przy nogach burzy taką koncepcję.



Środkowe Nadodrze –
brązowy wózek kultowy
prawdopodobnie z końca
epoki brązu lub początków
wczesnej epoki żelaza



Deszczno pod Gorzowem
– gliniana figurka bogini,
znaleziona w 1901 roku

W co wierzyli

Czy praprzodkowie byli ludźmi religijnymi?

Mimo że w tej sprawie brakuje przekazu pisemnego, zresztą jak na temat wielu innych dziedzin ówczesnego życia, ich religijność potwierdzają liczne znaleziska. Na podstawie wykopalisk z grodów po stronie niemieckiej, uznanych za święte, w Lubuszu, Lossow i Seelow można dojść do wniosku, że Łużyczanie wiarę traktowali jako coś bardzo ważnego w swoim życiu.

Dlaczego pan tak uważa, skoro brakuje pisemnych dowodów?

Psychologicznych korzeni religii, jej podstaw, należy szukać w strachu i nadziei, które towarzyszą człowiekowi od zawsze. Strach przed śmiercią to jedno; drugie to strach przed przyrodą. Jedyną formą ochrony przed żywiołami była ucieczka pod opiekę bóstw. Przodkowie uważali, że składając dary bóstwom mogą liczyć na odwzajemnienie. Mieli nadzieję, że poprzez dary oddadzą się w opiekę bogów. Było to podejście wręcz kupieckie na zasadzie: ja podzielę się z tobą tym, co mam, a ty zapewnisz mi lepsze życie, więcej pożywienia, lżejszą pracę. Przodkowie oczekiwali od bóstwa tego, czego współcześni oczekują od anioła stróża albo od państwa.

Skoro strachem była śmierć, to nadzieją musiała być wiara w szczęśliwe życie na innym świecie.

Wiara w życie pozagrobowe była najbardziej racjonalnym wierzeniem ludzkości. Stąd groby, kurhany i piramidy. Stąd rozbudowywany z pokolenia na pokolenie rytuał pogrzebowy. Stąd dary na pośmiertną drogę. Stąd też wiara w opiekuńczą

moc duchów przodków. Moc i ich chęć, na którą jednak trzeba sobie zasłużyć.

Nadodrzańscy praprzodkowie zwracali się do jednego boga czy do wielu bóstw, jak to było w antycznej Grecji i dawnym Rzymie?

Ponad trzy tysiące lat temu błyskawicznie rozpowszechnił się ciepłopalny obrządek pogrzebowy. To może oznaczać początek skłaniania się ludzi ku religii monoteistycznej. Naczelnym bogiem nie tylko w starożytnym Egipcie, również i w cywilizacji łużyckiej było słońce. Dawało ono światło i ciepło, sprawiało, że rosły drzewa, zioła, jagody, grzyby, zboża, warzywa. Im więcej słońca, tym bogatsza stawała się przyroda, a człowiek łatwiej mógł zaspokoić wszelkie swoje potrzeby. Słońce raczej nie powodowało przykrych zdarzeń, co innego ogień. Był on żywiołem nieokiełzanym. Pomimo tego ogień mógł być bardziej czczony przez przodków niż odległe, choć wyłącznie dobre słońce.

Czy właśnie z tego narodziła się wiara w oczyszczającą moc ognia?

Od zarania dziejów człowiek rozumiał potęgę ognia i go się bał. Prawdopodobnie już około ośmiuset tysięcy lat temu Homo erectus potrafił podtrzymywać powstały naturalnie płomień, lecz nie umiał go wzniecić. W górnym biegu Jordanu badacze odkryli, datowane na ten sam czas, opalone krzemienie, z których to, o czym wiedzą nawet dzieci, można wykrzesać iskrę. Przez tysiące lat ogień był źródłem ciepła, światła i bronił przed drapieżnikami, lecz częściej stanowił przyczynę nieszczęść. Dopiero później, i to powoli, rodzaj ludzki zaczął poznawać i doceniać jego inne zalety. Przy pomocy ognia

człowiek użył glebę przeznaczoną pod zasiewy poprzez wykorzystywanie życiodajnych składników popiołów. Najprawdopodobniej wypalano fragmenty grubo wcześniej przygotowanych lasów i dokonywano tego pod specjalnym, przeciwpożarowym nadzorem. Odwrotnie niż dzisiaj. Ogień umożliwiał też wypalenie naczyń z gliny, pomagał w tworzeniu cudownych rzeczy: twardy stop miedzi z cyną zamieniał w płyn. Po wlewaniu do formy płyn krzepł, przybierając kształty fantastycznych ozdób, narzędzi pracy, przyborów toaletowych.

Brąz?

Brąz. Taki wzrost znaczenia ognia w życiu człowieka oznaczał uznanie jego mocy czarodziejskich, wręcz boskości. A jeśli wziąć pod uwagę pożary niosące zniszczenie i śmierć... Ogień był dobry dla dobrych, czczących go ludzi, i zły, mściwy dla tych, którzy nie doceniali jego mocy. Człowiek uznał, że trzeba go obłaskawić. Nie tylko ogień, ale i zbliżone do niego słońce. Jak obłaskawić, jeśli nie ofiarami? Im większa wiara i zapotrzebowanie na odwzajemnienie się boga, tym musiały być bogatsze dary.

Języki ognia pochłaniały niepotrzebne resztki, spopielaty brud i nieczystości. Ogień więc oczyszczał świat.

Przodkowie wierzyli, że ogień wyzwalał duszę z przedmiotów, niszcząc je. Takie wyzwolenie dotyczyło także zmarłych. Dlatego też ich ciała układano na stosie zbudowanych z drewna i powierzano destrukcyjnej, lecz i twórczej mocy ognia. Następowo przejście ze świata żywych do świata umarłych, uwolnienie człowieka z doczesnych sideł i jego udanie się w drogę pośmiertną. To są dwie strony ognia: twórcza, czyli magiczna oraz unicestwiająca, czyli pożary, stosy ciałopalne.

W antycznej Grecji wśród wielu bogów jednym z najważniejszych był syn Zeusa i Hery, Hefajstos, opiekun ognia, kowali, rękodzielników.

Panteon bóstw naszych przodków pewnie był zbliżony do panteonu bóstw antycznej Grecji. Po zachodniej stronie Odry szczególnie, ale i w Ośnie Lubuskim archeolodzy znaleźli kilkanaście dwu- i trzykołowych wózków z dyszlem, zrobionych z brązu. Wózek z okolic nadodrzańskiego Frankfurtu był ozdobiony głowami ptaków i byków. Pamięta pan z mitologii, czyją postać przybrał Zeus, kiedy chciał porwać Europę, piękną córkę Agenora, władcy fenickiego miasta Sydonu?

Zeus zamienił się w byka.

Prawdopodobnie tam, w antycznej Grecji, i tu, na Środkowym Nadodrzu, byk imponował swoją siłą rozrodczą. Dzięki niemu powiększały się stada, a ludzie mieli coraz więcej mleka, mięsa, skór, rogów, kości.

Czy wózki kultowe z dyszlami występowały również w innych regionach prehistorycznego świata? A może gdzie indziej robiono je z brązu albo z gliny, drewna, w czasach nam bliższych z żelaza?

Sprawa konstrukcji wózkowych, bo tak najwłaściwiej trzeba je określić, budzi kontrowersje wśród archeologów od drugiej połowy XIX wieku. Wówczas jednemu z czołowych badaczy niemieckich przyniesiono jednoosiowy, dwukołowy okaz. Wcześniej także Rudolfowi Virchowowi przekazano podobny przedmiot. Około 1928 roku znaleziono dwa wózki niedaleko Milicza na Dolnym Śląsku. Oba miały ruchomą poprzeczkę, coś podobnego do orczyka. Ważniejsze jest to, że o miejscu ich znalezienia wreszcie można było powiedzieć więcej. Otóż oba leżały na samym spodzie jamy, a kółka ich ustawione były na dwu bransoletach.

Wózki z Ośna, spod Frankfurtu i te spod Milicza miały jakieś wspólne cechy?

Mimo że wózki zostały odkryte w szeroko rozumianym dorzeczu Odry, żaden nie był odzwierciedleniem innego. Identyczne były koła i stylizowane figurki ptaszków. Ptaszki te swoją formą i usytuowaniem nawiązują do podobnie zdobionych fibul – zapinek z Miodnicy koło Żagania i Kolska w powiecie nowosolskim. Każdy ma jedną oś, tulejkowaty dyszel lub raczej tuleję do zamocowania drewnianego dyszla. Są wózki dwu- i trójkółowe. Ich ruchome koła pozwalają na ciągnięcie lub pchanie. Nie mam pewności, czy wszystkie znaleziono na cmentarzyskach ciałopalnych.

Jeden wydobyto z bagien w pobliżu sprewaldzkiego Burgu, to niedaleko Chociebuża.

Do czego służyły te wózki?

W tej sprawie od stuleci spierają się miłośnicy starożytności, zresztą nie tylko oni, bo i badacze. Wózek z okolic Frankfurtu, przypisywany pobliskiej miejscowości Drosse, odkryto pośród rupieci antycznych na zamku Wustrau. Przedmiot ten otrzymał proboszcz Seidentkopf od swego przyjaciela, radcy Turgany jako prezent pod choinkę. W trakcie wieczoru wigilijnego rozgorzała pomiędzy nimi dyskusja. Duchowny uważał, że jest to wóz Odysa. Radca Turgany zdecydowanie się temu sprzeciwiał, optując ku miejscowej tradycji i uznając wózek za zabawkę księcia słowiańskiego. Przy kolejnej lampce wina ustalili, że wózek nie miał praktycznego zastosowania. Dopiero gdy dyskusja zeszła na tory mistycznego, religijnego znaczenia przedmiotu, nastąpiła zgoda między przyjaciółmi. Obaj uznali, że wózek służył pogańskiemu obrzędowi.

Jakie obrzędy pogańskie mieli na myśli, panie doktorze?

Ówczesny niemiecki wielbiciel starożytności, Robert Behla wyobrażał sobie, że wózki to miniatury prawdziwych, dużych wozów, być może bojowych, typu rydwany. Rudolf Virchow, obejrawszy wózek znaleziony na bagnach w Burgu, który ma ostre koła, zastanawiał się, czy było to urządzenie do rozkawałkowania ciasta podczas obrzędów ofiarnych. Z kolei przedwojenny niemiecki archeolog z Wrocławia, Hans Seger uznał wózek za kosztowny dar dla pani domu.

Dlaczego co znawca pradziejów to inna interpretacja chyba nie aż tak ważnych dla badaczy wózków? Co sprawia trudności w określeniu przeznaczenia tych przedmiotów?

Analogicznych wózków jak znalezione na ziemi nadodrzańskiej na razie nie odkryto nigdzie na świecie. Nie ma więc opisów, z którymi można porównywać nasze skarby. Są wprawdzie zbliżone wyglądem wózki kultowe o ruchomych kołach, wykonane z gliny, ale jednak nie takie same.

Znane mi z lektur ludy każdą swoją czynność poprzedzały jakimś rytuałem magicznym. Traktuję to jako zwracanie się do sił tajemnych o wsparcie, o pomoc, o opiekę.

Identycznie mogli się zachowywać łużyccy przodkowie. Zanim zaczęli wypalać garnki, zwracali się do bogów o to, aby nie było przeciwnego wiatru, a ogień jak najlepiej wypalił glinę. Przed wyruszeniem na łowy prosili bóstwo o udane polowanie. To samo czynili, gdy wybierali się do lasu na jagody, na grzyby, gdy poletko obsiewali ziarnem. Ponieważ nie umieli zapobiec nieprzewidzianym sytuacjom, wierzyli, że każdej czynności, każdemu zawodowi, przypisane jest jakieś bóstwo opiekuńcze.

W tej sprawie niewiele się zmieniło do dziś. Na przykład, święty Florian jest patronem strażaków, święta Cecylia – śpiewaków, święty Urban – Zielonej Góry. Polska ma aż pięciu patronów: świętego Wojciecha, świętego Stanisława ze Szczepanowa, świętego Kazimierza Jagiellończyka, świętego Stanisława Kostkę i świętego Andrzeja Bobolę. Europie patronują: święci Cyryl i Metody, święty Benedykt z Nursji, święta Brygida Szwedzka, święta Katarzyna ze Sieny i święta Edyta Stein, znana również jako Teresa Benedykta od Krzyża.

Podczas badań w Wicinie, które pod koniec lat sześćdziesiątych prowadziłem w dużej ekspedycji pod kierownictwem doktora Adama Kołodziejskiego, znaleźliśmy dwie figurki z brązu. Jedna przedstawiała kopułę pieca z kulą na wierzchu. Druga miała kształt wisiorka z wizerunkiem konia. Ta pierwsza mogła być symbolem bóstwa związanego z odlewnictwem z brązu, druga zaś talizmanem jeźdźcy. Mimo że już mówiłem, powtórzę: stosunek człowieka do wiary, do religii, do przedmiotów magicznych od wieków jest niezmienny.

W starożytnej Grecji bogowie mieli postać człowieczą, z zaletami i przywarami ludzi. W tradycji chrześcijańskiej Pan Bóg jest przedstawiany jako starzec z brodą. Syn Boży ma ręce, nogi, tułów, głowę, zarost. Jedyne Duch Święty wygląda jak gołąb.

Na cmentarzysku w Przyborowie koło Nowej Soli znalazłem dwa naczynia gliniane, znajdujące się na nich kreski i dołki układały się w postać ludzką. Na podobne wizerunki natrafiłem koło Cybinki. Na jednym z naczyń postać miała ręce uniesione w geście oracji. Na brązowej klamrze do pasa znalezionej w Radolinku koło Czarnkowa istnieją owalne wypukłości otoczone dołkami i dołeczkami. Układają się one w wizerunek słońca. Pomiędzy nimi znajduje się coś w kształcie łodzi

z ptasim dziobem, a na niej podobizna ludzka. Prawdopodobnie było to wyobrażenie boga-człowieka.

Na interesującej nas ziemi dotąd niewielu badaczy i miłośników pradziejów miało szczęście napotkać gliniane figurki sprzed tysięcy lat. Zaskoczeniem okazała się trójwymiarowa postać ludzka znaleziona w czasach niemieckich w Deszcznie koło Gorzowa Wielkopolskiego.

Glinianą boginię z Deszczna, zapewne odpowiedniczkę Demetry, greckiej bogini płodności i urodzaju, w 1901 roku ujawnił kolekcjoner i handlarz zabytkami, pastor Felix Hobus, a rok później opisał w berlińskim periodyku swoje odkrycie. Duchowny ewangelicki wyjaśnił, że figurka znajdowała się w piaszczystej ziemi na głębokości około siedemdziesięciu pięciu centymetrów, odchylona nieco do tyłu, z twarzą zwróconą na zachód. Ze wszystkich stron otaczały ją małe garnki. W pobliżu stała czarna urna ze spalonymi kośćmi oraz wazy, ustawione w półokrąg otwarty na południe. Polski uczony, profesor Włodzimierz Szafrąński pisał, że figurka była umieszczona wewnątrz popielnicy. Naczynia znalezione w Deszcznie, datowane na początek wczesnej epoki żelaza, czyli lata 700-550 starej ery, nawiązywały swym kształtem i dekoracją do ceramiki italskiej z tego samego czasu, wytwarzanej przez Etrusków, tajemniczych przodków Rzymian (?).

Jak wyglądała figurka, którą pastor Hobus znalazł w Deszcznie?

To gliniana, cylindryczna bryła kilkunastocentymetrowa, zwężająca się lekko w stronę głowy przesłoniętej zwierzęcą maską. Otworki w uszach świadczą o tym, iż były w nich kolczyki. Postać trzyma przed sobą naczynie ofiarne. Na całej jej powierzchni znajduje się geometryczny ornament. Figurkę,

uważaną przez część archeologów za najcenniejszy zabytek cywilizacji łużyckiej na Środkowym Nadodrzu, pastor Hobus podarował Królewskiemu Muzeum Etnograficznemu w Berlinie. Jej replika znajduje się w Muzeum Lubuskim w Gorzowie. W niedawno wydanej książce o pradziejach Wielkopolski pod zdjęciem bogini z Deszczna spotkałem podpis, jakoby to była figurka ludności kultury pomorskiej.

Błąd?

Na pewno figurka znaleziona w pobliżu Deszczna jest dziełem człowieka należącego do grupy górzyckiej cywilizacji łużyckiej. Kultura pomorska nie sięgała na Środkowe Nadodrze.

W „Encyklopedii Gorzowa” Jerzy Zysnarski podaje, że niedaleko Deszczna, bo w Karninie, w latach 1926-1927 archeolog Fritz Buchholz odkrył sto dwadzieścia grobów na cmentarzysku łużyckim. Znalazł tam figurkę podobną do tej z Deszczna.

Pod względem plastycznym rzeczywiście była ona podobna. I faktycznie została znaleziona podczas prac wykopaliskowych. Fritzowi Buchholzowi udało się wtedy wydobyć około dwustu zespołów z różnych okresów cywilizacji łużyckiej. I, o dziwo, autentyczność figurki z Karnina bywa kwestionowana, pomimo prawdopodobnego istnienia pełnej dokumentacji archeologicznej.

Falszyfikat więc?

Nie wydaje mi się, aby dla samej sławy Fritz Buchholz, znakomity znawca pradziejów, założyciel gorzowskiego muzeum, zdobył się na wykonanie falszyfikatu figurki z Deszczna. Obaj odkrywcy, jak pisze Sławomir Górka, współczesny badacz ziemi nad dolną Wartą, różnili się w swych interpretacjach

znaleziska. Pastor Hobus upatrywał w figurce z Deszczna odzwierciedlenie bożka czy raczej bogini, zaś Fritz Buchholz skłaniał się ku temu, że był to kapłan-szaman. Zdaniem tego ostatniego odkrywcy, w grobach, z których wyjął figurki, byli pochowani kapłani.

Czy takie lub podobne posąжки archeolodzy znajdują wyłącznie na cmentarzyskach?

W całym antycznym świecie ówcześni mistrzowie przedstawiali mniejsze lub większe rzeźby bogów i herosów w uczłowieczonej formie. Tą drogą łatwiej i szybciej trafiali do wiernego spóółstwa. Dlaczego u nas miało być inaczej? Czy tylko z powodu braku marmuru, w którym mistrzowie wykuwali rzeźby? Przecież postacie bóstw można robić, i zapewne robiono, z łatwiejszego w obróbce i powszechnie dostępnego drewna. Do naszych czasów niewiele się ich zachowało tylko dlatego, że zbutwiały i rozsypały się w proch.

Jednak jakieś trwalsze dary wotywnie i przedmioty religijne zachowały się w grobach. Czytałem o skarbach znalezionych w Witaszkowie, Wicinie, koło Miocina Dolnego.

Nam skarby kojarzą się z wyrobami ze srebra i złota, z kości słoniowej, z bursztynu, wysadzone drogimi kamieniami. Archeolodzy nazywają je depozytami powierzonymi ziemi najczęściej podczas zawieruch wojennych. Wędrowny rzemieślnik czy kupiec chował swoje dobra przed zbójcami lub też, udając się w dalszą, coraz bardziej niebezpieczną drogę na północ, część swojego dobytku ukrył w jamie pod wystającym gładem lub wielkim drzewem. Zmarł. Zaginął. Albo po wielu latach wrócił, lecz zapomniał, w którym miejscu urządził schowek.

Może więc jeszcze kilka pokoleń archeologów będzie zacierało ręce ze szczęścia.

Tego jestem pewien. Przecież jakiś handlarz, kupiec czy rzemieślnik w tajemnicy przed sąsiadami mógł ukryć swój towar z dala od siedlisk ludzkich. Na takie właśnie znalezisko natrafili badacze w pobliżu Lubusza. Był to ogromny depozyt siekierok brązowych, datowany na około 800 rok przed naszą erą. Siekierki te, na oko identyczne, po dokładnych oględzinach uwidaczniały wyraźne różnice technologiczne i stopień zużycia. Może ówczesny kupiec lub wytwórca wyrobów z brązu ukrył je w ziemi, w pobliżu osady czy placu handlowego.

Już prędzej rabuś je tam ukrył niż rzemieślnik. Jaki cel miał wytwórca, zakopując siekierki w ziemi?

Archeolog powie, że ktoś zdeponował skarb w ziemi. Ten nieznaną właściciel ukrył część siekierok w ziemi, ponieważ być może nie grzeszył uczciwością i były one zrobione z gorszej jakości brązu. Liczył się więc z tym, że w razie wykrycia oszustwa, będzie musiał uciec z targowiska. Bez towaru na plecach łatwiej zbiec. Oczywiście są to jedynie domniemania o przyczynach składania depozytów w ziemi. Badacze znajdowali depozyty w zaskakujących miejscach.

Na przykład gdzie?

W pobliżu Myśliborza przed pierwszą wojną światową robotnicy wybierali torf z dna jeziora Łubie i oczyszczali rzeczkę Myślę. Ponieważ robili to ręcznie, raz po raz natrafiali na różne przedmioty z brązu, głównie na ozdoby. W pobliżu jednego miejsca, ale nie razem, na dnie Myśli znaleźli pięć bransolet, trzy naszyjniki i dwie zapinki datowane na najmłodszy okres epoki brązu, czyli lata 900-700 starej ery. Drugie znalezisko składało się

z dwudziestu pięciu paciorków i siedmiu wisiorków bursztynowych. Na dnie jeziora robotnicy znaleźli również po czternaście wisiorków i paciorków brązowych, datowanych na okres górzyskiej cywilizacji łuzyckiej. Dwa pierwsze skarby ktoś wrzucił do Myśli być może z nadzieją, że kiedyś wyjmie je z rzeczki. Te znalezione na dnie jeziora nie leżały obok siebie, lecz w wielu miejscach, jakby ktoś rozsypał je nad powierzchnią wody z brzegu lub z pomostu.

*Czy to też były depozyty? Może dary ofiarowane bóstwom?
A może w jeszcze inny sposób tam się znalazły?*

Na żadne z tych pytań nie potrafię odpowiedzieć wprost. Postaram się za to podsunąć odpowiedź. Na pozostałości dużej kładki niemieccy archeolodzy natrafili w Berlinie-Spandau. Tam, z dala od wystających z wody pomostowych pali, odkryli brązowe miecze, sztylety, siekierki z tulejkami i piętami, groty oszczepów i włóczni. Podczas oględzin tych przedmiotów badacze nie znaleźli na nich oznak zniszczenia, a na niektórych były ślady niedługiego użytkowania. Co jeszcze ciekawe, sporą ich ilość stanowiły przedmioty zrobione nie tam, gdzie zostały znalezione, ale w różnych, niekiedy oddalonych krainach.

Do jakiego wniosku doszli ci, którzy je badali?

Dary mogły być przekupstwem bóstw i prośbą o ochronę darczyńcy. Mogły być ofiarą na rzecz oczekiwanej pomocy albo wyrazem podziękowania za dotychczasowe łaski. Jeziora w Berlinie-Spandau identycznie jak podmyśluborskie Łubie przodkowie traktowali jako miejsca kultu.

*Czy badacze wiedzą, jak często Łuzyczanie składali dary?
Robili to w określone dni tygodnia, w wybranych porach roku,
rano, wieczorem?*

Na podstawie znalezisk w Berlinie-Spandau archeolodzy doszli do wniosku, że mogły tam odbywać się, mówiąc współczesnym językiem, targi. Zjeżdżali na nie kupcy, rzemieślnicy i woje z całej Europy. Tam wymieniali towary, szykowali się do podróży i wypraw. I tam z nich wracali. Aby zapewnić sobie szczęśliwy powrót, należało zjednać bogów takimi darami, których nikt nie ukradnie. Najbezpieczniejszym miejscem, z którego człowiek nie zabierze darów ofiarowanych bóstwom, były jeziora i bagna.

A jeśli do miejsca kultu było daleko...?

Przodkowie składali dary również na pustkowiach, z dala od ludzkich siedzib. Tak prawdopodobnie było ze skarbem znalezionym w Miocinie Dolnym koło Koźuchowa. Tam, razem z Adamem Kołodziejskim natrafiliśmy na dar wotywny: po obu stronach grotu oszczepu leżały po dwie siekierki zrobione z brązu, datowane na 800 rok przed naszą erą. Potem przebadaliśmy okolicę w promieniu dwu kilometrów od tego miejsca, ale nie natrafiliśmy na żadne ślady osadnictwa z tego czasu. Zastanawialiśmy się, jakie życzenia skierował do bogów ów woj, jeśli ofiarował aż tak wartościową broń. A może jego wojenne łupy były już tak wielkie i bogate, że mógł sobie pozwolić na podzielenie się nimi z bogami w podzięce za dotychczasową opiekę?

Rozumiem praprzodków, którzy powierzali swoje dobra ziemi na krótki okres lub nawet na zawsze. Mimo to zastanawiam się, co takiego mogło zmusić ofiarodawcę do pozbycia się znacznej części swego majątku? Czyżby strach, że dotąd za mało dzielił się z bóstwami? Chęć ich prześlągnięcia i naprawienia krzywd? A może ofiarodawca chciał zaimponować sąsiadom?

Do niedawna na pierwsze miejsce prehistorycy wysuwali kwestię ekonomiczną. Dziś coraz częściej mówią o wierzeniowym

i społecznym charakterze tych darów. Wedle profesora Bernharda Hänsla, etnologia podaje przykłady, iż nadmierne gromadzenie dóbr w jednym ręku prowadziło do znacznych napięć wewnątrz społeczności. Z drugiej strony, jakże oprzeć się takiej możliwości? W zderzeniu tych dwu tendencji zwyciężał pragmatyzm. Bogaci celowo pomniejszali stan posiadania, ale nie poprzez rozdawnictwo swych dóbr pomiędzy sąsiadów, lecz starali się ofiarowywać je bóstwom wraz z prośbą o opiekę i pomyślność dla wszystkich ziomków. Tą drogą niwelowali napięcia we wspólnocie i wzbudzali podziw współmieszkańców. Przy okazji pokazywali, że darczyńca ma jakieś szczególne dojście do bogów i tylko przez niego istnieje możliwość kontaktu z nimi. To prowadziło do umocnienia się grupy kapłanów, traktowanych jako pośredników między bogami a ich wyznawcami.

Już w okresie cywilizacji łużyckiej?

Przypomnę figurki bogiń z Deszczna i Karnina, w których prahistorycy upatrują niekiedy postaci szamanów przebranych w specjalne maski. Wcale nie jest to bezzasadne. Przynajmniej kulturowo. Wszak znamy z Azji i Afryki plemiona, których religijni przedstawiciele nakładają na siebie stroje ze skór i głów zwierzęcych, raczej nie tych łagodnych, i rozpoczynają rytualne obrzędy i tańce. Zapewne było tak i między XIII a III wiekiem przed naszą erą nad środkową Odrą. Miejscowi kapłani-wodzowie dyktowali porządek codziennego życia i czas świętowania.

Przypuszczam, że praprzodkowie nieźle posługiwali się kalendarzem przyrodniczym. Czy obchodzili święta związane z porami roku, na przykład po udanych zbiorach?

Z braku dokumentów pisanych niewiele na ten temat mogę powiedzieć. Domyślam się, że skoro w antycznej Grecji

urządzano przeróżne uroczystości, to zwyczaj taki przeniknął i na cały kontynent europejski. Zapewne pramieszkańcy obchodzili święta ognia, urodzaju, związane z polowaniami, z rybołówstwem. Czy Zaduszki przypadały jesienią, tego nie udało się ustalić, na pewno jednak funkcjonowały w społecznej świadomości. Wskazują na to przedmioty znajdowane na cmentarzyskach, na powierzchniach już dawno zasypanych grobów. Co ciekawe, najczęściej są to fragmenty naczyń służących do przechowywania i spożywania płynów. Dzbany, kubki, miseczki, czerpaczki i tym podobne. To prowadzi do wniosku, że nad grobami zarówno w końcowych fazach pogrzebu, jak i w czasie późniejszych uroczystości żałobnicy coś pili. Może piwo lub miód. Raczej nie znano fermentacji alkoholowej prowadzącej do powstania wina. Chociaż...? Przecież Grecja nie była za górami, za lasami.

Czy ówczesni mieszkańcy naszej ziemi wierzyli w duchy opiekuńcze domostw?

Archeolodzy natrafili na naczynia z pokarmami i napojami pod progami domostw oraz w ich narożnikach. Takie szczęście mieli badacze warowni w Wicinie, gdzie tuż pod belką konstrukcyjną drzwi został złożony dzbanuszek ze spiczastym dnem. Dary z pewnością zostały złożone dla aniołów stróżów ogniska domowego.

Na podstawie tego, co pan powiedział, doszedłem do wniosku, że sfera duchowa praprzodków była rozbudowana. I że nie były to tylko proste wierzenia, ale uformowana religia. Skoro tak, to czy istniały miejsca kultu, pytam o świątynie, budowle uznawane za święte, święte miejsca?

Po zachodniej stronie Odry, w Zedau badacze natrafili na ślady ognisk z epoki brązu, ułożonych w dwu rzędach, mniej

więcej po sto w każdym. Jedni archeolodzy uznali je za suszarnie zboża, drudzy za punkty spalania drewna. Nieliczni twierdzili, że w tym miejscu płonęły ognie kultowe zapalane jednocześnie o ustalonej porze roku, na przykład podczas zrównania dnia z nocą czy w określonej fazie księżyca.

A czy po wschodniej stronie Odry też były takie miejsca? Pytam o tereny, gdzie żyli Górzycanie i Białowiczanie.

Niestety, po naszej stronie rzeki na razie archeolodzy nie natrafili na coś podobnego. Tu miejscami świętymi były jedynie cmentarzyska. Na pewno palono na nich ogniska. One musiały mieć inny charakter i z innego powodu były rozpalane. To były stosy ciałopalne, ogniska i paleniska powiązane bezpośrednio z kultem zmarłych. Być może każda rodzina miała swoje miejsce na cmentarzysku, gdzie o określonej porze roku zbierała się i rozpałała ogień.

Spytałem również o miejsca świątynne, ważne dla większej grupy ludzi.

Znam trzy takie miejsca, wszystkie są po zachodniej stronie Odry. To grody-świątynie w Lubuszu, Seelow i Lossow. Mimo że prace wykopaliskowe w Lossow rozpoczęły się w 1898 roku, do dziś niewiele jest informacji na temat znalezisk. Pierwsze potwierdzone dokumentami badania prowadził Carl Schuchhardt w 1909 roku. Odkrył wówczas jądro wału, złożone z kilku pięter drewnianych skrzyń z ziemią i kamieniami. Skrzynie, coś w rodzaju studni układanych przez dzieci z zapalek, chronione były z obu stron płaszczem ziemnym. Podobnie zostały zbudowane wały w Biskupinie. Wewnątrz grodu prehistoryk natrafił na zarysy dużych jam wykopanych w polodowcowym, niezwykle twardym marglu. Przypominały one owalne

szyby o średnicy półtora metra i głębokości od pięciu do siedmiu i pół metra.

Margiel to bardzo twarda skała osadowa. Jak praprzodkowie, mający proste narzędzia, wydrążyli aż tak głębokie jamy?

Identyczne pytanie zadawało sobie wielu badaczy. Na razie logicznej odpowiedzi nikt nie sformułował. O tym, jak twardy jest margiel, przekonałem się, gdy obserwując pracę koparki, usłyszałem odgłos pękającego metalu. Nie wytrzymała stalowa łyżka. Margiel zwyciężył. Dlatego też z jeszcze większym podziwem należy patrzeć na dzieło ówczesnych mieszkańców. Na pewno mieli na to jakiś sposób. Tylko jaki?

Co Carl Schuchhardt znalazł na dnie sztolni w Lossow?

Odkrył piętnaście głębokich jam. Na ich dnie leżały szkielety ludzi, bydła i koni. Na przykład w jamie nr 11 było pięć szkieletów ludzkich i kilka zwierzęcych. Z piętnastu szybów wydobył łącznie dwadzieścia dwie czaszki ludzkie. Niemal dwadzieścia lat później miejsce to badał prehistoryk niemiecki, profesor Wilhelm Unverzagt. Mimo że odsonił jeszcze trzydzieści osiem sztolni, przebadał jedynie cztery. W nich także były kości zwierzęce i ludzkie. Do grodu-świętyni w Lossow archeolodzy wrócili dopiero w roku 1968, prace badawcze prowadzili też w latach 1980-1984. Odkryli jeszcze pięć szybów. Tak więc ich liczba wzrosła do pięćdziesięciu ośmiu. Najciekawsze znaleziska znajdowały się w sztolni nr 54. Tam na głębokości sześciu metrów archeolodzy natrafili na szkielet człowieka, leżący na brzuchu. Ręce i nogi wskazywały, że przed zrzućeniem do jamy zmarły został skępowany. Na podstawie badania antropologicznego uczeni ustalili, że była to kobieta w wieku około 25-27 lat, prawdopodobnie garbata. Znajdowało

się tam także gliniane naczynie typowe dla Górzyczan, datowane na lata 500-400 przed naszą erą.

Czyżby, panie doktorze, zabójstwo rytualne w Lossow?

Można tak przypuszczać. Panujący w starożytnej Niniwie w latach 705-681 poprzedniej ery król Senacheryb tak opisuje podbój Babilonii: „W trakcie mojej drugiej wyprawy szybko pomaszerowałem do Babilonii, którą zamierzałem zdobyć. Uderzyłem na nią jak niespodziewana burza... Z jej mieszkańców, wielkich i małych, nie oszczędziłem nikogo, a ich martwymi ciałami wypełniłem place miasta”. Nie zamierzam komentować tego. Uważam jednak, że składanie ofiar przez Łużyczan było bardziej humanitarne, zwłaszcza iż prawdopodobnie składali ciała, a nie żywe osoby. Nawiasem mówiąc, podobne znaleziska znane są z całej Europy Środkowej.

Z czym można wiązać takie ofiary?

Prahistorycy twierdzą, że ówcześni mieszkańcy naszego kontynentu składali ofiary bogom, którzy zapewne mieszkali w ziemi. W okresie nieurodzaju, w celu prześlągnięcia bóstw, stosowali magię i składali różnorodne ofiary. Może ofiarowywani ludzie mieli być posłańcami do bogów z wieścią o rozpaczach żyjących i prośbach o łaskawość. Niejako przy okazji mieli także przekazać im ofiarowywane dary ze zwierząt i roślin.

Miejsca świątynne w Lubuszu, Lossow i Seelow były wspólne dla wszystkich plemion cywilizacji łużyckiej?

Do takiego wniosku doszli uczeni. Co ciekawe, ludność żyjąca po prawej stronie Odry przeprawiała się na lewy brzeg na tratwach lub na wiązkach trzciny, bo chyba nie na łodziach. Zbyt silny i rwący był nurt rzeki w Lubuszu. Być może właśnie

z uwagi na kipieli i trzydziestometrowy, niezwykle stromy brzeg teren ten wybrano na świątynię. Tradycja tego miejsca jako świątyni już słowiańskiej przetrwała do średniowiecza.

Co sprawiało, że mimo niezwykle trudnych warunków przeprawy, ludzie pragnęli przedostać się na zachodni brzeg Odry?

Silną motywacją zazwyczaj jest wiara. Przypuszczam, że odbywały się tam kilkudniowe ceremonie i to po kilka razy w roku. Pierwsze święta mogły być związane z początkiem wiosny, podczas których proszono o obfite plony. Później błagano o deszcz, a jesienią ofiarowywano część plonów bogom i proszono ich o niezsyłanie srogich zim. Białowiczanie, Górzycanie czuli się bezradni wobec trzech żywiołów: wody, wiatru i ognia. Uważali je za najważniejszych bogów, im składali ofiary i przede wszystkim ich błagali o pomoc.

Myślę, że bezradni wobec żywiołów byli nie tylko ówcześni mieszkańcy Środkowego Nadodrza. Identyczne zachowanie dotyczyło chyba wszystkich grup starożytnej kultury. Zresztą dziś wcale nie jest inaczej.

Powszechnym w ówczesnej Europie był znak podwójnej siekiery. Na popielnicach, jakie znalazłem na cmentarzyskach w okolicy Cybinki, były takie właśnie ryty w postaci zamkniętego i zakreskowanego znaku X, symbolu boga Słońca. Czy skupisko skarbów wydobytych ze zbiorników wodnych koło Myśliborza nie jest dalekim odpowiednikiem świątyni Demeter odkopanej na Sycylii? Tam także badacze znaleźli depozyty brązowe z kilku okresów epoki brązu. A czy pochówki odlewników i kowali, na które archeolodzy co rusz natrafiają nad Odrą, to nie odniesienie do greckiego Hefajstosa i Wulkana? Groby wojowników znad Dunaju z drugiego okresu epoki brązu z Górzycy i o wiele młodsze z Sękowic koło Gubina z końcowych dziesięcioleci kultury

łużyckiej, można powiązać z grecką Artemidą. Księżniczka z Wiciny i jej zmarli śmiercią naturalną ziomkowie, wyposażeni na drugie życie w wiele ozdób z brązu, szkła, bursztynu, to nie poddani greckiej Afrodyty?

Stara się pan mnie przekonać, że starożytna Grecja miała ogromny wpływ na mieszkańców Środkowego Nadodrza.

Tak jak dziś, wtedy również kwitł handel. Karawany kupieckie wędrowały z południa na północ i odwrotnie, wraz z nimi przenosiły się idee, poglądy. A każda religia nosi w sobie załączki ekspansjonizmu i chęć nawrócenia innych na swoją wiarę.

Czy zna pan nadodrzańskie przedmioty powiązane z kultem, z wierzeniami, takie same albo podobne do tych, jakie badacze znaleźli w starożytnym Egipcie, Mezopotamii czy bliższej nam Grecji?

Niewiele. Jednym z najwspanialszych przykładów sztuki sakralnej jest klamra do pasa znaleziona w Radolinku koło Trzcianki. Została wykonana z trapezowatej, dość szerokiej, bardzo cienkiej blachy brązowej. Podstawową ornamentyką są owalne wypukłości, otoczone niewielkimi dołeczkami. Symbolizują one słońce. Tarcza słoneczna jest podparta przez schematycznie zarysowaną postać ludzką stojącą na łodzi. Tarcze obok, oddzielone ptakami, symbolizują zapewne wschód i zachód słońca. Kompozycja ta jest zdublowana i rozdzielona pasmem słonecznych wypukłości oraz ptaków-łodzi. Jednak nie to zwielokrotnione słońce, ciągnięte w niebiańskiej łodzi przez ptaki, jest główną treścią rysunkowej opowieści. Centralną postacią jest człowiek z geście oranta. To jest bóg-słońce, bóg-człowiek.

Toż to jak egipska bogini Nut, która swymi stopami sięgała horyzontu od wschodu do zachodu.

Nut wieczorem połykała boga słońce Re, a rankiem go ponownie rodziła.

W basenie Morza Śródziemnego badacze znaleźli niemożliwą wprost do policzenia ilość rzeźb i malunków obrazujących boga w postaci ludzkiej. Dlaczego na naszej ziemi archeolodzy nie znajdują tak wielu figurek i rytów antropomorficznych? Nie wierzę, że nasi praojcowie byli mniej zdolni od mieszkańców południa.

Sądę, że o ilości przesądzało to, iż Grecy czy Etruskowie robili te figury z kamienia, rzadziej z terrakoty. Nasi praojcowie, wyłączając figurki znalezione w Deszcznie i Karninie, zapewne robili posąжки z drewna, którego było pod dostatkiem jak kamieni na południu Europy.

Co praprzodkowie najczęściej składali w ofierze: zwierzęta, jak to czynili biblijni bohaterowie i jak to jest w zwyczaju wyznawców religii południowych, czy pokarmy, ozdoby z brązu i żelaza, naczynia gliniane, skóry zwierzęce, wyroby z kości...?

Zanim odpowiem na to pytanie, na chwilę wrócę do Lossow. W latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku badacze odkryli tam sześć szybów, natrafili w nich na szczątki jedenastu różnych gatunków zwierząt, między innymi psa, świni, owcy, zająca, jelenia, dzika, bobra. Co jest uderzające w tym znalezisku: kości nie stanowiły kompletu. Wskazuje to, iż zwierzęta najpierw zostały rozebrane na części, które zapewne ludzie zjedli, a potem obgryzione resztki złożyli w ofierze bóstwom.

Pragmatyczne i zdroworozsądkowe spojrzenie na świat bogów?

Były to dary-niedary, ofiary-nieofiary... Darem w zasadzie mogło być wszystko, a ofiarowywać, czyli w jakimś sensie darowywać w pokorze, można było raczej to, co żywe: rośliny,

zwierzęta, nawet ludzi. Za dary należy uznać przedmioty złożone jako dodatki grobowe. Darem równoważnym z ofiarą składaną bogom były skarby i pojedyncze ozdoby, o których mówiłem, przywołując znaleziska z Myśliborza i Berlina-Spandau. Niewiele da się powiedzieć o darach-ofiarach wykonanych z materiałów organicznych.

Po nich nawet nie zachowały się ślady.

Były, o czym tyle mówiłem, najpowszechniejszym sposobem oddziękowania się bogom. Znany bogatym i biednym. Tam, gdzie archeolodzy prowadzili prace wykopaliskowe, w miejscu osad, częściej napotykali na ślady, na przykład drewnianych przedmiotów, a także stanowiących ofiary zakładzinowe. Na cmentarzyskach to rzadkość. Drewniany czerpak znaleziony w grobie w podgubińskich Sękowicach badacze uznali za odkrycie wręcz sensacyjne. W naczyniu tym uwagę zwraca szczególnie wymodelowanie dużego ucha, przypominającego uchwyty na greckich i etruskich amforach.

Jak wyglądało bóstwo opiekuńcze? Czy to był wizerunek wystrugany z drewna, znak ułożony z kamieni albo wykuty w skale, miejsce wyniesione nad jeziorem, otoczone wałem lub płotem?

I to, i to, i to, i nawet to ostatnie. Do dziś trwa dyskusja, czy górująca nad równiną wrocławską Ślęza była miejscem świętym już w okresie cywilizacji łużyckiej, na co zdają się wskazywać niektóre kamienne rzeźby i nieliczna ceramika. Badania prowadzili tam archeolodzy z Wrocławia, między innymi profesorowie Helena Cehak-Hołubowiczowa i Bogusław Gediga oraz przyjaciel naszego regionu profesor Grzegorz Domański. Uznali Ślężę za miejsce kultu. Na Środkowym Nadodrzu nie ma takiej

góry znienacka pojawiającej się nad równiną i tak rzucającej się w oczy. Są za to wysokie i strome brzegi jednej z największych rzek, Odry, z jej nieokiełznanym nurtem. Rzeka działała na wyobraźnię praojców nie mniej niż Ślęza. Dlatego właśnie istniały miejsca kultu w Lubuszu, Seelow i Lossow.

Gdyby badacze odkryli tam Światowita, nawet kamiennego...

To nie wyklucza istnienia idoli z materiałów organicznych. Nawet słomianej Marzanny, maski z kory lub skóry, figurki drewnianej czy zdecydowanie trwalszej rzeźby kościanej. One zapewne tam były, lecz nie przetrwały do naszych czasów. Pozostały domysły i analogie, symbole.

Miejsca te były ważne dla mieszkańców naszej ziemi w okresie cywilizacji łużyckiej. Nie muszę pana przekonywać, że musiały być ważne także dla praojców żyjących w czasach piastowskich. Pierwsza siedziba chrześcijańskiego rządcy diecezji lubuskiej była w Lubuszu. Nie sądzę, aby Bolesław Krzywousty przypadkowo wybrał ten gród na stolicę biskupią. Kolejna siedziba biskupa lubuskiego była w Górzycy... Skoro wspomniął pan o symbolach, to przyjęło się uważać, iż odsłaniają one istotę człowieczeństwa. Określają miejsce zajmowane przez ludzi we wszechświecie. Wyrażają potrzebę łączenia współczesnych z praprzodkami.

Zawsze starano się objaśniać świat za pomocą symboli. Tak było i jest z życiem i śmiercią, z niebem i ziemią, z dobrem i złem, z całym kosmosem i ludzką jednostką. Każda wiara, nawet ta najbardziej odległa, poprzez ukazanie symboli starała się przekazać swoją wersję prawdy, swoje wyobrażenia o otaczającym nas świecie. Operowano najczęściej skrótami myślowymi, obrazami przemawiającymi bardziej do wyobraźni niż do rozumu.

To jedno, a drugie to symboliczne liczby, na przykład 12 w religii chrześcijańskiej: 12 apostołów, 12 braci Józefa, 12 gwiazd ma wieńiec Matki Bożej. Rok ma 12 miesięcy. Czy dawni mieszkańcy naszej ziemi też mieli swoje liczby symboliczne?

12, owszem, ale bardziej symboliczną liczbą jest 3. Katolicka Trójca Święta czy prawosławne boh trojcu lubit nie wzięły się znikąd, jako wymysł najbardziej nawet świątłych apostołów. Dlaczego było tylko trzech króli, a nie więcej, reprezentujących wszystkie nacje? Niech pan przypomni sobie ludowe porzekadła. Do trzech razy sztuka. Trzy razy splunąć przez lewe ramię. Po raz trzeci mówię ci, duchu: odejdz. U różnych ludów i w różnym czasie liczba 3 miała rozmaite, choć zawsze magiczne znaczenie. Dla Celtów była czymś złowieszczym, ale też uwypuklającym siłę duchową, utożsamianą z głową, ukazywaną jako tryptyk. Nawet bogini matka to postać trójkobieca.

A jak to wyglądało u nadodrzańskich praojców?

Badacze cywilizacji łużyckiej nie mają wątpliwości, że i tu 3 była liczbą magiczną. Często można się na nią natknąć na cmentarzyskach. Na przykład, popielnica była ustawiona na trzech kamieniach. Trzy kamienie ułożone w trójkąt oznaczały grób. W grobie były trzy rodzaje materiału: glina użyta do zrobienia popielnicy, drewno do obłożenia ścian i kamienie wyznaczające miejsce pochówku. Liczba ta przewijała się w składanych darach i skarbach. Na naczyniach umieszczano trzy rodzaje zdobień: dołki, guzki i ryty. Ptaszek zdobiący zapinkę miał w dziobie trzy kółeczka.

Zastanawiał się pan nad tym, dlaczego dla Łużyczan symboliczną była liczba 3, a nie 4, 12 czy 44?

Przodkowie traktowali ją jako znak uosabiający podstawową komórkę społeczną – rodzinę, czyli męczyznę – ojca kobietę – matkę i dzieci. Trójka też symbolizowała główne żywioły, z którymi ówczesni ludzie nie umieli sobie poradzić, oznaczała bowiem ogień – pożar, wodę – powódź i powietrze – wicher, huragan.

Czy prahistorycy odkryli inne znaki symboliczne, charakterystyczne dla cywilizacji łżyckiej?

Ówczesni ludzie, przy swoim praktycyzmie i racjonalizmie, byli zabobonni. Nie mogąc walczyć z przyrodą, nie potrafiąc wyprzedzać niekorzystnych zjawisk, starali się przekupić bogów. Składali więc dary bóstwom opiekuńczym, podążali do uświęconych tradycją i przekazem miejsc kultu, ale i na wszelki wypadek kłaniali się wyjątkowo wysokim drzewom albo ogromnym kamieniom. Rzekę też traktowali jako bóstwo, które bywa winowajcą powodzi, lecz i pozwala im łowić ryby, niesie na swoim grzbiecie zwalone drzewa, z których budowali domy. Skoro my, w XXI wieku, nie potrafimy sobie poradzić z powodzią, to jak oni, przed trzema tysiącami lat mieli zapobiegać kataklizmom? Dlatego wierzyli, że jeśli będą składali dary różnym mocom, oddawali im cześć, zyskają pomoc albo będą mniej narażeni na nieszczęścia.



Grzmiąca, pow. słubicki – popielnica nakryta misą z grobu datowanego na lata 1200-1100 p.n.e.



Marcinów, pow. żagański – wczesnożelazny kurhan kultury pomorskiej (uwagę zwraca kamienny krąg i obudowa grobu centralnego)

Gdzie i jak grzebali zmarłych

Czy dobrze zrozumiałem, że praprzodkowie nie grzebali zwłok zmarłych, lecz je palili, a prochy składali w urnach-popielnicach?

Tak właśnie było, jeśli chodzi o cywilizację łużycką. Na całym ówczesnym świecie było tak wcześniej, bo już pod koniec epoki kamienia, tak było i później, aż do początków chrześcijaństwa, które zdecydowanie wyparło ciepłopalny obrządek pogrzebowy. W czasach łużyckich zmarłych chowano w specjalnych, świętych miejscach, którymi były cmentarze. Najstarsze miejsca pochówku prahistorycy nazywają cmentarzyskami.

Z moich obserwacji wynika, że od wieków cmentarze i cmentarzyska funkcjonują w tym samych miejscach, najczęściej na pagórkach lub zboczach.

Od zawsze miejsca przeznaczone na nekropolie żywi traktują ze szczególnym namaszczeniem. Następujące po sobie pokolenia uważają je za tereny wskazane i wybrane przez bogów, za święte. W Bieganowie koło Cybinki była dwukrotna, kilkudziesięcioletnia przerwa w użytkowaniu cmentarzyska. W położonej niedaleko Bieganowa Grzmiącej przerwa w chowaniu szczątków zmarłych sięgała nawet kilkuset lat. Wypracowany przez lata charakter okolicy kolejnym pokoleniom kojarzył się z cmentarzem. Nie wierzę, aby szczególne traktowanie tych miejsc wynikało jedynie z przekazu ustnego, odnoszącego się do konkretnego punktu. Istniała zapewne jakaś uniwersalna reguła dla całych, ogromnych połaci ziem zajmowanych przez ludność cywilizacji łużyckiej. Większość archeologów uważa, że miejsca na cmentarzyska wybierano ze względów kultowych, na

piaszczystych wyniesieniach, tak aby górowały nad okolicą. Rzadko spotyka się obiekty sepulkralne tam, gdzie ziemia jest lessowa czy gliniasta albo wręcz żwirowa. Żółty piasek mógł się kojarzyć dawnym mieszkańcom z kolorem ognia i z naczelnym bóstwem, jakim było słońce. Przodkowie oddawali prochy zmarłych bóstwu, aby pod jego opieką zaznało szczęścia wiekuistego. Wierzyli w drugie życie, dlatego budowali groby. Uważali, że na tamtym świecie, niedostępnym dla żywych, każdy ma swoje miejsce. Kto był szamanem na ziemi, w zaświatach też będzie co najmniej szamanem, kto tu dowodził drużyną i tam będzie dowódcą. Kto w swojej osadzie strugał figurki z drewna, miał je robić na tamtym świecie. Miejsce w zaświatach zależało od tego, jakim kto był człowiekiem na ziemi, czy składał ofiary bóstwom, czy starał się zaskarbić sobie opiekę słońca i lokalnych bogów.

Czy cmentarzyska służyły jednej osadzie?

W przypadku osad stałych mogły przynależeć do jednej grupy mieszkańców. Inaczej to mogło wyglądać, jeśli wziąć pod uwagę grupy wędrownie, zakładające obozowiska czy osady sezonowe. Ci mogli nie mieć jednego, stałego miejsca pochówku szczątków swoich zmarłych. Prawdopodobnie korzystali z cmentarzysk już istniejących, niekoniecznie własnych. Dlatego na cmentarzyska wybierano miejsca jednolite pod względem przyrodniczym.

Na podstawie tego, co pan powiedział, dochodzę do wniosku, że już wtedy zakładano cmentarzyska bardziej z myślą o żywych niż o zmarłych.

Większość kultur dawnych nie traktowała śmierci jako tragedii. Uważała ją za przejście do innego świata, gdzie osoba

bliska będzie żyła w otoczeniu przyjaciół i robiła to, na co ma ochotę, na co sobie zasłużyła. Wierzano, że przejście do owego innego świata musi poprzedzić wiele zabiegów magicznych przeprowadzanych przez tych, którzy pozostali na ziemi. Przede wszystkim obowiązywał rytuał palenia ciała i składania szczątków w popielnicę. Żywi przychodzili na cmentarzysko, gdzie wspominali zmarłego, przynosili dary i wyprawiali ucztę. Na cmentarzyskach płonęły ognie. Często i długo. Można powiedzieć: wiecznie.

Płonęły w jakim celu?

Ogień to była świętość mająca moc oczyszczającą. Ogień pozwalał przejść człowiekowi ze świata żywych do świata zmarłych. Ludzie wierzyli, że skoro ciało więzi duszę, to ogień może spowodować jej uwolnienie. Dlatego palono ciała zmarłych na stosach.

Zacznijmy naszą opowieść od rozpatrzenia takiej sytuacji: wczesnym latem, w domu położonym w osadzie stałej, wycieńczony chorobą, umarł starszy mężczyzna. Proszę wyjaśnić czytelnikom, jak wyglądał obrządek związany z pochówkiem jego ciała.

Przez pierwsze dni, nie dłużej niż tydzień, ciało zmarłego znajdowało się w domu. Tam odbywało się ostatnie pożegnanie z rodziną i sąsiadami. Były płaczki, jakieś ceremonie, niemal teatralna rozpacz, a być może i radość, że współziomek jest już po lepszej stronie smugi cienia. W tym czasie ludzie obsługujący cmentarzysko kopali jamę grobową, znosili z lasu drewno i układali je na stosie w miejscu do tego przeznaczonym. O wyznaczonej porze dnia w procesji pogrzebowej inna grupa ludzi przenosiła ciało zmarłego i układała je na stosie. Ktoś podpalał chrust, od którego zajmowały się bierwiona. Przypuszczam, że

ogień rozpałał szaman, wódz lub inna, ważna osoba. Gdy stos płonął, zebrani przy nim postępowali w zgodzie z ustalonym obrzędkiem. Mogli tańczyć i śpiewać wokół stosu, mogli pić alkohol, a jego resztki wylewać do ognia, co tylko wzmacniało płomienie. Mogli zażywać wywary z roślin halucynogennych i wpadać w amok.

Jak długo płonął stos?

Tak długo, póki ciało zmarłego się nie spopieliło. Zależało to więc od tego, jakiej postury był zmarły, ile ułożono drewna, także od umiejscowienia stosu. Jeśli stos był na miejscu otwartym, palił się szybciej, w miejscu ocienionym drzewami – wolniej. Podczas badań w Wicinie przeprowadziliśmy eksperyment ciałopalenia. Współpracujący z nami antropolog, profesor Janusz Piątek przywiózł zwłoki i szkielety dwu małp. Uznaliśmy, że kremacja zwierzęcia człekokształtnego przybliży nas do prawidłowych wniosków dotyczących ciałopalenia. Ułożyliśmy dwa stosy: mniejszy na szkielety i większy na zwłoki małpy. Ten większy palił się niemal trzy godziny. W trakcie pożogi widać było powolne kurczenie się i zanik ciała oraz przemieszczanie palących się kości. Absolutnie nie można było podejść bliżej ognia, aby poprawić ułożenie zwłok. Dopiero gdy ogień zupełnie wygasł, można było zobaczyć, gdzie były nogi, gdzie tułów, gdzie czaszka. Wszystkie części szkieletu miały jednolitą, prawie białą barwę, wyraźnie odcinając się od ciemnej spalenizny. Można było wybrać je do popielnicy i to prawie, jeśli się chciało, w porządku anatomicznym. Czyli: na dnie kości stóp, dalej nóg, potem miednicy, klatki piersiowej i tuż pod misą czaszki.

Co by się działo, gdyby na stosie złożono ciało zmarłego razem z jego ozdobami?

Temperatura płonącego stosu raczej wykluczała zachowanie się w czytelnej postaci zdecydowanej większości osobistych ozdób zmarłego czy ewentualnie wrzucanych w trakcie ciałopalenia darów. Nawet brąz, nie mówiąc o skórze, drewnie, rogu czy bursztynie, płonął wraz ze zmarłym. Dlatego też bardziej prawdopodobne jest, że spotykane w grobach, często na różnej głębokości popielnic przedmioty, których kształt i surowiec, z jakiego były wykonane, daje się odczytać, były wrzucane do co najmniej przygasającego lub wystygłego stosu. Inne ozdoby spłonęły wraz ze zmarłym, towarzysząc jego duszy w ostatniej drodze.

Zgadza się pan ze mną, że ceramiczna popielnica to odpowiednik współczesnej trumny?

Oczywiście. Niech pan zauważy, że ciałopalenie i wkładanie prochów zmarłego do pojemnika do nas wróciło i staje się coraz powszechniejsze. Na starym cmentarzu komunalnym przy ulicy Wrocławskiej w Zielonej Górze powstała niemała kwatery, gdzie żywi złożyli skremowane ciała zmarłych.

To potwierdza, że historia, jak jedni uważają, lubi się powtarzać lub, jak mówią drudzy, zatacza koło.

Szkieletowy obrządek pogrzebowy był powiązany z najstarszymi grobami, być może jeszcze neandertalczyków. Cała epoka kamienia to też groby szkieletowe. Potem znieścacka zaczęto palić ciała zmarłych. Tak było aż do zwycięstwa chrześcijaństwa.

Powróćmy do popielnic.

Urna łużycka to wysmukłe naczynie gliniane, które nie zawsze, ale często różniło się kształtem i wielkością od naczynia używanego w gospodarstwie domowym. Dziś przeważa pogląd,

że popielnicami były naczynia użytkowane na co dzień. Ja uważam, że urny były to specjalnie robione naczynia, bogato zdobione i wytwarzane jedynie w celu sakralnym. Oprócz kresek, zagłębień, kótek, znajdowały się na nich symbole magiczne, często wyobrażające słońce, czasem przedstawiające postacie ludzkie. Na Śląsku badacze natrafili na urnę obrazującą orszak lub scenę z życia, a może graficzne odwzorowanie polowania.

Przed lub po wstawieniu popielnicy do grobu żałobnicy przykrywali ją czymś specjalnym?

Na wierzch popielnicy kładli glinianą misę, często także zdobioną. W ten sposób zabezpieczali ją przed piaskiem. Niekiedy popielnicę owijali płóciennym całunem, spinanym z boku lub z góry brązowymi i żelaznymi szpilami. Być może używali także innych osłon, na przykład z drewna, trzciny, sitowia, słomy czy skór.

Wykopane na wzgórzu jamy grobowe zabezpieczali przed osypywaniem się piasku? Może budowali coś w rodzaju grobowca?

Na cmentarzysku w Bieganowie koło Cybinki natrafiłem na grób wyłożony faszyną. Piasek nie dostał się więc do środka. Na tym samym cmentarzysku znalazłem ślady gałęzi, które prawdopodobnie zostały ułożone nad jamą grobową, tak aby wyznaczały dom zmarłego. Część uczonych twierdzi, że ten dom podpalano, aby jeszcze raz oddać część zmarłemu i tą drogą wysłać jego duszę do miejsca wiecznej szczęśliwości. W czasopiśmie niemieckich natknąłem się na tezę, że podpalano nie tylko ten wyimaginowany dom zmarłego, lecz i ten, w którym mieszkał za życia. Nie chce mi się wierzyć w to, tym bardziej że na pewno zdawano sobie sprawę, iż takie rytualne podpalenie mogło się zakończyć pożarem osady.

A czy istniały wyjątki od powszechnego chowania szczątków zmarłych w popielnicach? Może prochy rozsypywano po lasach, topiono w jeziorze czy rzece albo składano nie do urny, lecz bezpośrednio do jamy grobowej?

Doczesne szczątki zmarłego składano do naczynia, ale też i obok niego. I to szczątki tej samej osoby. Czasami w ogóle nie używano garnka, a wrzucano kości prosto do jamy wraz z pozostałościami stosu. Na cmentarzysku w Bieganowie koło Cybinki natrafiłem na unikatowy i przedziwny rodzaj grobów. Nazwałem je tortowymi. Proszę sobie wyobrazić jamę, w niej na przemian: warstwa kości i warstwa połamanych naczyń. I tak na dwu, trzech, a nawet czterech poziomach.

Starł się pan to wyjaśnić?

Przypuszczam, że szczątki zmarłego wraz z pozostałościami stosu przenosiło wielu uczestników ceremonii i partiami wkładali je do glinianych garnków. Pochód uczestników tej ceremonii kończył się nad grobem, wtedy ludzie wrzucali tam kości i rozbijali naczynia, w których przynieśli te prochy.

Powiedział pan, że w grobach oprócz popielnic znajdowały się rzeczy osobiste zmarłego. Co jeszcze wkładano do jam grobowych?

W zależności od statusu społecznego lub zamożności rodziny do grobów wstawiano naczynia towarzyszące, otaczające popielnicę. Niemieccy archeolodzy zbadali zawartości małych naczyń. Ich zdaniem wkładano tam jedło i napoje. Prawdopodobnie podczas pogrzebu pito z nich wywary z ziół, a potem naczynka ustawiano wokół popielnicy. W grobach znajdują się kości zwierzęce, co świadczy o tym, że podczas pogrzebu uczestnicy ceremonii zjadali ofiarowane zwierzę, a kości rzucali obok popielnicy. Być może odbywało się to wedle wierzenia, że skoro

człowiek odrodzi się w innym świecie, to i z wrzuconych kości odrodzi się zwierzę, które będzie mu służyło.

Domyślam się, że archeolodzy znajdują w grobach bardzo cenne przedmioty osobiste w jakiś sposób identyfikujące pochowanego.

Na podstawie tych przedmiotów już na cmentarzysku często udaje się nam określić płeć i przybliżony wiek zmarłego. Jeśli w popielnicy były ozdoby szyi czy uszu, niemal jest pewne, że tam została pochowana kobieta. Gdy były groty strzał do łuku, groty włóczni i oszczepów, to bez większego błędu trzeba przyjąć, że zmarły był mężczyzną. Poświadczają takie rozumowanie analizy antropologów.

A czy razem z człowiekiem palono ciało zwierzęcia, na przykład zabitego podczas wojaczki jeźdźca i jego konia, i składano je w tym samym grobie?

Teoretycznie tak mogło być. Powiadam: teoretycznie, bo w praktyce koń, jeśli był młody, zdrowy, to miał zbyt wysoką wartość, aby go się pozbywać, nawet w celach rytualnych. Być może na to nie zwracano uwagi jedynie wtedy, gdy z grona żywych śmierć wyrwała kogoś znaczącego, bogatego. Właśnie w sztolniach w Lossow badacze znaleźli pozostałości konia jako ofiary. Przy kompletnym szkielecie ogiera natrafili na pojedyncze kości badające dziesięciu innych koni.

Podpowiada to tezę, że do głównego danu praojcowie dokładali przystawki w postaci części innych zwierząt.

Tak mogło być, albowiem zwierzęta traktowano niemal jak ludzi, czego dowody znalazłem na cmentarzysku w Sulęcinie. Odkryłem tam groby zwierzęce obok mogił ludzi. Jednych

i drugih, pochowano zarówno w popielnicach, jak i w jamach wygrzebanych w ziemi. Domyślam się, że tak jak palono ciała zmarłych ludzi, tak samo, może nawet w tym samym miejscu, palono martwe zwierzęta. I pewnie w identyczny sposób, mam na myśli rytuał, składano je w ziemi. Powtarzam: zwierzę miało ogromną wartość materialną, człowiek traktował je więc niemal jak kogoś spośród swoich bliskich, o czym przekonali się niemieccy archeolodzy badający cmentarzyska po swojej stronie Odry, w pobliżu Eisenhüttenstadt i niedaleko Müllrose. Natrafili oni na groby koni, w których oprócz szczątków zwierząt były fragmenty uprzęży. Pochowano więc zwierzęta z pełnym szacunkiem i wyposażeniem. W czarnej, smolistej ziemi.

Dziś wyrazem żalu i pamięci po śmierci osoby bliskiej jest kolor czarny. Podczas podróży po współczesnych Łużycach zatrzymałem się na cmentarzu parafialnym w Ralbicach w Saksonii. Proboszcz miejscowej parafii katolickiej powiedział, że w tej wsi kolorem żałoby jest biel. Czy w cywilizacji łużyckiej były stosowane barwne oznaki żałoby?

Biały kolor żałoby w Ralbicach może być pozostałością po dawnych czasach. Dziś w naszej cywilizacji za widoczny przejaw żalu uważa się czerń, podkreślam: w naszej cywilizacji. W kulturach wschodnich kolorem żałobnym bywa nadal biel, w południowej Afryce – czerwień, wdowy w Tajlandii noszą fioletowe szaty. Biała barwa oznacza wiarę w koniec cierpienia człowieka. Odpowiadając na pana pytanie o kolor żałoby społeczności cywilizacji łużyckiej, jestem skłonny stwierdzić, że tak jak dziś, była nim czerń. W grobach znajdowałem węgle drzewne, niemal czarne naczynka. Przodkowie uważali przejście ze świata żywych do świata umarłych za przekroczenie ciemnej strony życia, a to symbolizowała czarna barwa.

Jak znakowano miejsca, gdzie złożono szczątki zmarłych ludzi?

Co ważne, póki były jakieś ślady, że tu został założony grób, miejsca tego nie rozkopywano. Nowe groby zakładano w nowych miejscach. Znakami wskazującymi groby były kopczyki piasku, kamienie, drewniane słupki. Nie do przyjęcia jest teza pokutująca do dziś, że na wieki oznakowywano kopce-mogiły sypkim piaskiem. Przecież już po paru latach z takiego pagórka nie pozostałby widoczny ślad. Na tym miejscu wyrosną chwasty, krzewy, nawet drzewka. Drewniane stele, paliki, opłotowania, kamienne obudowy i pokrywy przez setki lat zniknęłyby z powierzchni ziemi. Dlatego też większość łużyckich grobów ciepłalnych badacze nazywają płaskimi. W trakcie wykopalisk w Domaniowicach pod Głogowem, przez osiem kolejnych sezonów badawczych, prowadzonych z Bogdanem Wołkowiczem, paliliśmy ognisko w jednym i tym samym miejscu. W dzień wyjazdu podgarnialiśmy spaleniznę i zasypywaliśmy ją piaskiem. Gdy wracaliśmy po roku, z trudem odnajdowaliśmy to miejsce, ponieważ ono zarosło. Dopiero położenie sporego kamienia ułatwiało lokalizację paleniska. Zatem żadne oznakowania grobów sprzed trzech tysięcy lat nie przetrwałyby do naszych czasów. Oczywiście oprócz potężnych, w porównaniu z grobami płaskimi, grobów kurhanowych, takich naszych piramid. Te jako niewielkie pagórki jeszcze dziś są rozpoznawalne.

Skąd praojcowie wiedzieli, że w tym miejscu jest grób sprzed wielu pokoleń? Przecież niezwykle rzadko spotyka się naruszenie grobów starszych przez pochówki młodsze? Słyszałem o jednym przypadku użycia naczynia zdobionego guzami, a więc z mniej więcej XIII-XI wieku przed naszą erą, przez późniejszych użytkowników. Wykorzystali je powtórnie ci, którzy zakładali grób w okresie rzymskim. Tak twierdzi profesor Grzegorz Domański, prowadzący prace

w Luboszytach i Jazowie niedaleko Lubska. Czy nigdy pan nie natrafił na ślady włamywania się do starszych grobów ludności cywilizacji łużyckiej? Przecież era tej cywilizacji trwała ponad tysiąc lat.

Nie znam takiego przypadku. Groby młodsze bywają usytuowane tuż obok starszych, zawsze nieco wyżej, ale nigdy nie naruszyły one spokoju wcześniej zmarłych. Przypuszczam, że jeśli podczas wygrzebywania jamy na grób w piasku natrafiono na naczynia sprzed lat, to nową jamę przesuwano w bok, aby w jeszcze wolnym miejscu założyć grób. To też jest odpowiedź na pytanie: dlaczego cmentarzyska są na piaszczystych pagórkach, a nie na ziemi gliniastej czy w skałach marglowych?

Czy wszystkie groby były jednakowe, tak samo zbudowane i podobnie wyposażone, czy też spotyka się pomiędzy nimi różnice w ilości i jakości wyposażenia? Mówię tu oczywiście o zespołach mniej więcej z tego samego czasu.

W generaliach obrządku pogrzebowe, o których rozmawiamy, a więc ciałopalne, przez setki lat był do siebie zbliżone. W uproszczeniu można wyjaśnić, że podstawowym elementem grobu była popielnica nakryta misą. Obok niej, w zależności od statusu i bogactwa zmarłego i jego rodziny, znajdowały się różnorodne dary grobowe. Najpowszechniej stanowiły je naczynia, które archeolodzy nazywają przystawkami. Nie oznacza to, iż brak było w grobach pewnych cech indywidualnych, czyli niewielkich, czytelnych i osobistych dodatków tak w konstrukcji całego zespołu, jak i w jego wyposażeniu. Na swój prywatny użytek nazywam te dodatkowe przedmioty cudami grobowymi.

Zatem na jakie cuda grobowe pan natrafił?

W jednym z grobów niedaleko Cybinki natrafiłem na ogromny prostokątny dół, obramowany linią ułamków ceramiki. Tylko

w jego narożnikach stały naczynia. Może pośrodku miała się znajdować popielnica kogoś ważnego, ale z jakichś powodów zmieniono decyzję. A może ta ważna osoba nie powróciła do domu z polowania czy wyprawy wojennej. Zafundowano jej więc grób zastępczy, symboliczny. W innym grobie została posadowiona niewielka czarka ze spalonymi kośćmi osoby dorosłej. Czarka była nakryta większym naczyniem odwróconym dnem do góry, na nim znajdowała się misa. Gdzie indziej gliniana miseczka tkwiła na czterech naczynkach wbitych pionowo w ziemię. Przypominało to wóz. A może miało go właśnie symbolizować? Niezwykle interesujący okazał się grób nr 33 w Bieganowie koło Cybinki, datowany na około 1000 rok starej ery. Bardziej przypominał on wgłębiany kurhan kamiennie-ziemny niż typowy grób płaski. Na dodatek było w nim kilka popielnic i kilkadziesiąt innych naczyń. Grób jeszcze bardziej zbliżony do kurhanu o owalnym, kamiennym płaszczu z lat 700-600 przed naszą erą odkryliśmy w podgłogowskich Żukowicach. Nie dość że był on bogato wyposażony w drogie i różnorodne dary, to jeszcze największy kamień centralny został ozdobiony znakiem solarnym X. Przypominam, że jest to znak podwójnej siekiery, symbol słońca.

To, co pan określa jako popielnicowe groby płaskie, nie było jedyną cechą cmentarzysk łżyckich. Archeolodzy natrafili tam także na groby mogiłowe. Ile prawdy jest w tym, że kurhany były przewodnią formą grobów jeszcze przed uformowaniem się cywilizacji łżyckiej?

Badacze napotykali na większe lub mniejsze skupiska mogił pochodzących już z początku epoki brązu, czyli mniej więcej z lat 1800-1700 przed naszą erą. Prawdopodobnie idea ich tworzenia dotarła nad Odrę znad Dunaju. W archeologii istnieje

określenie: kultura grobów mogiłowych, odnoszące się do drugiego okresu epoki brązu, czyli do XV-XIII stulecia starej ery. W jej skład miała wchodzić, obecna szczególnie na Śląsku, tzw. kultura przedłużycka. Do zeszłego roku uczeni sądzili, że ona nie dotarła na Ziemię Lubuską. Jednak była tu, o czym świadczą groby wojów znad Dunaju, przynależne do kultury mogiłowej, odkryte u zbiegu Odry i Warty w słynnej Górzycy. Co ciekawe, idea grobów kurhanowych nie zanikła wraz z uformowaniem się cywilizacji łużyckiej. Przez pierwsze cztery wieki kształtowania się tej cywilizacji powstawały nadal cmentarzyska kurhanowe.

Będę w błędzie, jeśli stwierdzę, że kurhany mniej interesują lubuskich archeologów?

Niemieccy odkrywcy, kiedy ta земля należała do ich państwa, prowadzili liczne badania między innymi: w podzielonogórskiej Koźli, w położonych koło Nowej Soli Bobrownikach, Otyniu, Broniszowie, Mirowinie Średnim, Tarnowie Jeziernym pod Sławą. To prawda, że po 1945 roku polskich badaczy mniej interesowały cmentarzyska kurhanowe. Ponieważ odnajdywano je przeważnie w lasach, to nie były one tak narażone na zniszczenie jak polne cmentarzyska płaskie. Mogły więc poczekać. Pomimo tego nasze łopaty dosięgły kilkunastu mogił w Olszynie i Marcinowie na ziemi żarskiej oraz w Zielonej Górze. Dwa ostatnie obiekty badał doktor Marian Kwapiński. Teraz Julia Orlicka-Jasnoch ze świdnickiego muzeum rozkopyje cmentarzyska mogiłowe w Mirowinie Dolnym i Różanówce na ziemi nowosolskiej.

Ile prawdy jest w tym, że oprócz archeologów kurhanami interesują się rabusie?

W trakcie badań w Różanówce do pochylonej nad grobem Julii Orlickiej-Jasnoch podszedł młody, dobrze zbudowany

mężczyzna z urzędzeniem do wykrywania metali. Nie wiedział, kim ona jest, dlatego najpierw stwierdził, że go ubiegła, a potem przyznał się do tego, iż nie jest tu nowicjuszem. Rok temu przewalałem te pagórki, wyciągnąłem sporo garów, pochwalił się, ale mało brązów. I zaproponował zielonogórskiej archeolożce: może zmieścimy się oboje? Jak się można było spodziewać – badaczka go skarciła i stwierdziła, że to, co on zrobił i co ma zamiar robić w tym miejscu, jest rabunkiem.

Rabuş się przestraszył?

Oznajmił, że znajdzie sobie inne miejsce. I zniknął.

Czy często pojawiają się amatorzy rabunku cmentarzysk?

Trzyosobowa ekipa tzw. poszukiwaczy, dysponując mapką archeologiczną, rozkopała centralną część cmentarzyska w Marcinowie koło Żagania. Z kurhanów wyjęli popielnicę i większość przedmiotów stanowiących ich wyposażenie. Dwa lata temu celnicy udaremnili przemyt popielnic kultury pomorskiej, bo do niej należało cmentarzysko w Marcinowie. Wśród skonfiskowanych przedmiotów były naczynia z wizerunkami twarzy ludzkich, zapewne nie pochodzące z Marcinowic, a z innego rozszabrowanego cmentarzyska. Najsmutniejsze jest to, że rabusie, nawet złapani na gorącym uczynku, do niedawna nie ponosili kary.

Ze względu na znikomą szkodliwość społeczną czynu?

Ostatnio zapadło kilka wyroków, tyle że w zawieszeniu.

Wróćmy na cmentarzyska cywilizacji łużyckiej.

Do niedawna badacze twierdzili, że istniały oddzielnie obiekty mogiłowe i oddzielnie cmentarzyska płaskie. Archeolożka Alina

Jaszewska wraz z ekipą badającą cmentarzysko w Jagłowicach koło Trzebiela odkryła zespół kurhanów rozlokowanych w dwu skupiskach pomiędzy grobami płaskimi. Najmniejszy kopiec miał średnicę ośmiu metrów, a największy – szesnastu. Ich wysokość wynosiła sześćdziesiąt i osiemdziesiąt centymetrów. Miała ona związek z głębokością rowów okalających kurhan. Rowy powstały w trakcie tworzenia nasypu ziemnego nad centralnym, ciepłym i popielnicowym miejscem pochówku. Za ciekawostkę uznano to, że w skupisku południowym rów miał przerwę, tworząc wejście, formę bramy. Interesujące jest i to, że niektóre pary nasypów miały wspólny płytki jar. To jedyne takie miejsce w Polsce.

Jaki z tego wypływa wniosek?

Na podstawie badania tego obiektu i innych: w dwu pierwszych okresach cywilizacji łużyckiej, tak w południowej jak i północnej części Środkowego Nadodrza raczej nie było oddzielnych cmentarzysk z kurhanami. Mogły lokowano pośród grobów płaskich. Stanowić one mogły pewien nadzwyczajny wyróżnik statusu społecznego pochowanej lub pochowanych pod nimi osób. Z niecierpliwością oczekuję na publikację wyników prac Aliny Jaszewskiej, szczególnie tych z Jagłowic. Na razie zapoznałem się z nimi dzięki życzliwości badaczy.

Panu się udało, a co mają zrobić ci zainteresowani pradziejami, którzy nie znają badaczy? Czekać aż ruszy ich sumienie i ogłoszą wyniki swoich dociekań?

Nie rozumiem tych archeologów, którzy efekty prowadzonych przez siebie prac traktują jako prywatne i zastrzeżone prawem autorskim osiągnięcia. Prawo, na które niektórzy się powołują dotyczy ich przemyśleń, interpretacji i dociekań

naukowych, nigdy zaś źródeł materialnych. Przecież niezwykle rzadko, jeśli w ogóle, prace te są prowadzone za ich prywatne pieniądze. A gdyby nawet za prywatne, to zgodnie z Ustawą o ochronie dóbr kultury, wszystko, co znajduje się w ziemi, jest własnością państwową, czyli naszą wspólną. Nikt nie ma prawa zabronić dostępu do wyników badań. Co innego zatajenie nazwiska badacza, niepowołanie się na jego rysunki i fotografie, a co innego oparcie się o materiały przez niego wydobyte. Te ostatnie nie są objęte prawem autorskim.

Z pana wypowiedzi wynika, że groby z płaszczem ziemnym, kamiennym i mieszane praojcowie zakładali przede wszystkim w trzecim i czwartym okresie epoki brązu. Czy później zanikają, czy nadal istnieją, a ich kontynuacją są kurhany takie jak w podgłogowskich Żukowicach, czyli wgłębione w podłoże lub takie jak te z Marcinowa? Te ostatnie doktor Adam Kołodziejski zaliczył do najwcześniejszych przejawów istnienia na Środkowym Nadodrzu ludności kultury pomorskiej.

W oparciu o dotąd odkryte materiały należy przyjąć, iż zwyczaj budowania kurhanów nie był kontynuowany już od końca młodszego okresu epoki brązu, czyli mniej więcej od około 800 roku przed naszą erą. Podkreślam: w oparciu o dotychczasowe źródła, ponieważ mam ciągle przed oczami groby naddunajskich wojowników z Górzycy, o istnieniu których do niedawna nikt nie miał pojęcia. Odpowiadając na pytanie, wyjaśniam, że jedyny jak dotąd zwarty zespół mogił przynależnych cywilizacji łużyckiej, datowany na początki epoki żelaza, a więc rok 700-600 starej ery, został odkryty w Wartin koło Angermünde po zachodniej stronie Odry. Nie potrafię jednak sprawy sensownie zinterpretować. Z nielicznych i ogólnikowych informacji wynika, że na cmentarzysku miały istnieć osiemdziesiąt dwie różne

wielkości mogiły i pomiędzy nimi liczne groby płaskie. Jak dotąd wszystko jest w porządku. Nawet materiały ceramiczne z owych kurhanów są rzeczywiście przynależne grupie górzyskiej cywilizacji łużyckiej. Tylko, że w płaszczach łużyckich pochówków wystąpiły groby zdecydowanie wcześniejsze, bo z epoki brązu. Powinno być odwrotnie. Dlatego uważam, iż w Wartin nie było kurhanów wczesnogórzyskich, a zwyczajne łużyckie groby płaskie wkopywano w istniejące tam, naturalne, polodowcowe pagórki.

Podważa pan dogmaty archeologiczne? Czy to tylko w odniesieniu do Wartin, czy też ma pan w zanadrzu więcej przykładów, z którymi się nie zgadza?

Archeologia to nie religia, gdzie należy wierzyć w raz ustalone odpowiedzi. Amerykanie wymyślili tzw. burzę mózgów. Polega ona na stworzeniu grupy ludzi, nawet przeciwnych zawodów, zainteresowań, wiedzy i przedstawieniu im do rozwiązania jakiegoś problemu. Każdy członek grupy ma prawo przekazać swoje zdanie. Niekiedy prowadzi to do zaskakująco poprawnych i nowatorskich sformułowań. Dlaczego więc nie przenieść tego doświadczenia na grunt prahistorii? To przyczyni się do podjęcia dyskusji i rozpatrzenia na nowo dawnych interpretacji. Chciałbym, aby na początek badacze jeszcze raz przedyskutowali kwestię kultury pomorskiej. Ja w tej sprawie mam nowe zdanie.

Zdaje się, że ewidentnym przykładem konieczności kolejnych, nowych spojrzeń na stare źródła i ich interpretację jest sprawa grodziska w Starosiedlu koło Gubina.

W latach 1920-1923 doskonały przecież niemiecki archeolog Carl Schuchhardt miał rozkopać całe miejsce uznawane przez

niego za grodzisko białowickie z wczesnej epoki żelaza. Ten badacz opublikował plan grodu wraz z jego przypuszczalną, wewnętrzną zabudową. Przez 80 lat obiekt ten stanowił koronny dowód na istnienie osady obronnej w Starosiedlu. Aż do czasu, gdy zainteresowali się Starosiedlem profesorowie: Zbigniew Kobyliński i Louis Daniel Nebelsick. Oni to udowodnili, iż Carl Schuchhardt, mówiąc delikatnie, cierpiał na nadmiar wyobraźni i jego plan ma się nijak do rzeczywistości, która to okazała się zdecydowanie bardziej prozaiczna, co nie znaczy, że niezaskakująca. Badane dawniej i teraz miejsce nigdy nie było grodziskiem łużyckim, lecz – jak już wspominałem – spichlerzem z wczesnej epoki żelaza i na dodatek nie miało żadnego związku z Białowiczaniem, lecz należało do zespołu górzycznego. Mało tego, górzyskie urządzenie gospodarcze chronione zapewne były wałem drewniano-ziemnym i łączyło się z osadą mostem nad rzeczką Lubicą. Na dodatek pierwotnie na owym pagórku było zlokalizowane późnobrażowe cmentarzysko łużyckie.

A co z kulturą pomorską ?

Czytelników głębiej zainteresowanych tą sprawą odsyłam do mojej niedawno wydanej książki „Ziemia Lubuska w dobie cywilizacji łużyckiej”. Tym, którzy nie znajdują czasu, aby zajrzeć do książki, wyjaśniam, że kultura pomorska nazwę swą wzięła, podobnie jak i cywilizacja łużycka, od miejsc pierwszych, charakterystycznych dlań znalezisk. Z Pomorza przez Wielkopolskę miała przeniknąć, co jest zaskakujące, na Łużyce Lubuskie, a stąd na Śląsk Lubuski. Najpierw badacze uważali, iż jedynie jako sama idea, na przykład chowania zmarłych pod kamiennymi kurhanami i ozdabiania popielnic wizerunkami twarzy ludzkich. Później, jak udowadniał to w swej pracy doktorskiej Adam Kołodziejski, traktowali ją jako migrację ludności.

Podstawą rozumowania doktora Kołodziejskiego było odkrycie cmentarzyska w Marcinowie koło Żagania z typowymi dla Pomorza materiałami ceramicznymi, uzupełnionymi jednak o miejscowe, białowickie elementy.

Jak nazwa wskazuje: kultura pomorska obejmowała tereny nadbałtyckie.

W niej występowało chowanie zmarłych pod kamiennymi kurhanami. A na takie właśnie kurhany natrafiliśmy z Adamem Kołodziejskim nieopodal podżagańskiego Marcinowa. I to na dwu stanowiskach. Tyle że pomiędzy nimi brakowało bezpośrednich, czasowych powiązań. Ale kurhanów w lasach nadbrzańskich zachowało się wiele. Może któryś z nich okaże się późniejszy niż pochodzący z końca III i początku IV okresu epoki brązu? Jeśli tak, to będzie można powiedzieć, że kultura pomorska jest pomorską jedynie ze swej nazwy, na Łużycach Lubuskich istniała od dawna, od samych początków. Tym bardziej że krajobraz Wyniesień Żarskich jest niemal taki sam jak krajobraz Pomorza Gdańskiego.



Kolsko, pow. nowosolski – formy odlewnicze siekier
rek brązowych datowane na najmłodszy okres epoki
brązu; Bojadła, pow. zielonogórski – gliniana dysza
miecha kowalskiego z tego samego czasu



Siedlisko, pow. nowosolski – zapin-
ka brązowa z około 1100 r. p.n.e.

Wicina pod Jasieniem – zespół
ciężarków tkackich



Czym zajmowali się na co dzień

Domyślałam się, że najczęstszym zajęciem praprzodków było zdobywanie żywności. Wiąże się to z prymitywną uprawą roli, łowiectwem, rybactwem, pewnie i bartnictwem.

Gdyby nie nieustanny postęp, od rewolucji neolitycznej aż do naszego atomu, nie byłoby czasu i chęci na religię, sztukę, opowieści o dawnych, dobrych czasach i inne, często mało pożyteczne rzeczy. Wszelakie wynalazki, które ułatwiały codzienne życie, pozwalały bez bojaźni spoglądać w najbliższą przyszłość, stanowiły kamienie milowe na drodze ku cywilizacji. Nie wszędzie i w niejednakowym stopniu docierały one do ówczesnych plemion i być może nie zawsze chciano je adoptować i stosować. Weźmy chociażby pierwszy z brzegu przykład. W osadach łużyckich po południowej, dolnośląsko-łużyckiej stronie Odry archeolodzy napotykają zdecydowanie więcej kości zwierząt udomowionych niż po stronie północnej, czyli na Ziemi Lubuskiej.

Wniosek wydaje się taki: południowe krainy naszej ziemi były nowocześniejsze niż krainy północne.

Osada i spichlerz w Starosiedlu oraz przynależne tej grupie ludności cmentarzysko w Sękowicach znajdujące się przecież daleko poza macierzystymi obszarami górzyckimi, a za to w głębi terytorium białowickiego zdają się świadczyć, że owa enklawa lubuska na Łużycach nie była wynikiem pokojowej ekspansji (broń w grobach oraz wały wokół spichlerza), lecz swoistą kolonią północną na ziemiach południowych. Kolonią, ale i miejscem bezpośrednich kontaktów handlowych.

Dlaczego tak było?

To sprawa przyrody. Kiepskie gleby i liczne jeziora oraz wzgórza na Pojezierzu Lubuskim utrudniały lub uniemożliwiały racjonalną gospodarkę rolną, a sprzyjały rybołówstwu, zbieractwu i myślistwu. Z tego nie można było się utrzymać i to, sądząc po wynikach naszych wykopalisk, na przyzwoitym poziomie. Przecież istniała i doskonale funkcjonowała wymiana towarowa. Ci z południa potrzebowali mięsa, skór, miodu, runa leśnego, który to towar mieli w nadmiarze ci z północy. Zaczął tworzyć się normalny rynek.

I tak rodziła się specjalizacja, ba, wręcz prakapitalizm!

Słuszny wniosek. Przy okazji uwaga, która odnosi się do wszystkich, archeologów i niearcheologów. Na tamte czasy, na tamtych ludzi my, urodzeni na przełomie drugiego i trzeciego tysiąclecia, patrzymy dzisiejszymi oczami, oceniamy ich na podstawie naszych doświadczeń. To jest krzywdzące. Niech pan mi uwierzy, że praojcowie żyjący trzy tysiące lat temu nie byli prymitywni. Oni, jak na czasy, w jakich żyli, stanowili społeczeństwo cywilizowane, sprawnie działające i nieźle zorganizowane.

Wróćmy do żywności. Czy do jej wytworzenia wykorzystywano te same zboża, które dziś rosną na polach lubuskich rolników?

Na podstawie próbek ziemi z świątyni w Lossow, a przypomnę, że składano tam również dary roślinne, została potwierdzona uprawa pszenicy, owsa, jęczmienia, prosa i maku. Oprócz tego badacze rozpoznali dwanaście gatunków roślin dzikich. Gdzie indziej natrafili na soczewicę, bób, len.

Wymienił pan len, uprawiano go jako roślinę włóknistą czy jako oleistą?

Z łądyg uzyskiwano włókno, z nasion wyciskano olej. Owszem, podstawowym tłuszczem był łój zwierzęcy i smalec, ale i duże zastosowanie w gospodarstwie domowym miał olej. Ludzie przekonali się, że ze względów zdrowotnych spożywanie tłuszczów roślinnych jest korzystniejsze niż jedzenie tylko potraw okraszonych tłuszczami zwierzęcymi. Choć o różnych porach roku mogło być z tym różnie, na co wpływ miał klimat. Moi dziadkowie opowiadali, że na Kresach Wschodnich przedwojennej Polski z upodobaniem jedzono słoninę soloną, beczkowaną, grubą na kilka palców. Ale tam wówczas zimy były śnieżne od października do maja i kilkudziesięciostopniowe mrozy. Tak mogło być na interesującej nas ziemi przed tysiącami lat.

Czy wyłącznie zboże, mięso i zebrane w lesie jagody, grzyby, zioła stanowiły podstawę pożywienia? A może praojcowie sadzili i zbierali warzywa?

Na naszej ziemi chyba nie, ale nie znam efektów badań wszystkich polskich archeologów. Coś podobnego do warzywników mogło istnieć, na przykład, w pobliżu Biskupina czy Wiciny, niestety, brak potwierdzenia. Na ogrody w całym tego słowa znaczeniu natrafili archeolodzy na wyspie Neuenhagen położonej w kolanie Odry. Część obszaru przynależnego do osady, datowanej na wczesną epokę żelaza, czyli lata 600-400 przed naszą erą, poprzez naniesienie nań urodzajnej gleby została przekształcona w duży ogród. Oprócz znawców warzyw, być może i sadowników, w tej osadzie mieszkali również wytwórcy naczyń, o czym świadczą ślady pieca garncarskiego, a zapewne i inni rzemieślnicy.

Panie doktorze, co o warzywach mówią cmentarzyska?

Na razie nic. I będą milczały tak długo, jak długo skomplikowane badania fizykochemiczne będą nie na kieszeń archeologów.

A że mogą one dostarczyć nowych wyjaśnień, przekonali się uczeni niemieccy. Osadę łużycką w Neuenhagen przebadali nie tylko archeolodzy, lecz i geolodzy, gleboznawcy i nawet zoolodzy. Makroanaliza botaniczna przyniosła w efekcie obraz profilu pyłków roślin, pozwalający na niezwykle szczegółowe rozpatrzenie problemów ich wegetacji. Dało to szeroką panoramę uwarunkowań i rozwoju osadnictwa i jego związków z przyrodą.

Proszę o podanie kilku ciekawostek z tego wykopaliska.

Uczeni niemieccy przeprowadzili analizę fizykochemiczną naczynka. Stwierdzili w nim ślady po kwasie mlekowym. Być może w naczynku był ser albo kapusta lub ogórki. Kwas mlekowy powstaje nie tylko podczas fermentacji mlekowej, lecz także podczas specjalnego fermentowania warzyw. To wskazuje, że ówcześni mieszkańcy osady w Neuenhagen potrafili konserwować żywność przy pomocy naturalnych kwasów, ziół, kory drzew i głównie soli. Umieli także wędzić i suszyć pożywienie, gromadząc jego zapasy.

Ze studiów przyrodniczych zapamiętałem, że w dawnych czasach zboże nawet wyprażano.

Zboże najczęściej suszono. Potem składowano je w dużych garach lub w specjalnie przygotowanych jamach w ziemi. Obok wcześniej sygnalizowanych spichlerzy znajdowały się inne obiekty, w których praojcowie zapewne suszyli ziarno. Znajdował się w nich węgiel drzewny, a kamienie były ułożone w regularne rzędy. Takich jam-urządzeń było wiele. Ze względu na rozmiary kompleksu autorzy odkryw skłaniają się ku tezie, że mógł on służyć do suszenia i przechowywania zboża nie tylko z najbliższych pól, lecz także nadwyżek pochodzących z okolicy.

To by świadczyło o zaradności ówczesnych ludzi. O tym, że nie prowadzili prymitywnej gospodarki. I potwierdzało tezę przypominaną tu przez pana: praojcowie nie byli ludźmi prymitywnymi.

Po pierwsze, taka ilość zgromadzonego w jednym miejscu zboża nie mogła być spożytkowana przez mieszkańców najbliższych osad. Po drugie, to pytanie bez odpowiedzi: po co je gromadzili w jednym miejscu, z dala od siedzib ludzi?

I wie pan, dlaczego składowali je w jednym miejscu?

To musiały być magazyny założone przez osoby handlujące zbożem. Taki wniosek zmienia współczesny pogląd na sposób produkcji i dystrybucji żywności przed trzema tysiącami lat.

Jest to kolejne potwierdzenie, że gospodarka rynkowa, wręcz kapitalistyczna, istniała w czasach prahistorycznych.

Rozważmy przyjmowaną na wiarę tezę o ekstensywnym sposobie gospodarowania na roli. Użyźnianie pól miało polegać na wypalaniu lasów i wrzucaniu w popiół ziaren zbóż. Uzyskiwane plony miały być niskie, bo nawożona popiołem gleba kiepsko rodziła. Po paru sezonach ówcześni rolnicy opuszczali te miejsca, przenosząc uprawy na nowo wypalone pola.

A tak nie było?

W cywilizacji łużyckiej rolnicy uprawiali ziemię metodą wypaleniskową, ale i stosowali nawożenie. Do takiego wniosku doszedłem, stwierdzając istnienie osad w tych samych miejscach przez dziesiątki lat. Skoro domy stały w tym samym miejscu, to i pola musiały być w pobliżu, czyli tam, gdzie najpierw wypalono las, a potem co roku siano zboże. Ziemia uprawna ma to do siebie, że jałowiej, trzeba więc ją nawozić, aby uzyskać satysfakcjonujący plon. Najprostszym nawozem jest popiół

roślinny, nadający glebie własności zasadowe, a więc korzystne dla większości roślin. Taki popiół pewnie uzyskiwano w wyniku celowego spalania gałęzi, bo nie wierzę, aby wystarczało popiołu z palenisk domowych. Sądzę, że w ogrodach przydomowych stosowano nawożenie kompostem lub obornikiem. Praprzodkowie z przyrodą byli za pan brat, toteż znali właściwości zbóż, ziół, owoców i warzyw, wiedzieli, jak je przetwarzać, udoskonalać, magazynować, konserwować.

W jaki sposób konserwowali żywność?

O silosach zbożowych mówiłem. Na przykład jaja kurze przechowywali w popiele. Być może także używali do tego wapna, wszak znane są piece do jego wypalania. Z mleka robili ser i masło, solili je, wtedy jeden i drugi produkt mógł leżeć latami. Zimą przodkowie mrozili mięso, latem je marynowali, a przez cały rok solili. Do konserwowania używali tych samych ziół, z których robili wywary pomocne w chorobie. Niezbędny do tego ocet uzyskiwali w wyniku nieudanej, celowo lub przypadkowo, fermentacji alkoholowej. Zakwaszali warzywa, co powodowało, że w takim środowisku rozwijały się tylko bakterie bezpieczne dla ludzi.

Skąd pochodziła sól używana przez Łużyczan?

W literaturze spotkałem informację, że sól sprowadzano z okolic dzisiejszego Salzburga w Austrii. Na Środkowe Nadodrze sól mogła też docierać z dzisiejszych Kujaw. A może pochodziła z jeszcze bliższych terenów. Na pograniczu lubusko-pomorskim są jej naturalne wychodnie, czyli słone źródelka. Znajdującą się w tych miejscach solankę wylewano na skórzane podłogi i wystawiano je do słońca. Woda wyparowywała, a pozostałe na skórze kryształki soli zgarniano do naczyń glinianych. Do spożycia nadawała się także sól znajdującą się w roślinach.

Skóry były wtedy tym, czym dziś jest skaj, brezent, folia?

Skóry prawdopodobnie były surowcem numer jeden. Robiono z nich nie tylko okrycia ciała, ale i wykorzystywano w domach jako materace, poduszki, kołdry, zasłony itd. Preparowano je tak umiejętnie, że były doskonałym materiałem na tarcze używane przez wojów. Po nadodrzańskie skóry przyjeżdżali kupcy z południowej Europy. Być może to one stawały się również łupem wojennym. Nie wykluczam, że w czasie wielkich głodów, na przykład na przednówku, po ciężkiej i długiej zimie przodkowie w jakiś sobie znany sposób moczyli skóry i je jedli.

Czym praojcowie żywili się w okresach im sprzyjającym? Co było podstawowym pożywieniem: mięso, zboże, owoce, warzywa?

Wszystko, ponieważ człowiek jest stworzeniem wszystkożernym. Przypuszczam, że jadło znajdujące się na stołach ówczesnych mieszkańców naszej ziemi nie różniło się specjalnie od tego, które spożywali mieszkańcy wsi nie tylko w średniowieczu, ale i w czasach nowożytnych, czyli dwieście, trzysta lat temu.

Jeśli to nie jest spekulacja, to proszę o kilka dowodów. Dowodów materialnych, panie doktorze.

Badania na wyspie w Neuenhagen czy w Wüste Kunersdorf, w powiecie marchijsko-odrzańskim, w miejscu, gdzie była osada albo w wielokrotnie przywoływanym Lossow, potwierdziły znajdującą się tam sporą ilość kości zwierzęcych. Były kości zwierząt dużych, były też kości kur, gęsi, kaczek i ości suma, jesiotra, szczupaka, okonia, leszcza, płoci. Na kości szczupaka badacze natrafili w Polanowicach koło Gubina, w miejscu, gdzie stał gród. Praprzodkowie jedli mięso żółwi błotnych i szczeżui. Muszle tych zwierząt archeolodzy napotkali w Białowicach niedaleko Lubuska. Jeśli dodamy to tego liczne znaleziska grochu

i bobu, rzepaku, wyki oraz żołądzi i orzechów laskowych, to zestaw produktów żywnościowych okaże się bogaty.

Mówiąc współczesnym językiem: produktów ekologicznych.

W Zasiekach na ziemi żarskiej badacze odkopali kamienie żarnowe, w Niederkain koło Budziszyna i w Starej Koperni pod Żaganiem znaleźli chleb pszenny. Możliwe jest, że już wtedy były przydrożne jadłodajnie i gospody. Tym bardziej że z miodu, owoców czy jęczmienia robiono napoje alkoholowe.

Praojcowie jedli mięso gotowane, duszone, smażone, pieczone, a może wyłącznie surowe?

Myślę, że w każdej postaci. Najczęściej chyba pieczone, bo forma przygotowania była najprostsza.

Czy tak jak teraz – do mięsa podawano chleb wypiekany z mąki?

Praojcowie znali dwa sposoby rozdrabniania ziarna. Jeden polegał na rozbiciu go w drewnianym naczyniu na krupy, drugi był bliższy mieleniu. Bliższy, ale nie oznaczał rozdrabniania ziarna na mąkę, ponieważ jeszcze nie znano zasady działania kamienia młyńskiego. Początek mielenia zboża na mąkę z przeznaczeniem na chleb przypada na koniec cywilizacji łużyckiej. Łużyckie gospodynie kładły ziarna na jednym kamieniu, drugim kamieniem rozgniatały je na płatki. Zdaniem jednych badaczy tak rozdrobnione ziarna mieszały z wodą, a potem z miazgi formowały placuszki w kształcie podpłomyków. Inni prahistorycy uważają, że pod wpływem naturalnych drożdży miazga fermentowała, a więc rosła przez kilka godzin, po czym uformowane chleby gospodynie kładły na podkładki z dużych liści, może ze słomy, i wsuwały je do rozgrzanego pieca. A może tę miazgę wkładały do mocno rozgrzanego garnka...

W jakim celu wkładały ją do garnka?

Niech pan włoży ciasto na chleb do mocno rozgrzanego garnka na godzinę, dwie. Dla pewności, że chleb się upiecze, można garnek postawić na ognisku. Potem trzeba garnek rozbić i chleb gotowy.

Próbował pan albo pańscy koledzy archeologowie w ten sposób upiec chleb?

To ciągle jest teza do udowodnienia. Najlepiej poprzez eksperyment. Chciałbym, aby powstał skansen archeologiczny, żyjący, a nie muzeum starych chałup. Tam badacze mogliby przeprowadzić doświadczenia.

Na czym pramatki podawały potrawy? Czy miały talerze, miski, łyżki, chochle, mieszadła?

Pramatki podawały strawę w garnkach glinianych. Nie uważam, aby wszyscy domownicy jedli rękami z jednej, wielkiej misy, chociaż wielu badaczy tak sądzi. Wydaje mi się, że każdy domownik miał przed sobą gliniany lub drewniany talerz czy miskę i wystruganą z drewna łyżkę. Do takiego wniosku doszedłem w oparciu o masowe wręcz znaleziska glinianych mis i miseczek. Noża używano do rozdzielania i pokrojenia mięsa, przy jedzeniu był zbędny. Na pewno domownicy nie posługiwali się widelcem, gdyż jest to przedmiot wynaleziony w czasach nam bliższych. Być może na jakiś drewniany szpikulec czy rozdwójony patyk nadziewali kawałki mięsa.

Niemal od początku naszej rozmowy przewija się motyw naczynia glinianego: misy, garnka, kubka, czerpaka i wszystkiego, co da się zaliczyć do drobiazgu ceramicznego. Przecież ludzie należący do cywilizacji łużyckiej nie znali koła garncarskiego. Prawdopodobnie przybyło ono na Śląsk Lubuski wraz z Celtami

dopiero w IV wieku przed naszą erą. Potem zostało zapomniane, aby odrodzić się na początku naszej ery. Łużycanie nie toczyli, a nawet nie obtaczali naczyń. Jak więc wykonywali te niezwykle fantastyczne przedmioty, o wręcz idealnych proporcjach, zdobione przeróżnymi wypukłościami, liniami i rytymi?

Przedmioty zrobione przez garncarzy były arcydziełami sztuki ceramicznej. W Grzmiącej koło Cybinki natrafiłem na naczynia z początków cywilizacji łużyckiej, czyli z lat 1200-800 przed naszą erą. Zostały one ozdobione doskonale wypracowanymi i idealnie powtarzającymi się guzami, wypchanymi od wewnątrz garnka. Aż trudno uwierzyć, że wykonał je człowiek bez pomocy koła garncarskiego. Wyglądają tak, jakby garncarz miał formy lub matryce. W robieniu dużych naczyń i kubków cylindrycznych czy tulipanowatych pucharów specjalizowali się garncarze grupy uradzkiej. Proszę przyjrzeć się, jak dobrane jest ich zdobnictwo do proporcji. A te młodsze, z wczesnej epoki żelaza, czyli górzyskie, czy nie są piękne? Gdy sklejałem popielnicę odkrytą w Przyborowie pod Nową Solą, na jej dnie odkryłem linie papilarne, zachowane na nieco uniesionych brzegach placka gliny. Na przekrojach skorup widoczne były lekko skośne łączenia. Po doklejeniu innych części okazało się, że są to ślady po wstążkach-wałeczkach gliny, a raczej specjalnie przygotowanej masy garncarskiej.

Proszę to wyjaśnić przy pomocy innych słów, bo nie rozumiem.

Najprościej odwołać się do dzieci, które z wałeczków plasteliny lepią różne przedmioty. Ówczesny garncarz robił dno naczynia z jednego placka gliny. Jego boki zaginał ku górze i dopiero potem, spiralnie lub dookoła, dolepiał wałeczki gliny, jak to robią dzieci z plasteliną, od razu nadając mu kształt naczynia, jaki powstał w jego głowie. Po wstępnym obsuszeniu garnka, ozdobił go i potem wkładał do pieca lub do ogniska, aby, wypalając glinę, utwardzić naczynie.

Takie naczynia garncarz robił ze zwyczajnej gliny, jaką miał w pobliżu swego warsztatu?

W zależności od tego, co zamierzał zrobić, do czego gotowy wyrób miał być przeznaczony, garncarz używał specjalnie spreparowanej masy. Najpierw glina musiała być sezonowana, potem dodawał do niej domieszki minerałów i roślin. One sprawiały, że naczynia stawały się odporne na temperaturę, nie przeciekały, ułatwiały zdobienie.

Powiedział pan, że do wypalania garnków służyły specjalne piece. Czy różniły się od pieców, na których pramatki gotowały strawę? A czy pan albo ja potrafimy ulepić naczynie z gliny bez użycia koła garncarskiego?

Gdyby jakimś cudem udało się każdemu z nas ulepić garnek, powinniśmy wybrać się na najbliższe wzgórze. Na zboczu wykopalibyśmy jamę i kanał doprowadzający powietrze do pieca. W jamie położylibyśmy kratownicę, pod nią byłoby palenisko, nad nią miejsce na naczynia przeznaczone do wypalenia. Pomiędzy naczynia wcisnęlibyśmy chrust, patyki, suche liście, szyszki. Nad nimi musielibyśmy zrobić namiot z gałęzi i gliny, pozostawiając w środku miejsce na komin. Teraz ostatnia czynność: trzeba rozpalić ogień pod kratownicą i czekać, co się zdarzy. Im piec będzie szczelniejszy, tym ciemniejszą barwę będą miały naczynia. Jeśli ogień będzie za mocny, część naczyń popęka, część się rozkruszy, a ściany innych będą zbyt szorstkie.

Czyli nie święci garnki lepią.

Być może niektóre, zwłaszcza te niewielkie, niezdobione kubeczki i dzbanuszki zrobione z jednego kawałka gliny. Nie wierzę, aby takie cuda techniki garncarskiej, na jakie natrafiłem w Bieganowie i Grzmiącej koło Cybinki każdy potrafił zrobić.

Przychylam się do poglądu części badaczy, że były warsztaty produkujące garnki na skalę masową. Może nie wszystkie naczynia, a jedynie te bardziej skomplikowane technicznie. W warsztatach na Śląsku powstały miseczki i czerpaki z tłustej glinki, zwane grafitowanymi, i podobne formy, malowane farbami ziemnymi. Takie wyroby archeolodzy znaleźli w Żukowicach, Buczu i Kotli koło Głogowa, w Wiankowie w pobliżu Nowej Soli, w Białkowie niedaleko Lub ska, a także w Deszcznie i Karninie pod Gorzowem. Co ciekawe, na tak piękne naczynia jak te wczesnouradzkie z Bieganowa badacze natrafili tylko na Ziemi Lubuskiej. Tam powstawały cacka sztuki ceramicznej.

Może to świadczy nie tylko o istnieniu różnych warsztatów garncarskich, lecz i o dalekosiężnym handlu naczyniami glinianymi.

Skoro byli wędrowni wytwórcy przedmiotów z brązu, to i pewnie od osady do osady chodzili wędrowni garncarze. W rozprzestrzenianiu się grafitowanych i malowanych naczynek swój udział mogli mieć kupcy. Może w nich przywozili specjalne mikstury lecznicze? A może nawet i narkotyki?

O czym świadczy to bogactwo ceramiki nadodrzańskiej i nadwarciańskiej?

Z jednej strony o talencie rzemieślników, z drugiej przekonuje, że ludność cywilizacji łużyckiej prowadziła osiadły tryb życia. Owszem, plemiona poszukiwały siedlisk, gdzie ziemia była bardziej urodzajna, lasy bogatsze w zwierzyinę, jeziora i rzeki zasobniejsze w ryby, ale to już nie byli nomadzi.

Do niedawna w Mirostowicach Dolnych w pobliżu Żar była fabryka naczyń ceramicznych. Na polskich Łużycach, mam na myśli Gozdnicę i Lubsko, wypalano cegły i dachówki. Czy to

oznacza, że glina na garnki również pochodziła z miejscowych kopalń?

Czego jak czego, ale wychodni, czyli miejsc pozyskiwania naturalnego surowca na naczynia gliniane na Środkowym Nadodrzu nigdy nie brakowało. Wymienił pan Gozdnicę i Lubsko jako miejsca znane z produkcji ceramiki budowlanej. Takich cegielni do niedawna funkcjonowało bardzo dużo, ponieważ na miejscu znajdował się surowiec. Dziś ręczną produkcję cegieł, dachówek i naczyń ceramicznych używanych w gospodarstwach domowych wyparły technologie taśmowe. Przed laty z miejscowej gliny powstawały te wszystkie garnki, którymi się zachwycamy. Być może ceramikę uważano za bogactwo tej ziemi. Jeśli naczynia, to i pewnie glinę do ich produkcji. Nie ma dowodów na to, że Łużycanie wymieniali glinę na inne wyroby, których sami nie wytwarzali, ale nie zdziwiłbym się, gdyby tak właśnie było. Przy okazji wyrażam zdziwienie, że współcześni rzemieślnicy nie wykorzystują miejscowych kopalin w takim zakresie, jak one na to zasługują. Dziwię się producentom pamiątek, że nie robią garnków charakterystycznych dla cywilizacji łużyckiej. Kto pojedzie na wycieczkę do Grecji, wraca do domu z amforami, wazami, miseczkami, pucharkami zdobionymi antycznymi wzorami. A u nas królują... ciupagi.

Obok gliny ceramicznej cennym surowcem był brąz, czyli stop miedzi i innych metali, najczęściej cyny, w proporcji 10:1. Nad środkową Odrą i dolną Wartą nie było kopalń miedzi i cyny. Od niedawna między Głogowem a Lubinem jest Zagłębie Miedziowe. Jaką drogą trzy tysiące lat temu brąz dostawał się na Środkowe Nadodrze? To było pierwsze pytanie. I drugie: kiedy zaczęła się epoka brązu na naszej ziemi?

Poruszył pan kilka zagadnień, każde na długie opowiadanie.

Aby nic nie uronić z prezentacji tak doniosłych czasów, które prahistorycy nazywają epoką brązu, proszę zacząć swoją opowieść od brązu.

Uczeni słusznie uważają, że okres brązu był pierwszym, w którym uwidoczniła się postępująca integracja całego kontynentu europejskiego. Miało to miejsce pomiędzy XXIII a VII stuleciem starej ery. Stosunkowo szybko, bo już około 2000 roku przed naszą erą brąz stał się jednym z głównych towarów handlowych. Miedź, podstawowy składnik brązu, była w wielu miejscach w Europie niemal na powierzchni ziemi lub bardzo płytko. Trudniej było o składnik utwardzający i obniżający temperaturę topnienia stopu, a zarazem wydłużający czas jego stygnięcia, czyli o cynę, antymon albo arsen. Gdy się udało i ten problem rozwiązać, ludzkość zrobiła ogromny krok do przodu. Uzyskany bowiem płynny brąz można było wlewać do jednorazowych form glinianych, na tzw. wosk tracony, lub do kamiennych, najczęściej dwudzielnych, wielokrotnego użytku, a nawet zarysowanych w piasku, i uzyskiwać w ten sposób niezbędne przedmioty.

Jak ta sprawa przedstawiała się na naszej ziemi?

U nas spotyka się więcej wyrobów z brązu datowanych na początek tej epoki niż na czasy cywilizacji łużyckiej. I, co jeszcze ciekawsze, prawie wszystkie wyroby, a szczególnie te z drugiego okresu epoki brązu, czyli z lat 1500-1300 przed naszą erą, pochodzą prawdopodobnie ze skarbów. Na Pojezierzu Myśliborskim archeolodzy znaleźli tak dużo przedmiotów brązowych, że okrzyknęli ten region zagłębiem skarbów.

Wielokrotnie bywałem w Myśliborzu, podziwiałem zabytki, ale nigdy nie słyszałem, aby miasto i okolice były zagłębiem skarbów.

Po koniec XIX i na początku XX wieku nowej ery na terenach nadwarciańskich i nadodrzańskich sprawnie działali nie tylko kolekcjonerzy zabytków, ale i także osoby nimi handlujące. Jeśli był duży popyt na starocie, handlarze dzielili większe znaleziska na mniejsze lub z kilku czy kilkunastu pojedynczo znalezionych przedmiotów tworzyli dodatkowe i nowe skarby. To mogła być jedna przyczyna dziwnego rozmnożenia się zabytków na Pojezierzu Myśliborskim. Druga, to wyłącznie moja hipoteza, wiąże się ze znajdowaniem, podobnie jak w Meklemburgii, grobów wojów znad Dunaju. Były one niezwykle bogato wyposażone w różne przedmioty brązowe. Ponieważ interesowano się samymi wyrobami z tego stopu, a pomijano ich odkrycie, namnożyło się tych skarbów co niemiara.

Proszę o podanie choćby jednego przykładu.

W 1894 roku we wsi Mętno Małe koło Chojny na Pomorzu Zachodnim pod dużym kamieniem miano odkryć skarb brązowy. Natychmiast przyjechał tam Fritz Buchholz z ówczesnego Landsbergu (obecnie Gorzów) z dwoma robotnikami, niestety, niczego nie znalazł. Ów skarb składał się z zapinki brązowej, datowanej na najmłodszy okres epoki brązu i z otwartych bransolet, których chronologię badacze ustalili na pierwszy okres tej epoki. Oba przedmioty dzieli prawie 1000 lat. Słusznie prahistorycy zakwestionowali znalezisko jako jeden skarb. Inny przykład. W 1857 roku na podmokłej części pola w Chłopowie niedaleko Choszczna natrafiono na bardzo duży zbiór przedmiotów brązowych. Były to sierpy i różne ozdoby rąk, nóg, szyi i stroju. Skarb został odkupiony od znalazcy w stanie niekompletnym. Jego pewne części sprzedano wcześniej do okolicznych muzeów. I tak z jednego powstało kilka oddzielnych znalezisk.

Takie postępowanie handlarzy i badaczy było nieuczciwe wobec prawdy prahistorycznej... Czy te wyroby powstawały w miejscowych warsztatach?

Trzeba przyjąć, że najpierw gotowe wyroby z brązu, a później i sam stop i surowce nie były miejscowego pochodzenia. Tu je przywożono i wymieniano za miejscowe towary. To pierwsze źródło. Drugim źródłem zdobywania stopu na wyroby był złom brązowy.

Co łużyccy praprzodkowie robili z brązu?

Brąz był zbyt cennym surowcem, aby produkować z niego przedmioty często używane w domu czy w gospodarstwie, choć wytwarzano z niego noże, sierpy, młotki, dłutka. Najczęściej jednak robiono z niego ozdoby i broń, a więc miecze, topory, ostrza włóczni, groty strzał do łuku. W Bojadłach niedaleko Sulechowa archeolodzy niegdyś odkryli gliniane zakończenie miecha hutniczego lub kowalskiego. W Kolsku w powiecie nowosolskim natrafili na dwudzielną, kamienną formę do odlewania siekierki z tulejką. Na Dolnych Łużycach wykopali grób odlwnika-brązownika, któremu na drogę pośmiertną dano formy odlwncicze wykonane z piaskowca. Co prawda były one już tak zużyte, że nie nadawały się do dalszej pracy, ale skoro na tamtym świecie wszystko się odradza, to wierżono, że owe narzędzia również się odrodzą i będą przydatne ich zmarłemu właścicielowi. Przeważająca większość prezentowanych na naszych rysunkach i fotografiach przedmiotów jest miejscowego pochodzenia. Są również rzeczy zrobione poza Środkowym Nadodrżem, dostały się tu drogą wymiany międzyplemiennej.

Jestem przekonany, że czytelnicy chcą się dowiedzieć, gdzie archeolodzy znaleźli najbardziej wartościowe przedmioty z brązu, wykonane w łużyckich warsztatach.

Odkąd archeologia jest nauką, a jest nią od dwustu lat, bez wątplenia za największy sukces trzeba uznać skarb z Lubusza złożony z dwudziestu dwu i pół kilograma przedmiotów brązowych. Znajdowało się w nim sto jeden siekierek, czyli zdecydowana większość spośród niemal stu sześćdziesięciu sześciu znalezionych po obu stronach Odry. Były też fragmenty mieczy i owalne obręcze stanowiące prawdopodobnie coś w rodzaju pieniędzy. Zdaniem badaczy, miejsce, gdzie znaleziono ten skarb, mogło być magazynem kupca albo warsztatem odlewnika. Ta druga teza bardziej mnie przekonuje, ponieważ siekierki miały szwy odlewnicze, były więc surowcem do dalszej obróbki.

Gdzie leżał skarb, który archeolodzy znaleźli w Lubuszu?

W Lubuszu archeolodzy badali to miejsce, gdzie została założona osada słowiańska. W pobliżu znaleźli jedynie siekierkę. Drugą oddał im robotnik, rezygnując, mówiąc delikatnie, z pamiętki. Badacze używali wykrywacza metali, ale nie dało to spodziewanego rezultatu. Dopiero gdy sprowadzili koparkę, aby łyżką powoli zdejmowała warstwy ziemi w osadzie słowiańskiej i leżących poniżej jamach cywilizacji łużyckiej, natrafili na skarb. Był on ukryty w jednym, dużym naczyniu.

Na Środkowe Nadodrze brąz dostarczali kupcy z południowej Europy, między innymi z Niziny Węgierskiej, z Siedmiogrodu. Jak się domyślam, Łużyczanie czymś wyjątkowo cennym płacili za ten stop. Najcenniejszym surowcem ziem położonych nad Bałtykiem był bursztyn. Przez Wielkopolskę prowadził tzw. szlak bursztynowy. Jedna jego odnoga mogła sięgać Głogowa, a może prowadziła wzdłuż Odry. Czy bursztyn pochodził wyłącznie z nad

wybrzeża bałtyckiego czy może wydobywano go również w innych miejscach?

Większość eksportowanego na południe jantaru, zwanego też bursztynem, amberem, elektrum pochodziła z Sambii, gdzie dziś jest obwód kaliningradzki, i z terenów przybałtyckich. Bursztyn bałtycki jako jedyna żywica kopalna ma dużo kwasu bursztynowego, najwięcej w warstwie zewnętrznej. Ogrzany w dłoni, przyjemnie pachnie. W dotyku jest ciepły. W słonej wodzie pływa, w słodkiej tonie. Mimo że jest uważany za kamień, pali się jasnym płomieniem. Oprócz cech jubilerskich ma wartości wykorzystywane w leczeniu. Właśnie ze względu na te ostatnie nazywano go złotem bałtyckim. Czy bursztyn wydobywano poza wybrzeżem Bałtyku? Pewnie tak, bo wedle encyklopedii występuje, na przykład, na Kurpiach. Zdaniem niemieckich badaczy mógł być na Ziemi Lubuskiej.

Czy badając groby na cmentarzyskach albo pozostałości osad łużyckich często napotykał pan na ozdoby z bursztynu?

Skoro bursztyn był cennym środkiem płatniczym, wprawdzie nie występującym masowo, ale i przecież nierzadko, to dlaczego tak mało jest go na wykopaliskach? Istnieje uprawdopodobnione domniemanie, iż osobiste ozdoby zmarłego, wykonane także i z bursztynu, mogły wraz z nim ulec spopieleniu. Jeśli tak, dlaczego w grobie nr 225 na cmentarzysku w Grzmiejącej 1 znalazłem kołę paciorków z jantaru? Dlaczego w kilku bogatszych zespołach w podgłogowskich Żukowicach wystąpił amber? Nie wierzę, aby Łużyczanie palili ciała zmarłych ozdobione wyrobami z bursztynu. Był on zbyt cenny. Spalony wraz z nieboszczykiem nie ukazywałby tego, co miał wskazać, czyli bogactwa zmarłego i ostentacyjnego wręcz lekceważenia przyziemnych wartości przez jego rodzinę.

Czy dobrze rozumiem, że palenie ciała razem z jego ozdobami miało pokazać nie tyle materialny prestiż zmarłego, co uspokoić współplemieńców?

Odbywało się to wedle zasady: popatrzcie, on był bogaty. My, jego bliscy, jesteśmy bogaci, ale nam nie zależy na dobrach materialnych. Chcemy być wam równi. Mało tego, chcemy się podzielić naszym bogactwem z bogami i błagać podziemia o łaskę dla nas wszystkich, a nie tylko dla zmarłego.

Brąz był lepszym materiałem na przedmioty niż drewno czy kamień, jednak dalekim od doskonałości, a szczególnie mniej przydatny w codziennym gospodarowaniu. Nigdy nie został wyparty, ale z upływem lat powoli był zastępowany przez żelazo. W encyklopedii przeczytałem, że najstarsze przedmioty z żelaza meteorytowego pochodzą z XV stulecia przed naszą erą. W XII wieku poprzedniej ery żelazo było znane w Grecji, niedługo potem wśród plemion kaukaskich i na Półwyspie Apenińskim. Kiedy żelazo dotarło na ziemię zajmowaną przez lud cywilizacji łużyckiej?

Epoka brązu rozpoczęła się na Bliskim Wschodzie około 3000 roku przed naszą erą, czyli w przybliżeniu około 1000 lat wcześniej niż nad środkową Odrą. Trwała do około 1200 roku przed naszą erą, a więc prawie do początków epoki brązu cywilizacji łużyckiej. Gdy na naszej ziemi powstawały w najlepsze garnki zdobione wypchanymi guzami i szpile z brązu, nad Eufratem i Tygrysem rozpoczęła się epoka żelaza.

Żelazo w postaci meteorytowej znane było wcześniej.

Wcześniej uchodziło za metal tak cenny, że robiono z niego wyłącznie biżuterię. Żelazo meteorytowe jest mniej podatne na korozję i posiada oksydowany poblask.

Żelazo wyznaczyło początek nowej epoki w dziejach ludzkości, bez przerwy trwający do dziś.

Robienie przedmiotów z żelaza, w przeciwieństwie do wytwarzania ozdób ze złota, srebra i brązu, nie wymaga nadzwyczajnych umiejętności. Broń wykonana z żelaza była trwalsza i skuteczniejsza. Podobnie narzędzia, szczególnie te przydatne podczas obróbki drewna.

Skąd pochodziło żelazo przekuwane przez Łużyczan?

Część zapewne przywozili tu kupcy z południowej Europy. Część z miejscowych złóż rudy darniowej. Miejskowa produkcja uczyniła z żelaza towar dostępny nawet przeciętnemu mieszkańcowi naszej ziemi. Jeżeli takowa w ogóle funkcjonowała w czasach cywilizacji łużyckiej. Przeważająca część archeologów uznaje, że nie istniało łużyckie hutnictwo żelaza, ja – znów pod prąd – przychylam się do koncepcji miejscowego wytopu i obróbki tego metalu. Zwłaszcza w okolicach Wiciny.

Najpierw powstawały ozdoby żelazne, dostępne tylko najbogatszym. Czy archeolodzy ustalili, kiedy żelazo stało się surowcem powszechnym, z którego robiono większość przedmiotów używanych na co dzień?

Przedmioty z tego metalu, mam na myśli głównie narzędzia gospodarskie, przodkowie zaczęli robić między rokiem 700 a 650 starej ery. Najpierw po południowej stronie Odry, czego potwierdzenie znalazłem na cmentarzysku w podgłogowskich Żukowicach. Niemal powszechne używanie żelaza do wyrobu narzędzi zaczęło się po roku 550 przed naszą erą, o czym świadczą pozostałości pieców, znajdowane na wykopaliskach były i grudki żelaza niekowalnego. W Hetzdorfie niedaleko Prenzlau prahistorycy natrafili na cztery dymarki i pojedyncze miejsce

wytopu żelaza. Oprócz żuźla znaleźli tam żelazne buły. O wytopie żelaza zaświadcza grób górzycki w Altranft koło Bad Freinwalde, w którym obok popielnicy leżał kloc żuźla. W Wicinie odkryliśmy szereg narzędzi, którymi kowal mógł obciosywać buły żelazne i przekuwać je w materiał przydatny do dalszej obróbki.

Garnek z gliny każdy mógł ulepić. Czy również każdy mógł wytopić żelazo z rudy darniowej i zrobić sobie, na przykład, sierp albo nóż czy sztylet?

Wbrew pozorom nie było to aż takie proste. Starożytne dymarki, czyli piece do wytopu żelaza badacze znajdowali najczęściej w sporych zespołach, tworzących coś w rodzaju dzisiejszych hut, między innymi w okolicy Pszczewa. Odnoszą się one do okresów późniejszych. Przed chwilą powiedziałem, że na ślady produkcji żelaza archeolodzy natrafili w Wicinie. Zdaniem badaczy, to były czasy rozwiniętej cywilizacyjnie grupy białowickiej ludności kultury łużyckiej. Na tej podstawie można uznać, że powszechna znajomość żelaza to mniej więcej czasy od około 550-500 roku przed naszą erą.

Łużycanie robili z żelaza niemal wszystko?

Najpierw praojcowie robili narzędzia do zabijania zwierząt i swoich wrogów, a więc noże, groty, sztylety, miecze i zbroje. Potem zaczęli wytwarzać przedmioty ułatwiające codzienne czynności, z biegiem lat niemal wszystkie narzędzia gospodarskie, z czasem doskonalone i unowocześniane. Na niewielkim cmentarzysku w Grzmiącej koło Cybinki odkryłem grób woja z czasów rzymskich, którego prochy złożono nie w popielnicy, lecz bezpośrednio w jamie wygrzebanej w ziemi. Wraz ze zmarłym pochowano jego rzeczy osobiste, a więc noże i sztylety,

zgięty miecz, ozdoby z brązu, szkła i żelaza. W innym grobie na tym samym cmentarzysku natrafiłem na resztki tarczy. Z jej drewnianego szkieletu obciągniętego specjalnie wyprawioną skórą nic się nie zachowało. Pozostał tkwiący w centralnym punkcie żelazny kołec, spełniający rolę: obronną, zaczepną i ozdobną. Obramowanie tarczy to złożona w literę U żelazna listwa. Od strony wewnętrznej znajdował się uchwyt. Obok tarczy leżał żelazny grot oszczepu, żelazny sztylet z odbojnikiem do ochrony dłoni i powyginany żelazny miecz. Wspominam o tym wyłącznie dlatego, że gdy na początku lat dziewięćdziesiątych XX wieku rozpętała się dyskusja, który dzień powinien być świętem wojska polskiego, sławny rysownik Szymon Kobyliński przypomniał o tym znalezisku w „Życiu Warszawy”. Skoro politycy i wojskowi nie mogą się porozumieć w sprawie dnia święta wojska, niech zwrócą się do doktora Marcinkiana, a on im powie, kiedy odkrył grób woja. To może być Dzień Wojska Polskiego. Podpowiedź Szymona Kobylińskiego politycy potraktowali poważnie. Mieli tylko jedno pytanie: czy na pewno na cmentarzysku w Grzmiącej leżały szczątki Słowianina?

Czy pan ich zapewnił, że to był grób woja słowiańskiego?

Kto wie, kim on był? Może Słowianinem, może Germanem albo przedstawicielem jeszcze innej nacji. Po czym miałem poznać jego przynależność etniczną?

Wróćmy do codzienności. W co się ubierali Łużyczanie? Powiedział pan, że hodowali owce, uprawiali len i konopie. Skoro tak, to pewnie umieli tkąć tkaniny i szyli z nich okrycia.

W miejscach, gdzie były osady i cmentarzyska łужицкие, datowane głównie na wczesną epokę żelaza, na przykład w Wicinie,

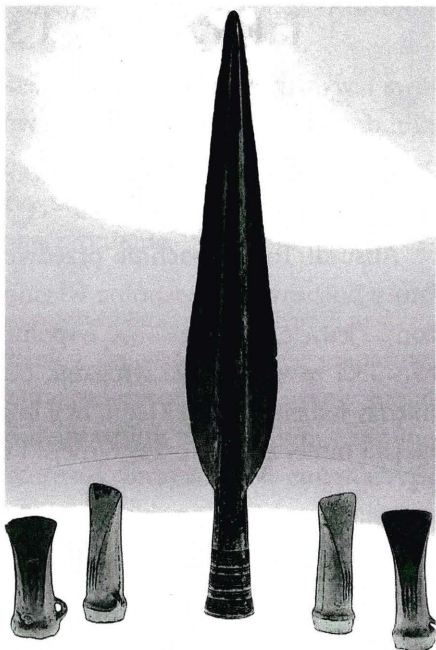
w Żukowicach, archeolodzy napotkali na pozostałości warsztatów tkackich. Znaleźli tam gliniane ciężarki przywiązywane do nici wełnianych lub lnianych, umocowane na pionowych krosnach. Trzeba do tego dodać liczne znaleziska tzw. przęślików, czyli czegoś w rodzaju dziecięcych bączków, służących do przędzenia nici. Na tej podstawie archeolodzy doszli do wniosku, że Łużycanie tkali samodziały. Igły kościane, brązowe i żelazne utwierdzają nas w przekonaniu, że krawiectwo było rzemiosłem, a nie tylko domowym rękodzielnictwem. W budynkach tkaczy, odkrytych w Gubinie, prahistorycy natrafili na piętnaście ciężarków ułożonych jeden przy drugim i zagłębionych w ziemi. Prawdopodobnie pod pionowym warsztatem tkacz wykopał dół, aby móc robić dłuższe samodziały. Takie jamy archeolodzy znaleźli również w Wicinie i w Polanowicach koło Gubina, gdzie było po czternaście glinianych obciążników warsztatu tkackiego. Szczątki tkaniny zachowały się przy brzytwie znalezionej w Gubinie. Mogła to być osłona lub pochwa tego narzędzia. Czy surowcem tkackim była wełna królików albo sierść zwierząt długowłosych, tego nie wiem, ale znając praktycyzm ówczesnych ludzi, wydaje się to prawdopodobne.

Co Łużycanie zakładali na nogi latem, a co zimą?

Od wiosny do jesieni chodzili boso albo w łapciach z łyka. Zimą nosili okrycia ze skór lub zakładali na nogi buty wykonane z wojłoku, czyli z mocno zbitej wełny owczej, sierści zwierzęcej, odpadów włókien roślinnych. To są wyłącznie moje domysły, bo do naszych czasów nic z odzieży wytworzonej przez ludność cywilizacji łużyckiej nie zachowało się na cmentarzyskach. Już mówiłem o z mumifikowanym człowieku z lodu sprzed 5300 lat, odkrytym w 1991 roku w Alpach nazwanego przez archeologów Ötzi. Miał on na sobie ciepłe i nieprzemakalne ubranie,

na nogach ciżmy o rozmiarze 36, sznurowane z wewnętrznych boków. Buty były dwuczęściowe, wypchane słomą, z otwartymi tyłami. W 2001 roku naukowcy założyli repliki takiego obuwia na nogi i ruszyli w góry. Po powrocie z eksperymentu stwierdzili, że buty człowieka z lodu sprawdziły się podczas wysokogórskiej wspinaczki. Słoma jako materiał dobrze izolujący zachowała ciepło przy nodze, a znajdujące się w niej powietrze było także doskonałym amortyzatorem. Inny przykład na potwierdzenie mądrości przodków z terenu bliskiego Środkowemu Nadodrzcu. Otóż w Egteved, w Danii, w kurhanach z epoki wczesnego brązu badacze odkryli nieźle zachowane wełniane ubranie. Zaskoczył ich krój spódniczki, po pierwsze, długości mini; po drugie, wykonanej z wełnianych sznurków i posiadającej u góry pasek-ściągawkę. Był tam też pas z dużą, owalną klamrą. Górna część odzieży to bluza – koszula z rękawami i łódkowatym wycięciem.

Mirocin Dolny pod Koźuchowem – karb brązowy z końca epoki brązu



Narzędzia kamienne, brązowe i żelazne z różnych okresów pradziejów



Jak rządzą i się bronili

Ile prawdy jest w tym, że we wspólnocie pierwotnej wszystko było wspólne?

Absurd! Toż to pachnie przedwojennymi hasłami na temat istoty bolszewizmu: wspólna własność, wspólne domy, wspólne żony... Jedyne, co mogło być wspólne we wspólnocie pierwotnej, to walka ze wspólnymi wrogami. Na pewno istniała rywalizacja między ludźmi. Przecież jedni byli bogatsi, drudzy biedniejsi, zdolniejsi i mniej zdolni, przystojniejsi i brzydale. Tak jak jest dzisiaj.

Skoro byli bogatsi i biedniejsi, to musieli być zwierzchnicy i poddani.

Czy wyłącznie bogactwo implikuje władzę? Czy walory osobiste, inteligencja, siła fizyczna, instynkt wodzowski nie mogły odgrywać ważniejszej roli? Wówczas, podobnie jak i przez całe wieki, aż do dziś, władza była ukształtowana na wzór piramidy. I to bez względu na odpryski demokracji. Filozofowie od dawna zastanawiają się, czym jest, skąd się wzięła władza. Część myślicieli uważa, że jest ona wytworem natury. Na potwierdzenie swojej tezy podają funkcjonowanie grup zwierząt, na przykład watahy wilków czy gromady małp, a nawet słoń, szakali i hien. W stadle ludzkim od dawna na czele stoi wódz. Być może wódz praprzodków posiłkował się radą starszych czy też zasięgał porad u wielmożów. Chociażby dla uspokojenia ich wybujałego ego. Czy dziś jest inaczej?

Dziś egoizm kryje się za parawanem partii.

Jestem przekonany, że w dawnych czasach nie było partii. Gdyby były, ludzkość pogrążona w wewnętrznych walkach nie wyszłaby z epoki kamienia.

Skoro jedni rządzili, to drudzy musieli pracować. Kto bronił tych i tych?

Zupełnie prawdopodobne, iż władca-wódz utrzymywał swoją drużynę wojów, specjalistów w zabijaniu i – tak, tak – rabunku. W razie większego zagrożenia do obrony byli zobowiązani wszyscy mieszkańcy osady, a w przypadku grodu – także okolicznych osad. Wtedy gród dawał im schronienie.

Wszyscy mieli podobne uzbrojenie i broń, którą trzymali w domu?

Podstawową bronią był łuk z drewna specjalnie preparowanego, za cięciwę służyły jelita zwierzęce. Strzały miały grociki o kształcie liściastym, trójkątnym, sercowatym, zrobione z brązu, kości, a nawet jeszcze z krzemienia. Na cmentarzysku koło podgorzowskiej Witnicy archeolog Stanisław Sinkowski znalazł grociki kościane. W jednym z grobów w Grzmiącej koło Cybinki natrafiłem na grocik krzemienisty w kształcie serca. Grociki takie stanowiły powszechny dar w grobach wojów znad Dunaju z początku drugiego okresu epoki brązu. Na pewno zastosowanie obronne miała pałka, maczuga i włócznia. Bardziej znamienici wojowie nosili miecze najpierw wykonane z brązu, potem z żelaza. Na pewno mieli też krótszą broń białą, myślę o nożach. A może również posługiwali się bolasami, czyli skórzanymi rzemieniami z dowiązanymi do nich kamiennymi obciążnikami, które to, rzucone w odpowiedni sposób, mogły spętać nie tylko zwierzę, ale i wroga.

Co chroniło ciało żołnierza łuzycznego?

Wojownik miał na sobie skórzany kaftan z naszytymi licznymi, brązowymi guzami-guzikami. Był to swego rodzaju pancerz. Ręce i nogi chroniły zwoje brązowych spiral. Niektórzy, jak wynika to ze znaleziska w Szczecinie-Zdrojach, mieli na głowie

metalowy hełm, niekiedy połączany. Inni chronili swe głowy kaskami kościanymi, wykonanymi z czaszek zwierząt, prawdopodobnie specjalnie wzmocnionych. Piechurzy posługiwali się oszczepami, a jeźdźcy pikami i dzidami. Są na to liczne dowody w postaci brązowych i żelaznych grotów.

To znaczy, że była piechota i konnica? Może i pojazdy podobne do rydwanów?

Ze względu na koszt wyposażenia i utrzymania zdecydowanie dominowali piechurzy, szczególnie łucznicy. Kawaleria stanowiła zapewne elitarną i niewielką część ówczesnego wojska, albowiem samo utrzymanie konia związane było z ogromnymi wydatkami. W Zitz po stronie brandenburskiej prahistorycy odkryli podwójny grób koni. Złożone one zostały w owalnej jamie, jeden nad drugim, głowami na wschód, a nogami do siebie. Był to na pewno pochówek intencjonalny. Na podobny grób wierzchowca natrafiłem na cmentarzysku w Sulęcinie. W rozległej jamie leżały spalone kości starszego konia. Na cmentarzysku w Eisenhüttenstadt, leżącym po drugiej stronie Odry, archeolodzy odkopali całopalny pochówek całego konia. Nie byłoby w tym nic dziwnego ani ciekawego, gdyby nie znaleźli tam pełnego zestawu darów grobowych, to znaczy naczyń, wyrobów z brązu. Guzy-guziki mogły stanowić pancerz na wojskowej derce okrywającej konia. W Wicinie doktor Kołodziejski natrafił na dziwną, bo sześcioboczną kostkę z kilkoma otworami. Uznał ją za rozdzielną rzemieni przy uździe.

Koń był więc zwierzęciem bardzo cennym, a przy tym wielce znaczącym.

Koń był zwierzęciem bojowym, pociągowym i rzeźnym. Już mówiłem o sztolni w Lossow, w której badacze znaleźli szkielet konia i towarzyszące mu liczne kości innych zwierząt.

W bezpośredniej walce, szczególnie przy zdobywaniu osad obronnych, chronionych wałami drewniano-ziemnymi bardziej przydawali się piechurzy czy jeźdźcy?

Wydawać by się mogło, że większe znaczenie mieli wojowie spieszni, którzy byli bardziej mobilni i nie tak zrośnięci ze zwierzęciem jak konni. Ponieważ informacji na ten temat brakuje, domyślam się, że w tamtym czasie nikt nie oblegał grodu. Napastnicy próbowali nagle zaatakować grodzian, a jeśli napad się nie udał, odstępowali, aby za jakiś czas ponowić atak. I być może właśnie do tego bardziej przydatna była szybka i zwrotna konnica. Sposób walki podpowiadało doświadczenie. Napastnicy zdawali sobie sprawę z tego, że w grodzie są studnie i zapasy żywności. Oblegający też mieli żywność i wodę, ale nie w takich ilościach jak oblegani. Dlatego jeśli nie powiódł się pierwszy czy drugi atak, jeśli nie zdradził nikt spośród grodzian, odstępowano od oblężenia.

Zawsze odstępowano?

Odnosiło się to do walk wewnętrznych, międzyplemiennych, albowiem grody w Wicinie, Polanowicach i Starosiedlu zostały zdobyte i zniszczone przez najlepszych, ówczesnych wojowników, czyli przez Scytów.

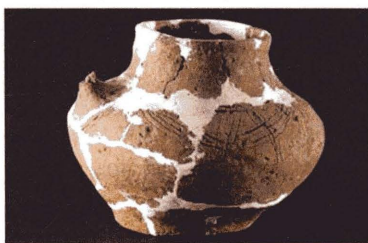
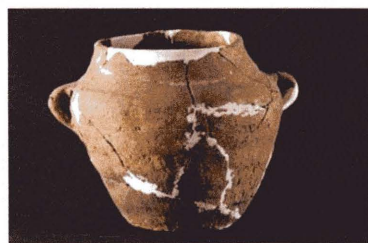
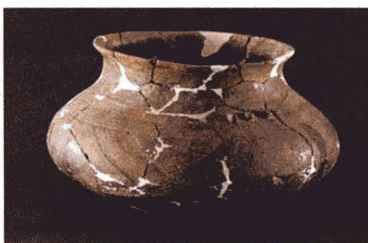
Czy wtedy były znane i stosowane atrybuty władzy, na przykład korona, mitra, pałka?

Archeolodzy odnaleźli w grobach wykonane z brązu berła sztyletowe, z pewnością będące oznaką władzy. Jabłka władzy królewskiej przypominające wielokątne kule z brązu znaleziono na Łużycach Lubuskich. W Wicinie zachowała się brązowa część buławy hetmańskiej w postaci graniastej głowni. Na cmentarzysku w Sękowicach koło Gubina doktor Jarosław

Lewczuk natrafił na fragmenty brązowego łańcucha, na którym mógł się znajdować medalion lub wisior. Fragmenty podobnego łańcucha znalazłem w Bieganowie koło Cybinki. W jednym z grobów w Grzmiącej znajdował się owalny, gliniany placek z otworem na krawędzi. Czy był to element atrybutu władzy? Nie wiem. Swoją drogą zdziwiłby mnie ten ówczesny dostojnik, który nie chciał uzewnętrznić swej dominacji nad innymi.

Każdy władca jest przekonany, że jego władza jest niezastąpiona, najlepsza i będzie trwała wiecznie. Czy tak mogli myśleć władcy łużyccy?

Pewnie tak. Proszę pana, najpierw łużyckie, a później wczesnośredniowieczne grody to nic innego jak miejsca obrony własnych, partykularnych interesów. Interesów wielmożów, kupców, rzemieślników, a w najmniejszym stopniu zwykłych mieszkańców.



Grzmiąca i Bieganów, pow. słubicki – naczynia późnogórzyckie z lat 400-300 p.n.e.

Po co wznosili grody

Wszystkie plemiona cywilizacji łużyckiej zachowywały się identycznie, tzn. czy zakładały grody?

Na naszej ziemi grody najwcześniej przyjęły się wśród mieszkańców należących do grupy białowickiej. Żyli oni najpierw po zachodniej stronie Odry i na terenach Łużyc Lubuskich. Zdaniem niemieckiego archeologa, profesora Dietmara-Wilfrieda Bucka ludność białowicka stanowiła najbardziej na północ wysuniętą grupę południowej kultury halsztackiej. Jej plemiona mieszkaly tam, gdzie dziś jest Bośnia, Hercegowina, Siedmiogród, Słowacja, wschodnie Niemcy, Szwajcaria po wschodnie Alpy. Tędy i poprzez ten lud nad Środkową Odrę mogli napływać nie tylko towary, lecz i nowinki techniczne. Drugim kierunkiem, z którego zdobycze cywilizacyjne przedostawały się na Środkowe Nadodrze, był Śląsk. Archeolodzy twierdzą, że tam grody zaczęły powstawać w latach 900-700 przed naszą erą, czyli pod sam koniec najmłodszego okresu epoki brązu.

Kiedy powstały pierwsze grody na Środkowym Nadodrzu?

Na tej ziemi za najwcześniejszy gród łużycki przez całe dziesięciolecia badacze uważali obiekt położony na wysokiej krawędzi doliny Odry w Bobrownikach jedynie ułamki naczyń z okresu, który go interesował. Dla odmiany doktor Kołodziejwski i ja, badając kulturę ludności łużyckiej, natrafiliśmy tylko na skorupy naczyń z początku wczesnej epoki żelaza.

Każdy znalazł to, co chciał znaleźć. A jest pan przekonany, że w Bobrownikach pozostały ślady grodziska łużyckiego?

Uformowanie terenu sugerowało istnienie wałów, ale czy było tam grodzisko powstałe w czasach cywilizacji łużyckiej, nigdy tego nie dowiedliśmy.

A może grodzisko w Bobrownikach stworzył w okresie nowożytnym jakiś fanatyk starożytności?

Z czymś podobnym badacze spotkali się w Kargowej i w parku przymuzealnym w Gorzowie. W Kargowej, w miejscu, gdzie była osada wczesnośredniowieczna, zbudowano gród z części cmentarza żydowskiego. W Gorzowie uformowano, co prawda bardzo wyraziste, ale jedynie ziemne i puste wały. Zdarzało się szczególnie na Ziemi Lubuskiej, że w miejscach, gdzie istniały osady otwarte założone przez ludność grupy górzyckiej, we wczesnym średniowieczu budowano grody.

Proszę choćby o jeden przykład.

Przed drugą wojną światową niemieccy archeolodzy prowadzili niewielkie prace wykopaliskowe na grodzisku w Myśliborzu. Miejsce to prahistorycy uznali za obiekt obronny ludności cywilizacji łużyckiej w oparciu o ceramikę, datowaną na lata 700-600 poprzedniej ery oraz za zbudowany na jego gruzach gród z wczesnego średniowiecza. Zaraz po wojnie badania w Myśliborzu podjęli archeolodzy polscy. Oczyszczili stary wykop oraz tzw. profile i na tej podstawie uznali, że w tym miejscu były niegdyś dwa grody: najpierw cywilizacji łużyckiej, potem wczesnopiastowski. Wiele lat później wojewódzki konserwator zabytków archeologicznych z Gorzowa Bogdan Bojanowski ustalił, że w Myśliborzu gród istniał wyłącznie we wczesnym średniowieczu, a nie i we wczesnej epoce żelaza. W czasach cywilizacji łużyckiej była tam osada otwarta.

Z punktu widzenia badacza potknięcie. Często zdarzają się takie pomyłki?

Często może nie, ale się zdarzają i, o dziwo, w północnej części Środkowego Nadodrza. Co ciekawe, w części południowej, zwłaszcza na Łużycach Lubuskich, grodzisk cywilizacji łużyckiej – z jednym wyjątkiem – nigdy nie przykryli budowniczości warowni w następnych pokoleniach. Pomijam „gród” w Starosiedlu i grodzisko wczesnośredniowieczne, być może założone w miejscu wcześniejszej osady łużyckiej w Polanowicach. Pomimo tego dociekliwy badacz dopatry się tu pewnej myśli strategicznej w tworzeniu osad obronnych I jeszcze jedna ciekawostka dotycząca grodów w południowej części regionu: powstały one w tym samym czasie i w tym samym czasie upadły.

Jaki wpływa z tego wniosek?

A taki, że zawiadywało nimi nie jedno plemię, lecz związek plemion. Że była to organizacja na wzór protopaństwa. Jest to kolejny dowód na istnienie na Środkowym Nadodrze nie tyle archeologicznej kultury, co cywilizacji łużyckiej. Cywilizacji w pełnym tego słowa znaczeniu, tyle że niepiśmiennej. Chociaż kto to wie? Skoro są ludzie, którzy twierdzą, że istniało pismo runiczne ludów skandynawskich, to może i nasi badacze znajdą dowody na istnienie pisma łużyckiego.

Na Środkowym Nadodrze żyła ludność cywilizacji łużyckiej, o podobnych stopniu rozwoju, mająca tych samych wrogów. Jeśli ta ludność zakładała grody jako budowle obronne, to przed kim bronili się ich mieszkańcy?

Przypuszczam, że Białowiczanie bronili się przed swymi pobratymcami z grupy górzyckiej, którzy żyli po północnej

stronie Odry. Przypomnę osadę w Starosiedlu i cmentarzysko w Sękowicach. Górzyczanie dzielili się na dwie podgrupy: jedna zajmowała tereny od Pradoliny Toruńsko-Eberswaldzkiej po Bałtyk, druga – historyczną Ziemię Lubuską aż po linię Cedynia–Myślibórz. Zapewne część ludności przemieszczała się na najbliższe tereny, ale i się osiedlała, być może w drodze podboju, nawet na Kujawach. O takiej dość wczesnej migracji zdają się zaświadczać wyniki prac wykopaliskowych w Białej koło Piły, gdzie badacze natrafili na typowe dla naszych ziem naczynia zdobione profilowanymi guzami.

Zgubiłem się, panie doktorze. Czy dobrze dedukuję, że ludność należąca do grupy górzyczej nie budowała grodów?

Na Wolinie i w Szczecinie znajdowały się grody, przez badaczy zaliczane do budowli wznoszonych przez społeczności należące do grupy górzyczej. Takich budowli nie było na południe od linii Cedynia–Myślibórz. Nawet i w Cedyni, w dokładnie przebadanym miejscu, można zakwestionować istnienie domniemanego grodu łużyckiego, strzegącego nie mniej domniemanej przeprawy przez Odrę. Autorzy prac badawczych i enigmatycznych publikacji stwierdzają, że niegdyś odcięto wałem część rozległego płaskowyżu, na którym funkcjonowała przez dziesięciolecia rozległa osada otwarta. Ta budowla obronna miała być schronieniem dla ludności zasiedlającej podgrodzie, dla kupców, rzemieślników, hodowców i rolników. Być może, iż tak było, tyle że ludzie niezbyt chętnie pozbywają się swego mienia, swych domów i warsztatów pracy, aby tylko uchronić życie. Dlatego też bardziej właściwym byłoby otoczenie, chronienie wałem tak bogatej osady, co nie wydaje się trudne i niemożliwe w świetle badań przeprowadzonych w Wicinie, Sobiejuchach na Pałukach czy w Biskupinie.

Prahistorycy domyślają się, dlaczego lubuscy Górzycanie nie wznosili grodów?

Teorii jest kilka. Moim zdaniem, lubuscy Górzycanie byli ludźmi wyjątkowo praktycznymi, robiącymi jedynie tyle, ile trzeba, aby przeżyć. Jak powiedziałem, archeolodzy przyjmują, że Białowiczanie byli odnogą wysoko postawionej kultury halsztackiej, stanowili pas transmisyjny między ludami południowymi i północnymi oraz bardziej wschodnimi. Zapewne zakładali grody przede wszystkim dlatego, że na drabinie gospodarczego i społecznego rozwoju stali wyżej niż Górzycanie. Sąsiedzi z północnej strony Odry łakomym okiem spoglądali na bogactwo Białowiczian. Gdy ludność białowicka to dostrzegła, zaczęła tworzyć linię grodów obronnych.

Czy więc mieszkający po północnej stronie naszej ziemi Górzycanie byli wrogiem Białowiczian, mieszkańców części południowej?

Wrogiem Białowiczian byli nie tylko Górzycanie. Pod uwagę trzeba wziąć również plemiona żyjące na Dolnym Śląsku i w mniejszej części w zachodniej Wielkopolsce. O zagrożeniach z południa zdają się świadczyć białowickie grody w Moszowicach koło Głogowa i w podnowosolskich Solnikach, a więc prawie na krańcach zwartego osadnictwa białowickiego. Protopaństwo Białowiczian zostało zlokalizowane na Łużycach i na Śląsku Lubuskim.

Dobrze zrozumiałem, że Górzycanie nie budowali grodów, ponieważ najbliżsi sąsiedzi, czyli ludność należąca do grupy białowickiej na nich nie napadała.

A nie napadała, bo Górzyczan nie było z czego ograbić. Mieszkańcy osad górzyckich byli ubożsi niż mieszkańcy siedlisk przynależnych do grupy białowickiej. Prawdopodobnie lubuscy

Białowiczanie byli nie tylko zamożniejsi, ale i lepiej zorganizowani niż ludność łużycka mieszkająca na południe od Głogowa. Nie dotyczy to czasów pomiędzy 700 a 550 rokiem przed naszą erą, kiedy śląscy Łużyczanie stanowili awangardę postępu.

Czy hipoteza odnosząca się do istnienia grodów strategicznych odnosi się do wszystkich takich konstrukcji czy też do stawianych jedynie po zachodniej stronie Odry i Nysy Łużyckiej?

Identyczne pytanie zadaliśmy sobie z doktorem Kołodziej-skim, gdy badaliśmy grody białowickie. Ponieważ żaden z nas nie znał odpowiedzi, zaznaczyliśmy na mapie miejsca, gdzie stały warownie. Okazało się, że Białowiczanie mieszkający po wschodniej stronie Nysy Łużyckiej nie zakładali grodów w przypadkowych miejscach. One powstawały tam, gdzie mogły mieć znaczenie obronne. I, co jest niezwykle ważne, wszystkie grody pochodzą z tego samego czasu. Profesor Dietmar-Wilfried Buck odniósł tę koncepcję wyłącznie do strefy północno-zachodniego osadnictwa białowickiego. Stamtąd, naciskani przez ludy nordyjskie, Białowiczanie mieli przenosić się, i to bardzo szybko, na tereny pomiędzy Nysą a Bobrem. W świetle lubuskich badań nie jest to tak pewne, jak twierdzi niemiecki archeolog.

Dlaczego?

Naszym zdaniem Białowiczanie byli tu od początku. Najpierw jako lud tzw. grupy sasko-łużyckiej, wyraźnie różniącej się od swoich pobratymców, później, mniej więcej od połowy najmłodszego okresu epoki brązu, jako osobna grupa białowicka. Być może exodus z północnego zachodu, o którym pisze profesor Buck, przyczynił się do wzmożonego osadnictwa tej grupy na Śląsku Lubuskim aż do Odry. Potwierdzają to badania przeprowadzone w Zamecznie koło Głogowa i zdecydowanie

nowsze wykopaliska Julii Orlickiej-Jasnoch w Miocinie Dolnym koło Kożuchowa.

Dlaczego ludność grupy białowickiej zakładała grody wyłącznie na starych ziemiach, a nie na tych, które podbiła, czyli dolnośląskich?

Nie wiem i nie będę spekulować.

Gród taki jak w Wicinie, chociaż nie tak słynny jak ośrodek w Biskupinie, stanowił centrum gospodarcze, handlowe, administracyjne. Czyli od tego, co się działo za wałem, byli uzależnieni mieszkańcy pobliskich osad.

Grodzianie byli uzależnieni, zwłaszcza jeśli chodzi o żywność, od tych, którzy żyli w pobliskich osadach otwartych. Gdy zbliżali się napastnicy, mieszkańcy osad chronili się w grodzie, powiększając jednocześnie ilość obrońców. Nie wiadomo, czy podczas ostrych zim mieszkańcy przygrobowych siedlisk przenosili się do warowni, gdzie były zapasy żywności, cieplejsze domy, łatwiejszy dostęp do wody i opału. Przypuszczam, że istniała pokojowa koegzystencja i wymiana usług. Grodzianie robili naczynia, ozdoby, narzędzia niezbędne w pracy tych, którzy żyli w osadach. A mieszkańcy osad rewanżowali się dostarczaniem żywności i być może niektórych surowców do produkcji przedmiotów codziennego użytku. Sądzę, że w domach na terenie grodu mieszkali rzemieślnicy, kupcy i członkowie drużyny wodza. Być może część domów nie miała stałych mieszkańców, a stawała się schronieniem w czasie, gdy przybywali do grodu ci, którzy żyli w osadach.

Zarządzanie grodem musiało wymagać silnej ręki jednego człowieka lub zespołu. Zarządzanie wieloma warowniami, a jak

pan powiedział, stały one w nieprzypadkowych miejscach, wymagało dokładnie określonej administracji, łączności między grodami, krótko mówiąc, współpracy zarządców.

Z pewnością mieszkańcy grodu nie zbierali się na agorze i długo dyskutowali jak ten czy inny problem rozwiązać. Zapewne był jeden zarządca – naczelnik, wódz, książę – który podejmował decyzje, ale wcześniej te istotniejsze, mające kluczowe znaczenie, konsultował albo z radą starszych, albo z grupą zaufanych mieszkańców. Chyba tak było łatwiej rządzić, nawet jeśli demokracja stanowiła, jak w wielu miastach nad Morzem Śródziemnym, jedynie fasadę.

Czy to oznacza, że zarządca grodu, naczelnik społeczności, wódz w razie wojny, był wybierany przez mieszkańców? Może władza przechodziła z ojca na syna?

W oparciu o niemych świadków przeszłości, czyli o to, co archeolodzy znaleźli w ziemi, tego nie da się wyjaśnić. Można się domyślić, porównując cywilizację łużycką z kulturami południowoeuropejskimi, że zarządcę wybierali grodzianie spośród mieszkańców. Zostawał nim ten najsilniejszy, najprężniejszy, najbardziej śmiały i odważny, który gwarantował sprawiedliwe rządy i pomyślny rozwój wspólnoty. Gród był więc siedzibą władcy, zamkiem, swego rodzaju stolicą księstwa, ale i proto-miastem.

Czy napady wrogich plemion często się zdarzały?

Od zarania dziejów ludzkości jedni pracują, drudzy, jakbyśmy powiedzieli współczesnym językiem, idą na łatwiznę. U genezy grodów nie leżała chyba sama wola zarządcy i nie ona była wystarczającym motywem wznoszenia budowli. Rządca nie miał aż tylu środków przymusu, aby wszystkich współplemieńców

zagonić do ciężkiej pracy. Raczej było to wspólne, pokojowe dzieło, służące wspólnocie i obronie jej osiągnięć ekonomicznych. W przeciwnym razie po cóż by wkładano tyle wysiłku w budowę grodów. O międzyplemiennych walkach niewiele potrafię powiedzieć.

A o innych napadach...?

Katakлизм równy wybuchowi Wezuwiusza w przypadku rzymskich Pompejów i Herkulanum, czyli w naszej Wicinie nagły napad koczowników ze wschodu – Scytów dał realne i niezbite świadectwo istnienia ówczesnych wojen. Z całym ich nieszczęściem. Z grabieżami i gwałtami. Z braniem niewolników. Z mordami i podpaleniami ludzkich sadyb. Nie mogę oprzeć się pokusie zacytowania pisma asyryjskiego. Proklamacja zwycięstwa króla Aszur-nasir-pala II brzmi tak: „Wzniosłem stos u bramy miasta, zdarłem skórę z przywódców rebelii, a stos pokryłem ich skórami. Wielu jeńców spaliłem w ogniu, wielu wziąłem żywcem, niektórym obciąłem ręce i palce, innym nos i uszy, wielu wyłupiłem oczy. Zniszczyłem, zburzyłem miasto, spaliłem je ogniem i całkowicie zrównałem z ziemią”. A może to opis zdobycia przez Scytów grodu w Wicinie?

Tej niedaleko Jasienia?

Gdyby gród w Wicinie został odbudowany lub gdyby, tak jak Biskupin, został opuszczony przez mieszkańców, to dla nas nigdy nie byłby tak ciekawy i tak wiele mówiący o ówczesnym, codziennym życiu.

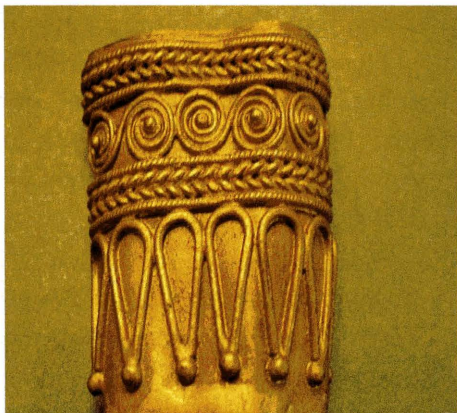
Czy istniały na naszej ziemi podobne grody jak ten w Wicinie?

Wydaje się, że zbliżone funkcje i znaczenie miały również pozostałe grodziska białowickie. Kilkanaście lat temu profesor

Grzegorz Domański z Wrocławia, trwale związany z naukową analizą dziejów naszej ziemi, oraz doktor Jarosław Lewczuk, zielonogórski badacz między innymi cmentarzyska górzycznego w Sękowicach niedaleko Gubina, prowadzili prace w Polanowicach nad brzegiem Nysy Łużyckiej, w miejscu, gdzie był gród wczesnośredniowieczny, a być może i osada obronna w okresie łużyckim. U podnóża wału, po jego stronie zewnętrznej, uczeni odkryli ogromny gliniany placek. Coś w rodzaju ołtarza, tyle że bez dodatkowych przedmiotów wotywnych. Podobny ołtarz gliniany inni badacze odnaleźli na Ukrainie. Pochodził on mniej więcej z tego samego czasu co polanowicki. Jediną różnicą było odkrycie wraz z nim szeregu glinianych figurek zwierzęcych, wśród nich ptaszków podobnych do tych z Bieganowa.



Wicina koło Jasienia –
złote ozdoby głowy Księ-
żniczki



Witaszkowo pod Gubi-
nem – detale zdobnicze
przedmiotów ze skarbu



Kto zniszczył warownię w Wicinie

Ma pan swój udział w odkryciu grodu łużyckiego sprzed dwu i pół tysiąca lat w podjasińskiej Wicinie. Dlaczego miejsce to, lubuski odpowiednik Biskupina, jest takie ważne?

A chociażby dlatego, że „cudze chwalicie, a swego nie znacie...”. Gród w Wicinie odpowiada chronologicznie osadzie obronnej w Biskupinie. Na tym kończą się podobieństwa. Biskupin, wspaniały i mocno rozreklamowany relikw budownictwa pradziejowego, został opuszczony przez swych mieszkańców prawdopodobnie na skutek nieustannego podwyższania się poziomu wody w jeziorze. Nie pomagało układanie warstw drewna. Biskupinianie przenieśli się więc tam, gdzie było sucho. Pozostały zatopione wały, domy i ulice, ale bez wyposażenia. Inaczej stało się z grodem w Wicinie i jego mieszkańcami.

Co się wydarzyło w Wicinie?

W czasie jego największego rozkwitu, być może, w co wątpię, w fazie przebudowy części wałów na gród napadła orda Scytów, koczowników ze wschodu, i go potwornie zniszczyła. Specjalnie mówię: orda, ponieważ Scytowie przypominali późniejszych Tatarów. Zapewne nigdy nie osiedlali się na podbitych, zniszczonych ziemiach.

Kim byli Scytowie?

Jak powiedziałem, to lud koczowniczy od VII wieku przed naszą erą żyjący na stepach czarnomorskich, niewiarygodnie bitny i grabieżczy. Wśród Scytów byli niezwykle rzemieślnicy i kupcy. Cele ich wypraw sprowadzały się do zdobycia bydła,

kobiet i niewolników, których sprzedawali koloniom greckim. W 513 roku przed naszą erą król perski Dariusz, mając dość najazdów scytyjskich, wyprawił się na ich ziemie. Herodot pisze w „Dziejach”, że Persowie nie zdołali ich pokonać, ponieważ Scytowie zastosowali taktykę spalonej ziemi i wojny podjazdowej, czegoś w rodzaju partyzantki.

Naprawdę nie było na nich mocnych?

W VI wieku przed Chrystusem Scytowie zajęli Kotlinę Karpacką. Stąd przez Bramę Morawską zaczęli się wyprawiać na Nizinę Śląską. Potem ruszyli na północ, jedna odnoga, jak twierdzą badacze, dotarła aż na Kujawy, druga wzdłuż Odry na Łużyce. Ponieważ są ślady zniszczenia grodów na Morawach, przypuszczam, że na Łużyce dostali się nie wedle Odry, a północnym brzegiem Sudetów i wzdłuż Nysy Łużyckiej.

Kiedy ordy scytyjskie dotarły pod Wicinę?

Jesienią lub zimą tuż po połowie ostatniego tysiąclecia przed naszą erą. Scytowie zaatakowali wiciński gród nagle i z ogromnym impetem, być może dostali się do środka przez ową domniemaną lukę w wałach. Mogło to stać się w nocy, pod nieobecność drużyny obrońców, która wyprawiła się albo z pomocą najbliższej warowni, albo wyszła na spotkanie napastnikom, aby ich powstrzymać przed napadem na wiciński gród. Na podstawie prowadzonych tam wykopalisk doktor Adam Kołodziejski doszedł do wniosku, że w grodzie nie było młodych mężczyzn, a tylko kobiety z dziećmi i starcy.

To był kataklizm?

Wicina, gród o pozycji ogromnej faktorii handlowej, miejsce wytwarzania przedmiotów ze wszystkich bez mała ówczesnych

surowców, centrum ówczesnego życia społecznego, coś na kształt stolicy protopaństwa, przestała nagle istnieć. I nigdy nie została odbudowana. Ludzie nie próbowali nawet tam się osiedlić. Gród nie doczekał się odbudowy. Proszę pana, najazd Scytów był dla Wiciny tym, czym wybuch Wezuwiusza, który 24 sierpnia 79 roku naszej ery zniszczył Herkulanum i Pompeje.

Sprawcą zniszczenia warowni w Wicinie byli ludzie. Herkulanum i Pompeje zalała lawa wulkaniczna. Nazywanie Wiciny Lubuskimi Pompejami wydaje mi się na wyrost.

Nie na wyrost, nie na wyrost. Ludziom, którzy tragicznie zginęli w Wicinie i w Pompejach, było wszystko jedno, czy spotkała ich śmierć z rąk wroga, czy na skutek działania sił przyrody. Cyniczne, co powiedziałem? Ale i prawdziwe. Proszę pana, porównywanie zagłady Wiciny z zagładą Pompejów jest słuszne i ma głęboki sens. Oba miejsca łączy wiele wspólnego. Nie Biskupin, a właśnie Wicina powinna dostać się do świadomości Polaków. Tam powinny zaglądać wszystkie wycieczki, które odwiedzają Środkowe Nadodrze. Od lat o to walczę.

Czy pan jest autorem określenia Wiciny jako Lubuskich Pompejów?

Stało się to po lekturze wspaniałej książki „Bogowie, groby i uczeni” Kurta Marka, niemieckiego autora podpisującego się jako C. W. Ceram.

Też czasem pod wpływem lektury coś zmieniam w swoim życiu, nad czymś długo rozmyślam, wyciągam wnioski. Ale nie rozumiem, dlaczego Wicina to Lubuskie Pompeje. Czy tylko z powodu kataklizmu? Jeśli tak, to za mało, aby porównywać niewielki łuzicki gród ze znaleziskiem rangi światowej.

Postaram się pana przekonać, że mam rację. W Pompejach odtworzono drogę ucieczki młodej kobiety. Odnaleziono ją poprzez odkrycie linii wyznaczonej przez pogubione ozdoby brązowe. Pojedyncze bransolety doprowadziły do miejsca pozostawienia całego skarbu. To było tuż przed końcem strefy śmierci. Żebyż to ona wiedziała, co się stanie, pewnie nie zgarnęłaby swoich precjozów i z nimi nie uciekała. Podobne ślady pozostawiła dziewczyna w Wicinie. Do jej skarbu dotarliśmy także drogą wytyczoną przez pogubione ozdoby z brązu. W Pompejach ojciec z dzieckiem na rękę padł z powodu braku życiodajnego tlenu. W Wicinie pod szkieletem młodej kobiety natrafiliśmy na ciało kilkuletniego dziecka. Matka zastroniła go sobą. Jej głowę, ściętą przez napastnika, odnaleźliśmy dwa metry dalej. A czy trzeba większego dowodu na rodzicielską miłość? Obydwa miejsca pokrył popiół: w Pompejach wulkaniczny, w Wicinie z pożaru. I w obydwu miejscach nigdy nie odrodziło się życie. Proszę pana, tamte tragedie stały się prezentem dla dzisiejszych badaczy przeszłości. O odkryciu takich miejsc marzy każdy archeolog.

Doktor Kołodziejski przypadkowo natknął się na to miejsce czy ktoś mu podpowiedział, aby pojechał do Wiciny?

Odkrywcą tego miejsca był profesor Carl Schuchhardt z Berlina, który w latach dwudziestych XX stulecia prowadził badania archeologiczne po obu stronach Nysy Łużyckiej. Do Wiciny i pobliskiego Starosiedla sprowadziły go informacje o tym, że w 1860 roku i zimą 1901/1902 mieszkańcy okolicznych wiosek podczas prac polowych znajdowali fragmenty starych naczyń, przedmioty z brązu i żelaza. Wyniki swoich odkryć profesor Schuchhardt ogłosił w 1927 roku. Nawet przy bardzo ograniczonych możliwościach badawczych profesor mógł kopać tylko

wąskim pasem wzdłuż granic pól, na miedzach. Tam odkrył jeden lub dwa skarby przedmiotów brązowych. Kilka takich samych depozytów znaleźliśmy i my, pierwsi zielonogórcy archeolodzy. Na ostatni z nich natrafili nasi następcy, Bartłomiej Gruszka i Sławomir Kałagate podczas oczyszczania pionowych ścian starego wykopu. Kilkanaście centymetrów dzieliło Adama Kołodziejskiego od tego znaleziska. Ile jeszcze tam tkwi wspa- niałości, najlepiej wiedzą ci z urządzeniami do wykrywania metali.

Rabusie?

Nawet kilka razy w miesiącu stróż przegania rabusi z tego miejsca. Archeolodzy modlą się, aby osoby nieupoważnione, niepowołane nie znalazły niczego cennego w Wicinie. Przecież wartościowe przedmioty, które oni tam znajdują, nigdy nie trafiają do muzeów. A jeśli znajdują się w kolekcjach, to nie takich, do których będą mieli dostęp wszyscy uczeni i turyści.

Jak wyglądało miejsce, na którym powstał gród? Czy był to półwysep, wyspa na jeziorze, wyniesienie o stromych brzegach, czy też sztuczny twór, usypany przez budowniczych warowni?

Na dobrą sprawę wszystko po trosze. Wicina to wyspa nad dużym, zabagnionym rozlewiskiem niewielkiej Lubicy. Zajmo- wała ona niewiele ponad czterysta arów, ale ze względu na położenie była z natury obronna. Ten jej walor wykorzystali budowniczowie grodu.

Kiedy rozpoczęła się budowa warowni w Wicinie?

Pierwsze metry wałów budowniczowie zaczęli wznosić około 550 roku przed naszą erą. Ten, kto zaprojektował Wiciń- skie wały, miał głowę nie od parady. Przypuszczam, że był to

ktoś, kto albo uczestniczył w budowie podobnych grodów w innych miejscach, albo wcześniej planował i nadzorował wznoszenie takich warowni. Proszę mi wierzyć, to było zrobione wedle wszelkich prawideł sztuki inżynierskiej. Od samego początku. Od wyboru niezwykle miejsca, poprzez jego wykorzystanie, do szczegółowego rozplanowania nie tylko samych umocnień, ale także całego wnętrza tego pramiasta. Powstało cudo architektury obronnej!

Zdaję sobie sprawę z tego, że nie zna pan imienia i nazwiska twórcy grodu w Wicinie. A może archeolodzy domyślają się, kim był twórca? Czy pochodził z ziemi Łużyczan? Czy był przybyszem?

Bardzo dobrze pan to ujął: twórca budowli. Tak właśnie trzeba się odnieść do tego, co powstało w Wicinie. Powstał, proszę mi wierzyć, majstersztyk budownictwa drewnianego. Oczywiście, badacze nie dowiedzieli się, kim był twórca. Jeden człowiek czy grupa. Dlatego prehistorycy przyjmują, że gród w Wicinie zbudowali Białowiczanie, mieszkańcy pobliskich osad.

Mieszkańcy pobliskich osad białowickich wykonali czarną robotę. Ktoś, kogo pan nie zna, zaprojektował warownię.

Zanim podejmę próbę rozwiązania tej zagadki, przypomnę hierarchiczny układ ówczesnych stosunków społecznych. Najwyżej stał wódz i kapłani, potem starszyzna, szlachta i rzemieślnicy, najniżej zwykli zjadacze chleba. Mówiłem, że mieszkańcy Łużyc Lubuskich i Śląska Lubuskiego byli majątni. Oczywiście nie wszyscy, jednak spora ich część. Tam rozkwitła rodzima produkcja i handel sięgający odległych krain. To pozwala na wysnucie wniosku: inspiratorem budowy warowni były wyższe warstwy ówczesnego społeczeństwa, mocno zainteresowane ochroną

swoich interesów. Najbardziej prawdopodobne jest, że sprawcami podjęcia tych gigantycznych działań byli nie ci, zajmujący najwyższe szczeble drabiny społecznej, lecz kupcy i rzemieślnicy. Faktycznie to oni czerpali największe korzyści, gdy mogli bezpiecznie pracować w warsztatach znajdujących się w grodzie i przy placu targowym. Na podstawie tej ostatniej tezy określałam faktorię rzemieślniczo-handlową w Wicinie jako pramiasto.

Czy ci, którzy budowali warownię, przychodzili na plac budowy z własnej inicjatywy, czy byli to fachowcy, czy może przypadkowi ludzie albo tacy z łapanki?

Nie wierzę, aby budowę zajmowali się wyłącznie przyszli mieszkańcy grodu. Musieli tam pracować wszyscy, którzy żyli w okolicznych osadach. A i to podzieleni na grupy: drwale, cieśle, kamieniarze, woźnice... Zapewne ogromnych ilości drewna nie układali w grube warstwy wyłącznie przy pomocy rąk, a stosowali jakieś rodzaje dźwigni i lewarów. No i byli nadzorcy, tacy inżynierowie i brygadziści, którzy starali się, aby robota została wykonana perfekcyjnie.

Jak pamiętam z literatury, wokół Morza Śródziemnego powstawały budowle kamienne. Tam drewno było na wagę złota. Nad Odrą niemal na wagę złota były kamienie, dlatego praojcowie budowali domy z drewna, którego nigdy nie brakowało.

Wiciński wał był budowlą rusztową, na wykonanie którego trzeba było ogromnej ilości drewna. Ułożenie bali, jeden na drugim, ze sobą powiązanych, wymagało od budowniczych wiedzy technicznej. Służyły temu kikuty gałęzi, będące rodzajem haków, oraz wbite pionowo i pod skosem drewniane pale i dranice. Tak zbudowany wał był trudniejszy do sforsowania przez napastników i niełatwy do podpalenia. Dla ochrony przed

pożarem w Wicinie, również w podobnych grodach po drugiej stronie Nysy, na przykład w Podrosche i Nieder-Neundorf, budowniczowie obrzucili gliną i ziemią zewnętrzne partie wałów. W wicińskim wale najpierw leżała warstwa piasku i kamieni, obłożona plastrem gliny, potem znowu warstwa piasku i kamieni, jak poprzednia obłożona gliną. I tak aż do korony wału.

Powstało coś, co było zbudowane jak cebula.

Jeszcze jeden wynalazek przypisać należy genialnym twórcom wicińskiego grodu. Otóż, pod ciężarem naniesionej ziemi, kamieni i drewna piaszczysta wyspa zaczęła się rozjeżdżać. Aby to zatrzymać, wokół wału najpierw wicinianie wbili pionowo w ziemię dranice i pale drewniane, a potem je podparli skośnymi drągami. Budowla wyglądała jak beczka. Nie dość, że w ten sposób zapobiegli zatopieniu się wyspy, to i konstrukcja stała się falochronem. Gród zajmował ponad czterysta arów, a więc wbicie pali w ziemię i ich podparcie było pracą tytaniczną, wymagającą niezwyklej wyobraźni, ogromnych umiejętności i niezaprzecznego talentu. Także organizacyjnego. Nikt mnie nie przekona, że nad środkową Odrą żyli barbarzyńcy.

To była cywilizacja.

Tyle że niepiśmienna, chociaż dotąd w tej sprawie żaden prahistoryk nie powiedział ostatniego zdania. Może lepiej powiedzieć tak: na razie żaden badacz nie natknął się na zapiski pozostawione przez Łużyczan.

Skoro gród powstał na wyspie, to którędy jego mieszkańcy wychodzili na ląd choćby po żywność, bo pewnie między wałami nie uprawiano pól i nie hodowano zwierząt?

Z ładu przez mokradła prowadziła usypana grobla. Przed wałem skręcała ona w lewą stronę, do bramy. Dlatego w lewo, ponieważ większość ewentualnych napastników to byli ludzie praworęczni, a więc tarcze mieli na lewej ręce. Do grodu można było się dostać przez bramę z drewnianymi wieżami, otwieraną na zewnątrz. Analogiczne bramy były w Podrosche, dziś po stronie niemieckiej.

Na rekonstrukcji rysunkowej warowni w Wicinie, prezentowanej w książce „Niezwykli i tajemniczy ludzie Ziemi Lubuskiej” znajdujące się tam domy przylegają do wałów od strony wewnętrznej. Zbliżona rekonstrukcja zdobi wypowiedź archeologów Julii Orlickiej-Jasnoch i Sławomira Kałagate zamieszczoną w najstarszym popularnonaukowym czasopiśmie „Z otchłani wieków”. Artykuły tam wydrukowane są poświęcone jednak jedynie najnowszemu pracom nad środkową Odrą, choć we wstępie mówi się o uczczeniu całego półwiesza archeologii lubuskiej.

Na majdanie, czyli w centralnym miejscu nie mieszkali ludzie, był on przeznaczony na warsztaty odlewnicze, kowalskie, garncarskie, na targowisko. Na obrzeżach majdanu stały kramy kupieckie. Podczas badania grodu niemal na środku odkopaliśmy studnię. Przypuszczam, że takich ujęć wody było więcej, niestety, ani kiedy ja uczestniczyłem w badaniach, ani później, gdy Adam Kołodziejski pracował z innymi archeologami, nikomu nie udało się znaleźć kolejnego miejsca poboru wody pitnej. Na wolnej od zabudowy przestrzeni zapewne odprawiano modły, urządzano obchody świąt, odbywały się tańce rytualne.

Powiedział pan, że gród w Wicinie był faktorią handlowo-rzemieślniczą. Czy warsztaty znajdowały się wyłącznie na majdanie, a domy były tylko mieszkalne?

Warsztaty tkackie i krawieckie były w chatach przylegających do wału. Pracowali w nich kuśnierze, szewcy, cholewkarze i rzemieślnicy robiący uprząż. Pod ich dachami żyli ludzie, którzy wyprawiali skóry, obrabiali kości i rogi. Najwięcej jednak było garncarzy. Proszę sobie wyobrazić, że z dziesięciocentymetrowej warstewki ziemi zebranej z czwartej części ara mieliśmy kilkanaście worków ułamków ceramiki. To były tony skorup glinianych.

Kto lepił i wypalał garnki? Czytałem, że najlepiej w tym fachu radziły sobie kobiety.

Jeśli naczynia z gliny wytwarzały kobiety, a taka jest teoria, to były one niezwykle pracowite. I nerwowe, o czym mogą świadczyć rozbite garnki, znalezione w warowni.

Ile osób mieszkało w grodzie wicińskim?

Nie więcej niż sto, sto pięćdziesiąt mężczyzn, kobiet i dzieci, na co wskazuje około czterdzieści domostw. Adam Kołodziejski twierdził, że każdy budynek miał zewnętrzne wymiary: dwanaście na sześć metrów. Warownia w Wicinie stanowiła znakomicie zorganizowane centrum administracyjne, gospodarcze, handlowe, magazynowe i obronne regionu. W promieniu mniej więcej do piętnastu kilometrów wokół niej leżały osady stałe, zamieszkałe przez myśliwych, rybaków, zbieraczy runa leśnego, rolników, pasterzy i hodowców zwierząt. To były osady służebne wobec grodu. Warownia miała zapewnić im bezpieczeństwo.

To poczucie bezpieczeństwa okazało się złudne. Może gród chronił przed innymi plemionami łużyckimi, lecz nie ochronił grodzian przed Scytami, którzy zdobyli nie tylko warownię w Wicinie, ale i, być może, zespół górzycy w pobliskim Starosiedlu. Jak do tego doszło? To był przypadek, zdrada, wcześniejsza śmierć

wojów w otwartych bojach? A może wicinian pokonał paraliżujący strach przed okrutną sławą dzikich zagonów scytyjskich?

Doktor Kołodziejski uważał, że część wału była w trakcie przebudowy. Potwierdzają tę tezę młodszy badacze, Sławomir Kałagate i Bartłomiej Gruszka. Przeglądając dokumentację pozostawioną przez Adama Kołodziejskiego, nie znalazłem informacji o remoncie wału. Jeśli rzeczywiście on trwał to trzeba pochwalić scytyjskich wywiadowców. To prawda, że Scytowie napadli również na warownię-spichlerz w Starosiedlu. O tym, czy dostali się tam dlatego, że wał również był w przebudowie, żaden badacz nie pisze. Co ciekawe, w Starosiedlu archeolodzy nie odnaleźli szkieletów obrońców. Czyżby wszyscy spanikowali i uciekli?

Czy w Wicinie kości ludzi były wszędzie?

Znajdowaliśmy całe szkielety, ich znaczne części i niewielkie fragmenty. Ale dlaczego przeważnie były to kości starców, kobiet i dzieci? Na to pytanie na razie żaden badacz nie odpowiedział. Być może zabrakło męskich obrońców grodu, którzy zginęli we wcześniejszych bojach ze Scytami. A może Scytowie napadli na warownię w Wicinie późną jesienią lub wczesną zimą, gdy wody i bagna stanowiące naturalną osłonę pokryły się lodem. Że nie był to koniec zimy, zdają się zaświadczać jamy-piwniczki wypełnione zbożem.

W pracy doktora Kołodziejskiego „Wicina. Osada obronna sprzed 2500 lat w zbiorach Muzeum Archeologicznego w Zielonej Górze” znalazłem informację, że w jednym z takich spichlerzy, nakrytym słomianym dachem, prahistorycy natrafili na szkielet kobiety. Nazwali ją Księżniczką. Pan też wspomniął o Księżniczce.

Proszę sobie wyobrazić, że ta dwudziestokilkuletnia kobieta na co dzień nosiła lnianą lub wełnianą suknię spiętą na piersiach

fibulą – agrafką brązową, importowaną z południowej Europy. Obok, tak jakby dla równowagi, była wpięta, żelazna szpila, dzieło miejscowego rzemieślnika. Na jej szyi tkwił ogromny sznur paciorków szklanych, niebieskich z białą wężownicą. Bogactwa dopełniał nadzwyczajny wystrój głowy: na czole i skroniach znajdowała się lniana bądź konopna przepaska z umieszczonymi na niej trzema parami spiral ze złotego drutu.

Dlaczego Scytowie jej nie ograbili z tego bogactwa?

Może napastnicy nie cenili złota, w co nie wierzę. A może sami mieli na sobie tyle złotych ozdób, że nie połakomili się na to, co nosiła wicińska kobieta.

A może tak się schowała, że wojownicy scytyjscy jej nie odkryli?

Doskonały schówek nie uchronił jej od śmierci. Zaczadziła się i spłonęła wraz z całym grodem. Mam przed oczami jej podkurczone nogi i wbite w piasek palce. W chwili agonii... O matce chroniącej ciałem własne dziecko już wspomniałem. Inne szkielety, odkryte bliżej domniemanej przerwy w wale były zdekompletowane, należały przeważnie do dorosłych. Być może byli to ostatni obrońcy wicińskich szańców, którzy zginęli w nierównej potyczce i nie miał kto pochować ich ciał.

Panie doktorze, na chwilę zmieńmy temat. Co to jest skarb z Witaszkowa?

W 1882 roku, kiedy leżące nieopodal Gubina Witaszkowo miało niemiecką nazwę Vetersfelde, podczas prac polowych miejscowy rolnik w dwu miejscach znalazł skarb. Jak opisuje znalezisko niemiecki archeolog, Adolf Furtwangler, było to ponad dwadzieścia przedmiotów wykonanych ze złota, wszystkie z wyraźnie scytyjskimi formami zdobienia, na przykład ryba ozdobiona

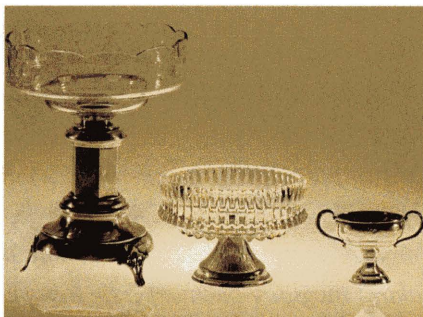
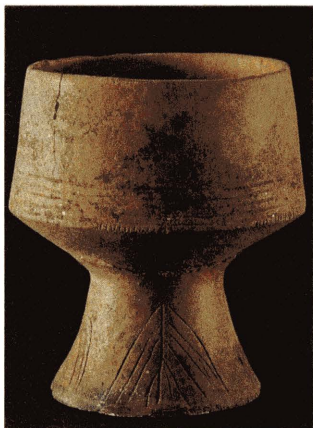
motywami figurowymi, uchwyty z połączanego miecza, kamienna osełka oprawiona w złoto, naramiennik z zakończeniami w formie głów węża, kamienny klin oprawiony w złoto. Do skarbu należały fragmenty scytyjskiej torby skórzanej na strzały (kołczanu?) i łuk. Pierwsza część znaleziska trafiła na wystawę w Berlinie, druga do muzeum w Gubinie. Mimo że od odkrycia minęło ponad sto lat, nadal budzi ono zainteresowanie badaczy. W XIX wieku nie określono dokładnie, gdzie niemiecki rolnik znalazł skarb. Udało się to dopiero tandemowi profesorskiemu, Zbigniewowi Kobylińskiemu i Louisowi Danielowi Nebelsickowi z warszawskiego Uniwersytetu Stefana Wyszyńskiego. W latach 2002-2004 prowadzili oni tam badania, wtedy stwierdzili, że skarb leżał na polu między Witaszkowem a Kozowem. Stanowił wotywny depozyt związany z kultem źródła wody, a ściślej studni stanowiącej miejsce kultowe. Dodam, że zapewne była to chyba największa i najwartościowsza zdobycz łuzycka w wojnie ze Scytami, co tym bardziej podkreśla niesamowitość takiego daru. Istniała także hipoteza, wedle której tutaj został pochowany znamienity Scyta. Jest to wątpliwe, ponieważ z przekazów starożytnych pisarzy wiem, że ciała Scytów, którzy zginęli w wyprawach, nawet zwykłych wojowników, żywi zabierali do ojczyzny.

Czy w Wicinie, poza słynnymi grocikami trójkątnymi, badacze natrafili na inne ślady scytyjskie?

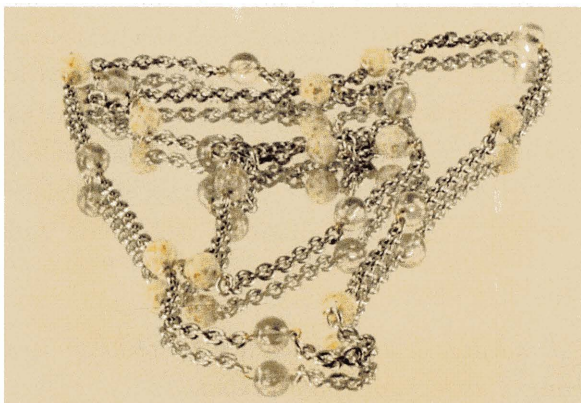
Na razie nie mamy innych dowodów zniszczenia warowni wicińskiej. Znaleziony tam żelazny czekan można uznać za scytyjski, głównie w oparciu o dwa trójkątne grociki brązowe, mocujące rozchylbotany trzonek.

Ile prawdy jest w stwierdzeniu, że najazdy scytyjskie spowodowały upadek cywilizacji łuzyckiej na Środkowym Nadodrzu?

Najazdy Scytów nie były jedyną przyczyną upadku tej cywilizacji na Śląsku Łużyckim. Proszę zwrócić uwagę, że nie wspomniałem o napadach Scytów na mieszkańców Ziemi Lubuskiej. Oni tam nie zapuszczali się, za to mocno zrujnowali gospodarkę po południowej stronie Odry, przetrzebili ludność i pozbawili ją władców. Nastąpił kryzys demograficzny i ekonomiczny. Nie miał kto wytwarzać i nie było dla kogo pracować. Do tego doszło gwałtowne osuszanie się klimatu. Nastąpiło stepowienie pól, kurczenie się powierzchni pastwisk i degeneracja obszarów leśnych.



Puchary stare i nowe



Stare i nowe
naszyjniki

Zamiast podsumowania

Panie doktorze, dotąd rozmawialiśmy niemal wyłącznie o cywilizacji łużyckiej. Czy tylko dlatego, że jest pan zakochany w tym fragmencie dziejów, czy też brakuje innych osiągnięć badawczych, jakimi mogłaby pochwalić się lubuska archeologia?

Gros miejsca poświęciliśmy sprawom powiązanym z cywilizacją łużycką nie tylko dlatego, że najlepiej się na tym znam, ale również ze względu na nawał obowiązków moich młodszych kolegów, zajmujących się innymi etapami starożytności. Zanim zgodziłem się na wywiad-rzekę, usiłowałem namówić innych prahistoryków na to, aby znaleźli czas choćby na krótkie opowieści o swoich osiągnięciach badawczych. Niestety, nie doczekałem się odzewu.

Zapewne wynikało to ze zbieżności moich oczekiwań z przygotowywaną lubuską edycją „Z otchłani wieków”. Dlatego też zachęcam gorąco do lektury owego zeszytu. Dla przykładu przytoczę kilka tytułów spośród niezwykle ciekawych artykułów tam zamieszczonych: Aliny Jaszewskiej „Skarb z Witaszkowa”, Zbigniewa Kobylińskiego, Louisa Daniela Nebelsicka i Dariusza Wacha „Neolityczne obserwatorium astronomiczne w Bodzowie na Ziemi Lubuskie”, Stanisława Sinkowskiego „Witnicka nekropolia kultury łużyckiej”, Piotra Wawrzyniaka. „Jordanowo – gocka nekropolia sprzed 2000 lat”, Krzysztofa Sochy i Juliany Sójkowskiej-Sochy „Górzyc. Pradziejowa nekropolia nad Odrą”.

Region lubuski ma dwa centra: uniwersytecką Zieloną Górę i Gorzów z ogromnymi ambicjami akademickimi.

Problematyką łużycką interesują się archeolodzy gorzowscy Stanisław Sinkowski i Tadeusz Szczurek. Temat ten jest bliski Sylwii Groblicy, sprawującej urząd gorzowskiego konserwatora zabytków i Sławomirowi Górcie, znawcy łużyckiego obuwia, figurek z Deszczna i Karnina oraz plastyki glinianej. Sławomir Górka ze wszystkich sił stara się stworzyć samodzielne muzeum w Kostrzynie nad Odrą.

Niech ostatnie zdania naszej rozmowy dotyczą marzeń. Pana marzeń, panie doktorze.

Przez wiele lat hodowałem w sobie myśl o utworzeniu Lubuskiego Centrum Archeologicznego „Lucar” w Łagowie. Ułożyłem dla niego program. Centrum miało mieć charakter międzynarodowego obozu miłośników archeologii, którzy jako wolontariusze uczestniczyliby w pracach badawczych prowadzonych nie tylko w perle Ziemi Lubuskiej, ale i w innych miejscach Środkowego Nadodrza. Obóz, zlokalizowany na Sokolej Górze, stałby się żywym skansenem. Wyobrażałem sobie, że tam zostaną odtworzone starożytne budowle, w nich będą mieszkali miłośnicy przeszłości. Oni by mogli urządzać pokazy i wystawy polowe. Mogliby przygotowywać i wydawać gazetę archeologiczną.

Panie doktorze, żywię nadzieję, że tzw. decydenci, mam na myśli marszałka lubuskiego, starostów świebodzińskiego i żarskiego, burmistrza jasińskiego i wójta łagowskiego, nie tylko przeczytają to, co pan powiedział, ale i podejmą decyzje. To znaczy: w Łagowie powstanie centrum archeologiczne, Wicina znajdzie się na trasie wycieczek do Zielonej Góry, Żar, Lubuska, Jasienia.

Dziękuję za rozmowę.



Źródła

Czytelnicy, którzy chcą poszerzyć swoją wiedzę o pradziejach, mogą zajrzeć do lektur, do których i my zaglądaliśmy. Poniżej podajemy ich wykaz.

„Archeologia Środkowego Nadodrza” 2009, tomy I-VI.

Archeologiczne badania ratownicze wzdłuż trasy gazociągu tranzytowego, tom I: *Ziemia Lubuska*. Poznań 1998.

„Archäologie in Berlin und Brandenburg” 2000, 2003 i 2006.

„Ausgrabungen im Niederlaustitzer Braunkohlenreviren” 1998 i 2008.

Bahn P. G., *Archeologia*. Warszawa 2006.

„Biblioteka Archeologii Środkowego Nadodrza”, zeszyty I-III: 2003-2006. Zielona Góra 2006.

Bronzezeit. Die Lausitz vor 3000 Jahren. Praca zbiorowa. Kamenz 2007.

Domański G., *Groby z epoki brązu odkryte na cmentarzysku w Luboszytach, powiat Lubsko*. „Materiały Komisji Archeologicznej Lubuskiego Towarzystwa Naukowego” 1977, zeszyt 3.

Domański G., *Kultura luboszycka między Łabą a Odrą w II-IV wieku*. Wrocław 1979.

Gaben an die Götter. Schätze der Bronzezeit Europas. Praca zbiorowa. Berlin 1997.

Górka S., *O figurkach antropomorficznych z Deszczna i Karmina (pow. gorzowski) raz jeszcze*. „Biblioteka Archeologiczna Środkowego Nadodrza” 2003, zeszyt 1.

Jaszewska A., Orlicka-Jasnoch J., Cisek D., *Wyniki archeologicznych badań ratowniczych na cmentarzysku ludności kultury*

łużyckiej z III-IV/V okresu epoki brązu w Jagłowicach, stanowisko I (AZP 67-07/21), gm. Trzebiel, pow. żarski, woj. lubuskie. (Maszynopis). Zielona Góra 2006.

Kołodziejski A., *Kultura pomorska w północnej części Dolnego Śląska*. „Rocznik Lubuski” 1983, tom XI, nr 1-2.

Kołodziejski A., *Wicina. Osada obronna sprzed 2500 lat w zbiorach Muzeum Archeologicznego*. Zielona Góra 1993.

Kołodziejski A. i Marcinkian A., *Skarb brązowy z V okresu epoki brązu z Mirocina Dolnego*. „Zielonogórskie Zeszyty Muzealne” 1974, tom 4.

Kwapiński W., *Badania cmentarzyska z III okresu epoki brązu w Zielonej Górze*. „Materiały Komisji Archeologicznej Lubuskiego Towarzystwa Naukowego” 1976, nr 4.

Kwapiński W., *Prahistoria na Środkowym Nadodrzu po II wojnie światowej*. „Rocznik Lubuski” 1983, nr 12.

Lewczuk J., *Sękowice, gmina Gubin, stanowisko 8. Cmentarzysko ciałopalne kultury łużyckiej ze starszego okresu przedrzymskiego*. Zielona Góra 2004.

„Lubuskie Materiały Konserwatorskie” 2006, tomy 1-3: 2003-2006.

„Z Otchłani Wieków” 2010, rocznik 65.

Marcinkian A., *Groby ludności kultury łużyckiej z młodszej epoki brązu w Żukowicach, pow. Głogów, na stanowisku XI*. „Zielonogórskie Zeszyty Muzealne” 1971, tom 2.

Marcinkian A., *Osada ludności kultury łużyckiej z wczesnej epoki żelaza w Lubniewicach, pow. Sulęcín*. „Materiały Komisji Archeologicznej Lubuskiego Towarzystwa Naukowego” 1976, nr 4.

Marcinkian A., *Z badań nad pradziejami historycznej Ziemi Lubuskiej*. „Przegląd Lubuski” 1984, tom XI, zeszyty 1-2.

Marcinkian A., *Uwagi o kulturze łużyckiej w epoce brązu na pograniczu Śląska, Łużyc i Ziemi Lubuskiej*. „Archeologia Środkowego Nadodrza” 2007, tom V.

Marcinkian A., *Ziemia Lubuska w dobie cywilizacji łużyckiej*. Zielona Góra 2010.

„National Geographic”. Polska 2009 i 2010.

Niezwykli i tajemniczy ludzie Ziemi Lubuskiej. Pod red. Dariusza Chajewskiego. Zielona Góra 2010.

Orlicka-Jasnoch J., *Badania archeologiczne na cmentarzysku ludności kultury łużyckiej w Różanówce, pow. nowosolski, w latach 2006-2007*. „Lubuskie Materiały Konserwatorskie” 2008, tom 5.

Piezonka H., *Die Bronze- und frühe Eisenzeit in der ehemaligen Neumark. Untersuchungen zu Forschungsentwicklung und Fundbild bis 1945*. Bonn 2005.

Unverzagt W., *Aufbau und Zeitstellung des Burgwalles von Lossow, Kr. Eisenhüttenstadt*. (w:) Otto K. H. und Hermann J., *Siedlung, Burg und Stadt. Studien über Ihre Anfänge*. „Schriften der Sektion für Vor- und Frühgeschichte” 1969.

„Z otchłani wieków” 2010, nr 1-4. Archeologia lubuska.

Z tych prac pochodzi część fotografii ilustrujących naszą książkę. Pozostała część jest z ogromnej kolekcji Muzeum Archeologicznego Środkowego Nadodrza w Zielonej Górze z siedzibą w Świdnicy.

Spis treści

Zamiast wstępu	8
Co się działo nad środkową Odrą i dolną Wartą, zanim ludzie tam się osiedlili	16
Skąd przybyli praprzodkowie	24
Czy mieli liczne rodziny	52
W co wierzyli	72
Gdzie i jak grzebali zmarłych	98
Czym zajmowali się na co dzień	118
Jak zarządzili i się bronili	144
Po co wznosili grody	150
Kto zniszczył warownię w Wicinie	162
Zamiast podsumowania	178
Źródła	180

Andrzej Marcinkian

Ur. w 1942 r. w Naczy na ziemi nowogrodzkiej. Ukończył studia archeologiczne na Uniwersytecie Wrocławskim, tam też obronił rozprawę doktorską. Wyniki swoich odkryć opublikował m.in. w periodykach wydawanych przez Lubuskie Towarzystwo Naukowe, w zeszytach muzealnych i czasopismach specjalistycznych. Jest autorem dwutomowej pracy „Ziemia Lubuska w dobie cywilizacji łużyckiej”. Mieszka w Zielonej Górze.

Alfred Siatecki

Ur. w 1947 r. w Kostrzynie nad Odrą. Ukończył studia przyrodnicze w Wyższej Szkole Rolniczej w Szczecinie. Jest autorem powieści, opowiadań, słuchowisk i biobibliografii pisarzy lubuskich. Zajmuje się publicystyką. Za prace literacko-historyczne otrzymał nagrodę „Studiów Zielonogórskich”. Jego utwory przełożono na język białoruski, górnołużycki, niemiecki i rumuński. Mieszka w Raculi koło Zielonej Góry.

Książka Andrzeja Marcinkiana i Alfreda Siateckiego w postaci wywiadu-rzeki ze wszech miar jest godna polecenia. Wypełnia ona bardzo dotkliwą lukę między krótkimi informacjami gazetowymi a poważnymi opracowaniami naukowymi, często niestrawnymi dla czytelnika bez archeologicznego przygotowania uniwersyteckiego. Ta książka jest kluczem przybliżającym trudne problemy w sposób łatwy i przystępny. Dodatkową jej zaletą jest ściśle powiązanie z regionem, co pozwala zidentyfikować działania archeologów w pobliżu, czasem za oknem.

*prof. zw. dr hab. Grzegorz Domański
archeolog, Polska Akademia Nauk*

Biblioteka UZ

nr inw.: ks 2 - 213596



II H 213596/II

Cena detaliczna 30 zł
(w tym 5% VAT)